

Prof. Janusz Reykowski



Rządzi pieniądz
Ginie dobro wspólne

NA CO CHORUJE DEMO KRA CJA?





SOLIDARNOŚĆ I TROSKA

14–16 października 2022

**Zapraszamy na spotkania,
warsztaty, spektakle, debaty,
targi, wykłady, inspiracje**

Forum Przyszłości Kultury zostało zainicjowane w 2017 roku przez warszawski Teatr Powszechny w odpowiedzi na rosnące dążenia do centralizacji kultury przez aparat państwowy. Forum to bezpieczna przestrzeń spotkań tworzenia wizji otwartej, integracyjnej kultury, która odpowiada na wyzwania XXI wieku. Forum koordynuje

współpracę z artystami, aktywistami, naukowcami, politykami i urzędnikami, czyli osobami, które przez krytyczną analizę rzeczywistości kształtują wyobraźnię społeczną. Jego głównym celem jest promowanie różnorodności społecznej i kultury obywatelskiej.

Organizatorem Forum jest Teatr Powszechny, a partnerami zagranicznym tegorocznej edycji są: teatr Divadlo pod Palmovkou w Pradze oraz Jam Factory Art Center ze Lwowa.

Forum realizowane jest dzięki wsparciu m.st. Warszawy

forumprzyszloscikultury.pl



Agentów jak wróbli

Polacy czytają mało, a jeśli już, to najchętniej kryminały. Choć i to może się zmienić, bo po co kupować coraz droższe książki z wymyślanymi przez autorów intrygami? Na co dzień i za darmo dostajemy tyle kryminalnych numerów, że nadążyć trudno. Przoduje w tym partia, która, choć nazwała się dobrą zmianą, to po siedmiu latach rządów jest liderem wyłącznie w dojeniu państwa. Skala kradzieży i grabienia dóbr publicznych przez coraz liczniejszych pociotków władzy jest tak wielka, że w przyszłości może zabraknąć sędziów, by ich wszystkich osądzić.

Chyba że ktoś z władzy wpadnie na pomysł wielkiej amnestii, która zalegalizuje ukradzione. By nowe pisowskie elity były czyste, bo wyprane.

Oprócz masowego grabienia mamy w Polsce jeszcze inny wielki problem. Żywcem przeniesiony z literatury szpiegowskiej. Długo żyliśmy w bańce nieświadomości. Wiadomo było, że jacyś agenci pewno są, bo taka od zarania jest natura świata. Jednak dopiero Kaczyński pokazał zwyktemu Polakowi skalę problemu. Prezes oświecił to, co dotąd skrywał mrok tajemnicy, a jego słowa są jak uderzenie pioruna. Bo i skala zjawiska jest przeogromna. Jak mówią ziobryści, porażająca. Tym bardziej że w tym samym czasie co PiS własną ocenę zagrożenia agenturą przedstawił gen. Pytel, były szef Służby Kontrwywiadu

Wojskowego za czasów PO. Co z niej wynika? Ano to, że całe PiS jest w kręgu podejrzewanych o współpracę z Rosją. Łącznie z premierem Morawieckim i ministrem Dworczykiem oraz ich najbliższymi współpracownikami.

Dla Kaczyńskiego agenturą rosyjską jest też większość opozycji w Sejmie. Choć w tym przypadku rzecz jest bardziej skomplikowana, bo wcześniej, i to wielokrotnie, politycy PO z Tuskiem na czele byli oskarżani o agenturalność niemiecką.

Takie nasycenie agenturą w jednym kraju musi przerażać. A to nie wszystko. Obie strony politycznej barykady solidarnie milczą w sprawie innej agentury. Widać przecież, jak szybko rozbudowują swoje aktywa Amerykanie. Niewątpliwie są równie liczne, a na pewno bardziej wpływowe od potencjalnej agentury rosyjskiej czy niemieckiej. Nie trzeba zbyt wielkiej przebiegłości, by zobaczyć, że Amerykanie są w tym bardzo skuteczni. Czym ich agentura różni się od konkurencji? Może tym, że często sama chwali się swoimi zasługami dla Wujka Sama. Choć służenie administracji takiej osoby jak Trump czy strzelanie obcasami przed ambasador Mosbacher to jednak obciach.

Kraj, w którym oskarżenia o agenturalność fruwią jak wróble, ma duży problem. Trudno, by świat traktował nas z powagą. A jeszcze trudniej o normalne relacje między Polakami. Zatruta polityka rodzi zatrute owoce.

BAKOWSKI



PIĘKNIE DZIĘKUJEMY!

Wszystkim, którzy nas wspomagają wpłatami i darowiznami.

Drodzy Czytelnicy, Przyjaciele PRZEGLĄDU, dzięki Wam wydajemy nasz tygodnik i książki.

**Jeśli możesz pomóc, prosimy o wpłaty na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta**



Każda złotówka ma znaczenie!

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Na co choruje demokracja?**
– rozmowa z prof. Januszem Reykowskim
- 12 Czy Polską rządzą agenci?**
Piotr Pytel oskarża
- 14 Bydgoska bomba tyka**
Skażony teren po Zachemie
- 18 Kat traci władzę**
Przemoc po rozstaniu
- 22 Przede wszystkim integracja**
Ukraińskie dzieci a polska szkoła
- 39 Aleksander Kwaśniewski**
nagrodzony w Olsztynie

ZAGRANICA

- 24 Jak żyć, pani premierko,**
panie kanclerzu...
Zachód szykuje się na mróz
- 28 Śmierć z powietrza dla każdego**
Prawda o dronach
- 32 Gerontokracja do Amerykę**
Korespondencja z USA
- 52 Coraz więcej zachodniej broni**
NATO szkoli ukraińskich żołnierzy

OPINIE

- 36 Jan Woleński**
Co z konkordatem?

HISTORIA

- 40 Od ściany do ściany,**
– „dekomunizacja” Świerczewskiego

KULTURA

- 44 Reporter nie może bać się człowieka**
– rozmowa z Mariuszem Szczygłem
- 50 Culturalia**
- 66 45. Międzynarodowa Wystawa**
Satyrykon – Legnica 2022

EKOLOGIA

- 55 Susza kradnie Europie Dunaj**
Zagrożone gospodarki

ZDROWIE

- 58 Depresję trzeba leczyć**
– rozmowa z Wiktorem Buczkim

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Agentów jak wróbli
- 21 Jan Widacki**
Szok kulturowy prezesa
- 27 Andrzej Szahaj**
Dobre życie
- 31 Roman Kurkiewicz**
Z Dodą na piersiach przeciw Polsce religijnej
- 35 Tomasz Jastrun**
Obcość kulturowa
- 49 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Gra o tron
- 51 Wojciech Kuczok**
Broadaci mężczyźni

18

KRAJ



KAT TRACI WŁADZĘ

Przemoc po rozstaniu



28

ZAGRANICA

ŚMIERĆ Z POWIETRZA DLA KAŻDEGO

Prawda o dronach

44

KULTURA

REPORTER NIE MOŻE BAĆ SIĘ CZŁOWIEKA

– rozmowa
z Mariuszem Szczygłem



Projekt okładki: Ed Mund

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI





f Uszanować innych

Felieton Romana Kurkiewicza (PRZEGLĄD nr 38) przeczytałam z przykrością i niesmakiem. Już samo zestawienie zmarłej królowej

Elżbiety II z osobą Jarosława Kaczyńskiego jest dla mnie nie do przyjęcia. Można nie akceptować monarchii, władców, tradycji i celebry z nimi związanych. To zrozumiałe u ludzi o lewicowych poglądach. Jednak w treści felietonu autor prezentuje pogardę i dla zmarłej, i dla ludzi, którzy odczuwają smutek i żal po jej śmierci. Autor deprecjonuje królową, jej życie, panowanie, śmierć i żałobę jej poddanych – wymieniając dla porównania wiele innych, epokowych wydarzeń na świecie.

Może nie wszyscy kochali królową Zjednoczonego Królestwa, może nawet nie wszyscy jego obywatele. Ale świat jest różnorodny. I należy to szanować. Jak również żałobę rodziny, bliskich i wszystkich, którzy jej doświadczają. Tak po ludzku. Nie wszystko, z czym się nie zgadzamy, czego nie akceptujemy lub nie rozumiemy, należy deprecjonować.

Nie do zaakceptowania w treści felietonu są też pewne określenia, szczególnie jeśli są użyte w kontekście nawiązującym do śmierci. Czyjejkolwiek. Nie rozumiem tej demonstracji pogardy dla obywateli innego kraju, dla jego wiekowych tradycji. Chciałabym, żeby ten felieton nigdy się nie ukazał w moim tygodniku. Jak ktoś mądry powiedział: o zmarłych mówimy albo dobrze, albo wcale.

Janina Frykacz

f Gorbaczow a sprawa polska

I sekretarz Michaił Gorbaczow był inteligentnym człowiekiem. Wiedział, że trzeba odejść od podziału świata na dwie części, zdawał sobie sprawę z jego „przemilitaryzowania”, zgromadzony arsenał jest bowiem w stanie 10-krotnie obrócić w perzynę

wszystko, co żyje i istnieje. Likwidacja Układu Warszawskiego była więc konsekwentnym, naturalnym krokiem, a nas mogła zbliżyć do pewnej samodzielności, gdyby nie dominująca idea namiestnikowska. Czy za jej symbole można uznać budowę pałacu Saskiego i otwarcie 17 września br. przekopu Mierzei Wiślanej w rocznicę najazdu ZSRR na Polskę?

Cieniem na przywództwie Gorbaczowa położyło się nieodwołanie pochodu pierwszomajowego w Kijowie bezpośrednio po katastrofie w Czarnobylu, niepodanie natychmiastowej informacji o skażeniu promieniotwórczym (notabene również w Polsce). W ZSRR było dochodzenie sądowe w sprawie Czarnobyla, skazano garstkę ludzi. Za straty, szkody zapłacili podatnicy. Nawet Polska w trosce o bezpieczeństwo dopłaciła do budowy sarkofagu. Jakże zatem są rzeczywiste koszty energetyki jądrowej? Jakże są koszty tuszowania zagrożeń, konformizmu?

Dorota Kaczmarek

f Nie potrafimy rozmawiać z Niemcami

Jakie reparacje? Przecież w ramach reparacji dostaliśmy ziemie obecnie położone na Pomorzu Zachodnim, w Zatoce Gdańskiej, na Warmii i Mazurach oraz Dolnym Śląsku wraz z infrastrukturą i bogatymi zasobami, dzięki którym udało się odbudować kraj. Reszty reparacji Polska się zrzekła, a dokument ten został przyklepany przez ZSRR i USA. Obecnie Polska powinna dążyć do pogłębiania struktur UE, może nawet do federalizacji, a nie skłócać członków Unii, jak to robi, atakując Niemcy. Tak naprawdę chodzi tu wyłącznie o granie kartą reparacji wobec elektoratu przed wyborami. O nic więcej. Tylko jak zwykle Polska na tym straci.

Michał Czarnowski



ZDJĘCIE TYGODNIA



Król Karol III i królewscy łucznicy czuwający przy trumnie Elżbiety II. Edynburg, katedra św. Idziego, 12 września 2022 r.

Największym źródłem dochodów państwa w Polsce jest VAT. W 2020 r. było to **185 mld zł**. Z PIT-ów wpłynęło 119 mld zł (bez składek).

Ponad **200 mln euro** kosztuje Polskę niewykonywanie orzeczeń Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w sprawie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. KE potrąca karę z funduszy europejskich, które należą się Polsce.

Piotr Świerczek, autor reportażu „Siła kłamstwa” (TVN 24), tak dobitnie zdemaskował oszustwa i manipulacje Antoniego Macierewicza przy prezentacji teorii spiskowych w sprawie katastrofy smoleńskiej, że kłamiącym politykiem powinna się zająć prokuratura. Ale oczywiście nie robi tego prokuratura kierowana przez Ziobrę.

Iga Świątek, liderka rankingu WTA, wygrała w Nowym Jorku turniej US Open. Za zwycięstwo otrzymała czek na 2,6 mln dol.

64,6% ankietyowanych przez IBRiS dla „Rzeczpospolitej” uważa, że odwołanie Jacka Kurskiego z funkcji prezesa TVP to dobra decyzja, a tylko 11% jest przeciwnego zdania.

Minister zdrowia **Adam Niedzielski** w sprawie swobodnego dostępu do szczepienia czwartą dawką szczepionki przeciw covidowi zachowuje się jak człowiek, który nie ma wpływu na tę decyzję, albo jak ignorant, który nie potrafi pojąć skutków dziejącego się marnotrawstwa. Co miesiąc wyrzucane są przeterminowane szczepionki.

Skandaliczne zachowanie władz Ukrainy doprowadziło do przeszło 50-kilometrowych kolejek ciężarówek. Dopiero po proteście polskich kierowców tirów, którzy zablokowali przejeście w Dorohusku,

ukraińskie służby weterynaryjne, fitosanitarne i graniczne odstąpiły od praktyk utrudniających pracę kierowców.

W drugiej turze wyborów prezydenta Rudy Śląskiej zmierzają się dwaj byli wiceprezydenci miasta, **Michał Pierończyk i Krzysztof Mejer**. Poseł PiS **Marek Wesoly**, mimo poparcia Jarosława Kaczyńskiego albo z powodu tego wsparcia, odpadł z walki o fotel prezydenta miasta.

Barbara Nowak, małopolska kurator oświaty, musi przeprosić **Związek Nauczycielstwa Polskiego** za słowa naruszające dobra osobiste związku w czasie strajku nauczycieli w 2019 r.

Ponad 70 tys. Polaków może się ubiegać o odszkodowanie za loty odwołane z powodu strajków w liniach lotniczych.

Policyjne statystyki podają, że co roku dochodzi w Polsce do ok. 2 tys. gwałtów. Zaprzeczają temu Niebieska Linia, która uważa, że jest ich co najmniej 30 tys. A według Centrum Praw Kobiet zgwałconych kobiet jest 60 tys.

Krystyna Loska, legendarna spikerka telewizyjna, skończyła 85 lat. Znana z wielkiej klasy, ciesząca się sympatią widzów pani Krystyna ciągle jest w tak dobrej formie, że sama prowadzi samochód.

Radiowa Trójka pod rządami PiS dogorywa. Słuchalność spadła do **1,9%**, a jedna trzecia reklamodawców odeszła, bo nie chce mieć nic wspólnego z partyjnym działostwem.

Zespół muzyczny **Kombi** wygrał z zespołem Kombii przed Europejskim Trybunałem Sprawiedliwości sprawę o prawo używania nazwy Kombi. Ale kto wygrał i czy teraz znowu nie będzie dwóch Kombi?

PRZEBŁYSKI

Skarpetka, ale taka, że...

Któż nie zna powiedzenia, że nadgorliwość jest gorsza od... Taka myśl nam przyszła do głowy na widok certyfikatu autentyczności skarpetki. Oczywiście nie standardowego produktu tekstylnego, który noszą miliardy ludzi. Ta skarpetka, o której zrobiło się głośno, była używana przez „Czcigodnego Sługę Bożego Jana Pawła II Papieża”.



Nie podważamy prawdomówności siostry Florenty Kwiatkowskiej ze Zgromadzenia Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego z Bobrownik Wielkich. Wierzmy, że miała wielokrotny kontakt z tą SKARPETKĄ. I to w różnych stadiach jej czystości.

Zaczęła się jeszcze jedna wielka kariera.

Szyldy w grze

Jak szybko postępuje przecena szyldu partyjnego PiS, zobaczyliśmy w Rudzie Śląskiej. Ale wcześniej podobny numer wycięli PiS mieszkańcy uroczego miasteczka na Mazurach. W Olsztynku po śmierci burmistrza premier



Morawiecki wyznaczył komisarza zgodnie z dyrektywą posła Jerzego Szmita, pisowskiego szefa regionu. Tomasz Maria Starowieyski, 69-latek, to dobry znajomy Szmita, bo obaj należeli do Unii Wolności. Dojna zmiana stanęła na głowie, żeby Starowieyski wygrał też wybory. Do Olsztynku

pielgrzymowali z poparciem wiceministrowie Semenuk i Poboży. Efekt? Na sześciu kandydatów Starowieyski był piątą. Dostał 227 głosów. Na burmistrza wybrano Roberta Warakę, 35-latkę z miejscowego muzeum. Nie zaszkodziło mu nawet szefowanie powiatowej PO.

Gróbarczyk daje zarobić Włochom

Żarty z nazwisk nie przystoją. Omijamy więc szerokim łukiem to, co może się kojarzyć z Markiem Gróbarczykiem. To ten gość, który jest tak mocno sklejonny z prezesem Kaczyńskim, że ilekroć PiS rządzi, tylekroć Gróbarczyk jest ministrem albo wice. Od spraw morza. Czyli także pod parasolem Brudzińskiego. Musi mieć plecy, bo dawno powinien wylecieć. Choćby za aferę ze stępką promu, w którą w 2017 r. gwóźdź wbił Morawiecki, a po paru latach poszła na złom. Tenże Gróbarczyk zapowiedział w 2017 r., że Polska Żegluga Bałtycka wybuduje w Szczecinie 10 promów pasażersko-samochodowych. Skończyło się na gadaniu. A prom dla PZB budują... Włosi.



PYTANIE TYGODNIA

Czy powinno się obniżyć próg wyborczy do 3%?

DR HAB. JAROSŁAW FLIS,
socjolog, Uniwersytet Jagielloński

Obniżanie progu nie ma sensu, gdyż arytmetyka wyborcza działa w ten sposób, że jeśli jakaś partia – ogólnokrajowa, nie regionalna – ma 3% poparcia, to i tak nie dostanie żadnego mandatu. W 10-, 11-mandatowym okręgu wyborczym tzw. naturalny próg wyborczy wynosi 4,6%, czyli jest niemal identyczny jak obecnie obowiązujący na mocy prawa. Z „trzyprocentowymi” partiami jest na scenie politycznej więcej zamieszania niż pożytku; w obecnym Sejmie mamy dużo takiego planktonu i widzimy, jak często oni zmieniają zdanie. Istniejący próg całkiem dobrze działa, gdyż zmusza do dogadywania się. To było widać przy okazji ostatnich wyborów, kiedy tak naprawdę każda z sił, które przekroczyły próg, miała charakter koalicji kilku ugrupowań.

DR ANNA MATERSKA-SOSNOWSKA,
politolożka, Uniwersytet Warszawski

Przed najbliższymi wyborami nie zmieniałabym już żadnych zasad, na które się umówiliśmy. O zmianach w dłuższej perspektywie czasowej możemy rozmawiać, przy czym uważam, że niski próg wyborczy nie jest dobrym rozwiązaniem. Można natomiast się zastanawiać nad obniżeniem obecnego, trzyprocentowego progu uprawniającego partię do uzyskania dofinansowania z budżetu państwa. Tym, co konieczne i pilne, jest korekta demograficzna. Ruchy ludnościowe sprawiły, że nie

wszędzie wybory nadal są proporcjonalne, dlatego powinniśmy się zastanowić nad powiększeniem okręgów wyborczych.

DR ŁUKASZ POŁOWCZYK,
filozof, etyk

W Danii próg wynosi 2%, a ich system się nie zawalił i polski też by się nie zawalił. Nie należy jednak się spodziewać, że samym obniżaniem czy podwyższaniem progu można w istotny sposób poprawić demokrację. Owszem, niższy próg może zwiększyć liczbę partii w parlamencie, ale może przecież się okazać, że ta pozornie większa różnorodność reprezentowanych poglądów jest np. wyłącznie prawicowa. Naprawianie systemu politycznego powinno mieć całościowy charakter.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
KRZYSZTOF GRABCZAK

W żadnym wypadku. Sejm stałby się wtedy już definitywnie targowiskiem, na którym handlowano by synekurami w zamian za poparcie w głosowaniu. Nie żeby teraz tak nie było, ale w parlamencie składającym się z kilkunastu kanapowych partyjek byłoby to podstawowe zajęcie posłów.

MICHAŁ SIEMIŃSKI

Tak, żeby wspierać pluralizm poglądów i zapobiegać samodzielnym rządów jednej partii.

Na co choruje demokracja?

Rządzi pieniądz. Ginie dobro wspólne

Rozmawia Robert Walenciak

Czy Polacy nadają się do demokracji? Wydaje mi się, że patrzą na nią raczej jak na plebiscyt. Że raz na cztery lata...

– Przypomnijmy sobie, jak w Polsce przed rokiem 1989 wyglądała dyskusja o demokracji. Demokracja jawiła się jako coś, co jest na bogatym, szczęśliwie żyjącym Zachodzie. Był to taki obraz ziemi obiecanej. Jeśli chodzi o jej charakterystykę, to wyróżniały ją wybory. Że władza jest wybierana. Drugim czynnikiem było to, że jest wolność.

I tak zostało.

– Pamięta pan pewnie wystąpienie Beaty Szydło jako premiera w Parlamencie. Opozycja ją atakowała, a ona odpowiadała: jesteśmy prawdziwie demokratycznym krajem, bo są wolne wybory. I w wolnych wyborach zostaliśmy wybrani, wobec tego mamy prawo rządzić tak, jak uważamy za stosowne. W wolnych wyborach można więc wybrać najgorszego despotę i najbardziej autorytarny system rządzenia.

Ważne, co potem. Czy ten despotę podda się następnym wyborom, czy nie.

– Część despotów, gdy już obejmie władzę, dokonuje takich manipulacji, które dają im władzę na zawsze. Tak jest z Putinem, tak to wygląda z Orbánem, Erdoğanem... Usiłował to zrobić Trump. System



PROF. JANUSZ REYKOWSKI

go wypuść. Ale on chce to powtórzyć. A jaką ma mentalność! Niedawno czytałem, jak przed komisją Kongresu zeznawał generał – szef sztabu za jego kadencji. Otóż w Waszyngtonie odbyła się wielotysięczna demonstracja ludzi popierających ruch Black Lives Matter i Trump domagał się od wojska, żeby ją rozpędziło. Żeby żołnierze strzelali. Generałowie odmówili. Skarżył się więc szefowi sztabu, że chciałby, żeby jego generałowie byli tak posłuszni jak generałowie Hitlera. Na co on mu odpowiedział, że

były trzy zamachy na Hitlera przygotowane przez generałów. Ale Trump w to nie uwierzył. On o tym nie słyszał, więc nie wierzył.

Głosy jak pieniądze na rynku

Skąd to się bierze? Dlaczego prawicowy populizm tak się rozpycha?

– Mówiliśmy, że demokracja dla takich społeczeństw jak Polska była ziemią obiecaną, choć nie za bardzo było wiadomo, co to jest. Więc co to jest? Bronisław Baczko demokrację opisuje tak: to wypracowanie politycznych i społecznych norm współżycia między wolnymi jednostkami, o równych uprawnieniach i równej godności. Pięknie to brzmi! Demokracja jest opisywana jako system oparty na koncepcji praw człowieka. To idealna jej wersja. Natomiast mechanizm demokracji mniej lub bardziej od niej odbiega.

Prof. Janusz Reykowski – psycholog społeczny, od 1951 r. związany z Uniwersytetem Warszawskim. W latach 1980-2002 dyrektor Instytutu Psychologii PAN. Jeden z założycieli Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. Od 1949 r. do 1990 r. członek PZPR, od grudnia 1988 r. do stycznia 1990 r. członek Biura Politycznego KC PZPR. W czasie obrad Okrągłego Stołu współprzewodniczący (z Bronisławem Geremekiem) zespołu ds. reform politycznych.

I jak wygląda?

– Dobrze jest to opisane przez ekonomiczną teorię demokracji. Że tak jak na wolnym rynku producenci sprzedają swoje produkty i ten zdobywa rynek, kto ma towar najbardziej atrakcyjny, również demokracja jest systemem, w którym rywalizują politycy. Oni oferują program, rozwiązania i walczą o zwolenników. Głosy

Znaczna część ludzi miała poczucie, że na transformacji niczego nie zyskali. Że wręcz ich zdegradowała ekonomicznie i społecznie.

w wyborach są jak pieniądze na rynku. Akcentowano w tej teorii, że dla polityka walka o stanowisko, o pozycję to taka sama realizacja interesów jak dla właściciela firmy, który sprzedaje po to, żeby mieć zysk. Tylko że interesem polityka jest władza. A korzyści społeczne są efektem ubocznym. Adam Smith pisał, że piekarz piecze nie po to, żeby kogoś zadowolić, tylko żeby zarobić. Ale po to, żeby zarobić, musi kogoś zadowolić. Lecz to zadowolenie jest produktem ubocznym jego dążenia do zysku.

A w polityce jak jest?

– W polityce, według tej koncepcji, działania polityka w gruncie rzeczy ukierunkowane są na dobro własnej grupy. Przy czym tą grupą są nie tylko jego partyjni koledzy, ale także ci, którzy są jego wyborcami. I to, co widzimy, to efekt przekonania, że dbanie o interes swoich wyborców jest koniecznością, żeby na rynku politycznym wygrywać. Co oznacza, że ginie dobro wspólne.

Czyli polityka jest grą interesów.

– W związku z tym na kształt państwa, na postanowienia polityków decydujący wpływ mają grupy najsilniejsze. Jaki jest tego efekt, pokazuje sytuacja w USA. Otóż jeśli spojrzymy na gospodarkę amerykańską od czasów Reagana do współczesnych, zauważymy, że w tym okresie nastąpił znaczny przyrost dochodu narodowego. Z tym że ogromna część tego przyrostu została przejęta przez górne warstwy. A warstwy dolna i średnia nie zyskały nic lub niewiele. Innymi słowy, obietnica demokracji dla wielu ludzi się nie sprawdziła.

Wybrali więc obietnice Trumpa.

– Podobnie było w Polsce. Znaczna część społeczeństwa miała poczucie, że na transformacji niczego nie zyskała. Ludzie uważali, że transformacja wręcz ich zdegradowała ekonomicznie i społecznie. I takich przegranych, wobec których demokracja nie spełniła swojej obietnicy, jest na świecie wielu.

Kolejny etap kapitalizmu, globalizacja, uderzył w nią.

– Do tego dochodzą dodatkowe zjawiska. Jednym z takich wydarzeń były te nieszczęsne wojny na Bliskim Wschodzie, które spowodowały wielkie fale migracyjne. Pojawienie się dużych fal migracyjnych w Europie było czynnikiem destabilizującym. Demokracja zaczęła być postrzegana jako niebezpieczeństwo, ponieważ nie daje sobie z tym rady. Są i inne wydarzenia...

Dbanie o interes swoich wyborców jest koniecznością, żeby na rynku politycznym wygrywać. Co oznacza, że ginie dobro wspólne.

To sprawia, że atrakcyjne zaczynają być wersje władzy z silnym przywódcą, który nie waha się użyć przemocy. Spójrzmy, jak między rokiem 2001 a 2021 wzrosła w parlamentach europejskich reprezentacja skrajnej prawicy. To jest wygenerowane przez fakt, że demokracja nie spełnia obietnic zawartych w swojej ideologii ani oczekiwań ludzi.

Po pierwsze, sprawczość

A jakie są oczekiwania ludzi?

– Bardzo ważną cechą polityka jest sprawczość, to znaczy umiejętność realizacji swoich zamiarów. Kiedyś, jeszcze w latach 90., badałem postrzeganie kandydatów do parlamentu, cechy, które wyborcy preferowali i którymi kierowali się przy wyborze. Otóż jedną z czołowych

cech była sprawczość. Notabene tę sprawczość duża część elektoratu PiS przypisuje Kaczyńskiemu. Bo zrobił coś takiego, że wielu niezadowolonych Polaków odczuło, że jest sprawczy, że potrafi. Że obiecał i słowa dotrzymał.

Nie jest ważne, w którą stronę prowadzi państwo, ważne, że jest sprawczy?

– Kiedy o tym mówimy, musimy mieć w pamięci rzecz następującą: że obraz rzeczywistości wykształconego inteligenta może być inny od tego, który ma ktoś, kto nie zajmuje się polityką i dla kogo głównym problemem życiowym jest dać sobie radę z codziennością. Dla niego takie kryterium jak praworzędność to abstrakcja. Że zawieszają jakiegoś sędziego? To bardzo dalekie od powszedniości, którą ogromna część ludzi żyje. Większości z nich polityk kojarzy się z określonym efektem. I na podstawie tego efektu, który jest zrozumiały, np. 14. emerytury, oceniają go. A mimo narastających w Polsce problemów ekonomicznych ciągle są różne możliwości, żeby w krytycznej sytuacji się wykupywać.

Wykupować się! I gdy się wykupuje, czyli płaci naszymi pieniędzmi, jest uznawany za sprawczego, energicznego, działającego na rzecz ludzi.

– W gruncie rzeczy każdy z nas chciałby mieć takich polityków, którzy składają obietnice polityczne i je realizują.

I jednym dają, a drugim nie?

– Demokracja jest systemem, który wymaga rozwiązywania pewnych dylematów. Skupmy się na jednym – otóż demokratyczne decyzje, rozwiązania powinny się opierać na uwzględnieniu różnych perspektyw, a nie jednej. Jedną perspektywę ma dyktator. Kieruje się jednym kryterium: czy to służy jego interesom, czy nie służy. Ale w demokracjach normalnie funkcjonujących liderzy powinni się liczyć ▶

z tym, że społeczeństwo jest złożone, ma różne cele, różne wartości, więc rozwiązania polityczne wymagają ich uzgodnienia. Co oczywiście jest trudne i czasochłonne. Dochodzi do tego jeszcze jeden element – kultura polityczna. Zdolność ludzi do tego, żeby uwzględnić nie tylko własną perspektywę, ale także perspektywę drugiej strony, żeby byli gotowi pertraktować ze sobą, zmierzać do rozwiązania, które będzie wszystkich

więzi i w efekcie czego stawali się oni coraz bardziej osobni. Ale nie znikła ta część społeczeństwa, która swoje poczucie bezpieczeństwa i swoje rozumienie wszystkiego wokół opiera na tradycyjnej wizji świata. Dla której religia ma istotne znaczenie. W której tradycyjny zwyczaj dotyczący rodziny, praw rozrodczych i różnych innych jest twardo zapisany. Otóż dla strony liberalnej ludzie tak myślący to mohery, osoby ograniczone,

szacunek dla odmiennych perspektyw, lub wykorzystać wszystko w celu zwiększenia własnego elektoratu, jego mobilizacji, i zmniejszenia cudzego. Zarówno w Polsce, jak i w innych krajach ten drugi wzór jest przeważający.

W przypadku Kaczyńskiego i Tuska widać, że im zależy na rozniecaniu wojny.

– To, że na rozniecaniu konfliktów zależy Kaczyńskiemu, było od dawna oczywiste. A że taką strategię wybrał Tusk... Wydaje mi się, że to wątpliwa droga.

Postępujemy drugiego

To błąd?

– Obóz pisowski nie jest jednorodną masą. To różne grupy, różniące się sytuacją społeczną, miejscem zamieszkania, wiekiem, i wcale nie wszyscy muszą tam myśleć tak samo. Powstaje pytanie, czy z jakąś częścią tego elektoratu nie można by nawiązać dialogu. Ale tego pytania nikt nie próbuje sobie zadać! Nikt nie próbuje szukać języka, którym mógłby przemawiać także do tych, którzy nie uważają się za liberałów. Był cykl rozmów dziennikarza „Gazety Wyborczej” Grzegorza Wysockiego, w którym, na podstawie swojej rodziny, wujków, ciotek itd., opisał mentalność PiS.

Sprawczość jest bardzo ważną cechą polityka. Tę sprawczość duża część elektoratu PiS przypisuje Kaczyńskiemu. Obiecał i słowa dotrzymał.

zadowalać. Ten poziom kultury politycznej w Polsce jest bardzo niski. Chociaż wydawałoby się, jeśli ma się w pamięci obrady Okrągłego Stołu, że to potrafimy. Ale ta umiejętność zanika.

Czas wojny kulturowej

Czyli to się zmienia! Można wpływać na skłonność do negocjacji, do porozumienia. W latach 80. Polska była bardzo podzielona. Potem, zwłaszcza w czasach Kwaśniewskiego, poziom napięcia, wzajemnej wrogości, wyraźnie spadł.

– A teraz znów jest bardzo wysoki. Wyższy niż w latach 80.?

– Nie potrafię tego zmierzyć. Dochodzą do tego jeszcze inne czynniki, które mają wpływ na poziom napięcia. Mówi się o wojnie kulturowej w Polsce. Ale ona ma miejsce nie tylko w Polsce, wojny kulturowe toczą się w różnych krajach. Brexit był takim polem wojny kulturowej.

My przeciwko obcym?

– Wojna kulturowa ma też związek z losami demokracji. Demokracja opiera się na pewnej koncepcji człowieka, który czuje się wolny, bierze odpowiedzialność za swój los i pertraktuje z innymi przy rozwiązywaniu problemów. Podstawową sprawą jest bardzo duży zakres wolności. Liberalna ideologia i liberalna postawa to produkt historyczny, postępującej indywidualizacji człowieka. To jest związane z powstaniem kapitalizmu, który wyrwał ludzi z ich naturalnych

pozostające w tyle. Innymi słowy, w pewnej części społeczeństwa powstał negatywny stereotyp człowieka o konserwatywnej orientacji. Choć są to bardzo różni ludzie. Z drugiej strony powstał negatywny stereotyp ludzi o liberalnej orientacji, intensywnie propagowany przez Kościół i różne grupy prawicowe.

Mamy zatem wojnę kulturową.

– Obie strony ją prowadzą. Oczywiście za chwilę liberałowie powiedzą, że żadnej wojny nikomu nie wytoczyli, że po prostu są sobą i realizują to, co jest naturalnym prawem człowieka.

Obóz pisowski nie jest jednorodną masą. Są grupy różniące się sytuacją społeczną, miejscem zamieszkania, wiekiem, i nie wszyscy muszą tam myśleć tak samo.

Konserwatyści powiedzą podobnie.

– A podaję ten przykład, by zilustrować niewydolność współczesnej demokracji w radzeniu sobie z takim podziałem społeczeństwa.

Czy ta narastająca wrogość, wojna kulturowa dzieją się same z siebie? Czy raczej ktoś to podkręca?

– Jedno i drugie. W pewnym sensie ma to swoją dynamikę. Ale istota sprawy jest taka: w społeczeństwie występują różne zjawiska, a ideolodzy albo politycy konstruują w dyskursie publicznym ich interpretację. Ta interpretacja może prowadzić do tego, by dany problem rozwiązać bezkonfliktowo, zachowując

Pokazał, jak oni widzą świat. A skoro się wie, jak oni widzą świat, to można sobie wyobrazić, w jaki sposób z nimi rozmawiać. To jest podstawa do tego, żeby spróbować spłycić rów wykopany między Polakami.

Jak spłycić, kiedy wciąż jest rozkopany?

– To zbieżność dwóch procesów – procesów spontanicznych, związanych z ochroną własnego światopoglądu, i działań polityków. Światopogląd nie bierze się znikąd, jest podstawą poczucia naszego bezpieczeństwa, tłumaczy nam świat, dzięki czemu ten jest dla nas zrozumiały. Atak na światopogląd

jest więc atakiem na nasze poczucie bezpieczeństwa, na nasz świat.

W takiej sytuacji ludzie się bronią.

– W przekonaniu, że mają absolutną rację. Jedna strona nakręca zatem drugą. Jak z tego wyjść? Z 15 lat temu prowadziłem badanie, w którym organizowaliśmy grupy rodziców, mniej więcej 10-osobowe, o różnych światopoglądach, które miały uzgodnić program wychowania seksualnego w szkołach. Spotkania były prowadzone według specjalnej procedury, która miała umożliwiać debatę ludzi o różnych światopoglądach. Ta procedura związana była z teorią deliberacji. Na koniec aż 17 z 20 grup uzgodniło wspólny program.

Jak się dogadali?

– Okazało się, że między pomiarem pierwszym, przed rozpoczęciem dyskusji, a pomiarem drugim, po tym jak wspólnie uzgodnili program wychowania seksualnego, ich poglądy ideologiczne nie zmieniły się. Natomiast potrafili wypracować pewien konsensus – że każdy pozostaje przy swojej ideologii, ale wspólnie ustalamy praktyczne kroki

potrzebne do tego, żeby rozwiązać pewne problemy wynikające z dojrzenia dzieci.

Każdy musiał spróbować zrozumieć drugą stronę.

– Na tym polega zasada deliberacji – słucham drugiego. Ale chodzi o to, że ten kompromis oznaczał nie rezygnację ze swoich wartości, lecz wypracowanie takich praktycznych sposobów działania, które dadzą się zmieścić w jednym i drugim światopoglądzie.

Przegranych, wobec których demokracja nie spełniła swojej obietnicy, jest na świecie wielu.

Czyli taki polityk jak Kwaśniewski zadziałałby w ten sposób.

– W tym tkwi jego siła.

Z kolei na tym polega siła Kaczyńskiego, że skłóciłby ich wszystkich i nigdy by się nie dogadali.

– W sytuacji, gdy na świecie tak dużo jest materiału zapalnego, ci politycy, którzy korzystają na podpalaniu, robią się bardzo popularni.

Choroba demokracji jest więc taka, że trafiło nam się pokolenie polityków podpalaczy?

– Że sposób myślenia o rządach demokratycznych, o tym, czym jest władza w demokracji, jest defektywny. Nie realizuje tych celów, których ludzie się spodziewali. Powstało coś nowego. Wielki sukces gospodarki rynkowej doprowadził do powstania ideologii rynkowej. A ona mówi: życie jest grą o sumie zerowej, jedni, ci lepsi, wygrywają, drudzy

przegrywają. Jeżeli przyjmie się taką ideologię, to ona w polityce daje efekty, jakie widzimy. Myślę coraz częściej, że zarażenie demokracji ideologią rynkową, taką koncepcją człowieka i relacji między ludźmi, to jedna z przyczyn jej choroby.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



Filharmonia
Narodowa

INAUGURACJA SEZONU ARTYSTYCZNEGO 2022/2023

MAHLER II SYMFONIA

„ZMARTWYCHWSTANIE”

30.09/1.10

Orkiestra i Chór Filharmonii Narodowej

Andrzej Boreyko – dyrygent / Joanna Freszel – sopran /

Nora Gubisch – mezzosopran / Bartosz Michałowski – dyrektor chóru

Na koncerty zaprasza
Strategiczny Mecenaz Roku
Filharmonii Narodowej



Bank Polski

Organizator



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Strategiczny
Mecenaz



Bank Polski

Mecenaz



PGE
Grupa Energetyczna

Sponsorzy



FUNDACJA
BNP PARIBAS



TAVEX

Czy Polską rządzą agenci?

Stoją pisowcy naprzeciw peowców i krzyczą do siebie: ruski agent, ruski agent!

Robert Walenciak

Czy Polską rządzą rosyjscy agenci? Taką właśnie tezę de facto sformułował gen. Piotr Pytel, były szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego (za PO), w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”.

Piotr Pytel w rozmowie sobie nie żałował. O Mateuszu Morawieckim mówił, że „może być nawet rosyjskim agentem”. O rządzie – że dzięki agenturze wpływu Rosjanie trzymają go „za jaja”. I że wewnątrz rządu, „środowiska wokół Morawieckiego, Dworczyka”, funkcjonuje agentura. A w ogóle Dworczyk „powinien być głównym podejrzanym”. Natomiast „Macierewicz powinien być zatrzymany”. Na temat byłego szefa MON Pytel spekuluje: „Pytanie, czy nie mógł być pochwycony na odpowiednio

odrobinę interesujący się polityką nie ma wątpliwości, że takie działania jak rozbijanie jedności Unii Europejskiej, skłócanie Polski z Europą Zachodnią, rozkręcanie wojny kulturowej, ale i czystki w armii, w służbach specjalnych, w MSZ wypychają Polskę ze struktur zachodnich, przesuwają ją na wschód i osłabiają nasz kraj. Zwłaszcza w obecnych czasach. Niepokój muszą również budzić takie działania jak rezygnacja z unijnych miliardów z tytułu Krajowego Planu Odbudowy czy chaotyczne zakupy broni.

Z drugiej strony Polska PiS zaangażowała się w sprawę dostarczania broni Ukrainie. A także w budowę Baltic Pipe i w szukanie alternatyw dla rosyjskiego gazu. Na forum Unii Europejskiej jest jednym z najbardziej antyrosyjskich graczy, w przeciwieństwie do Węgier. Bilans zatem jest

Pytel występuje jako generał, czy jako powieściopisarz.

Na razie odgrywa rolę podżegacza. Zwróćmy uwagę, obie partie, PiS i PO, żywią się podobnymi emocjami. Obrzucają się bliźniaczymi oskarżeniami. Wspomniany już Antoni Macierewicz otwarcie mówi o politykach PO, że to rosyjska agentura. Jarosław Kaczyński w czwartek w Sejmie, patrząc na ławy opozycji, oświadczył: „Wiedziałem, że tu jest agentura Putina, ale że tak liczna – nie”. Można te wypowiedzi skwitować wzruszeniem ramion, że to bełkot, rozpaczliwa próba odwrócenia uwagi itd. Sęk w tym, że w te słowa wierzą miliony ludzi.

Ale zwróćmy uwagę na reakcję środowisk popierających PO, opozycyjnych. Wywiad z Pytlem był tam przekazywany z rąk do rąk, jego słowa o agentach Rosji usadowionych na szczytach władzy traktowano jak objawienie. Rząd powinien już podać się do dymisji! A kto powątpiewa w oskarżenia, ten jest albo zdrajcą, albo pożytecznym idiotą. Spotykała go natychmiastowa fala hejtu.

Innymi słowy, stoją pisowcy naprzeciw peowców i krzyczą do siebie: ruski agent, ruski agent! A my wypychani jesteśmy w sytuację, w której różni napaleni fanatycy będą nas egzaminować z patriotyzmu czy innych cech. I oskarżać.

To rzecz fatalna (czyżby dzieło agentury?), bo w takiej atmosferze prawdy od kłamstwa się nie odróżni. A przy tym sygnał, że Polska wkracza w nowy, niebezpieczny etap życia politycznego. Etap, w którym wszystkie chwytły są dozwolone i w którym dominować będą szalejąca demagogia i populizm.

PiS i PO nakręcają atmosferę. Wymyślają sobie od agentury, rosyjskiej oczywiście. Licytują się, kto więcej pieniędzy ludziom da lub obieca. Oskarżają się wzajemnie

Gen. Piotr Pytel o Morawieckim mówił, że „może być nawet rosyjskim agentem”, Dworczyk „powinien być głównym podejrzanym”, a „Macierewicz powinien być zatrzymany”.

wczesnym etapie i czy koledzy go pamiętają już z tego okresu, kiedy przestał być panem samego siebie”.

No, jeszcze jest Jarosław Kaczyński. Wokół niego też są agenci, Pytel by ich szukał w gronie „uczestników narad”. Ale to nie znaczy, że prezes jest czysty jak lilja. O nim Pytel mówi: „Jest świadom rosyjskich wpływów w jego partii, być może sam uczestniczy w jakimś dealu z Rosją”. A poza tym „PiS działa tak, jakby byli szkoleni przez Rosjan albo mieli rosyjskich doradców od wojny psychologicznej”, realizując w sferze polityki wewnętrznej i zagranicznej agendę Kremla.

Tak oto Piotr Pytel powiedział i za mało, i za dużo. Za mało – bo mówiąc, że PiS realizuje agendę Kremla, nie wychodzi poza banał. Nikt chociaż

niejednoznaczny. Oczywiście można spokojnie oceniać, że polska polityka jest wypadkową różnych sił, nawet (jeżeli ktoś lubi takie opisy) gry agentów rosyjskich i amerykańskich, ale zawsze gdy takie rzeczy się mówi, warto mieć przygotowane jakieś dowody. Bo inaczej mówi się za dużo.

Piotr Pytel żadnych dowodów nie przedstawia. Od siedmiu lat jest poza służbą, więc dostępu do bieżących informacji nie ma. Wszystko, co mówi, to jego domysły, w gruncie rzeczy literatura szpiegowska.

Czy to oznacza, że nie ma racji? Tego nie wiemy. Ale w ogniu takich rewelacji warto zachować powściągliwość. Poczekać na ciąg dalszy. Na fakty. Żeby się dowiedzieć, czy Piotr

o chęć sfalszowania wyborów. O złodziejstwo. Ciągną nas na krawędź wojny domowej. Oczywiście do tego daleko, bo ludzie są przytomni. Ale w którymś momencie mogą nie wytrzymać i tę przytomność zacząć tracić.

Te uwagi nie oznaczają, że wywiad z Piotrem Pytlem jest wart kosza. O, nie! Znajdziemy w nim masę informacji, które zasługują na analizie.

Po pierwsze, sporo dowiadujemy się o samym generale, o jego horyzontach. Piotr Pytel w swojej opowieści wszędzie widzi działania rosyjskich służb, innymi słowy przesiał myśleniem bezpieczniackim. Ma do tego prawo, ale my nie możemy iść za nim prowadzeni za rączkę. Po prostu fakt, że Rosja ma swoich agentów na szczytach władzy (a najpewniej ma), nie oznacza, że ta władza jest przez Moskwę trzymana na sznurku (a do tego wnioski Pytla zmierzają). Generał chętnie oskarża, straszy, ale żadnych dowodów, jak wspominałem, nie przedstawia. Taktownie też milczy na temat czasów, gdy sam kierował Służbą Kontrwywiadu Wojskowego i osiągnięć kontrwywiadowczych tamtego okresu.

Po drugie, sporo się dowiadujemy o polskich służbach specjalnych i ich działaniach. Oto Pytel opisuje nocne wejście do Centrum Eksperckiego Kontrwywiadu NATO, które jeszcze w roku 2015 przeprowadził rzecznik Macierewicza Bartłomiej Misiewicz. To był gigantyczny skandal. Pytel zadaje pytanie: czego Macierewicz tam szukał? I odpowiada, że jego SKW odkryła całą sieć restauracji (więc jednak jest jakiś sukces SKW – brawo!), kilkanaście knajp, w których były „studia nagraniowo-podsluchowe”. „Dużo większe przedsięwzięcie rosyjskie, niż się uważa”, dodaje. Zbierane w nich były poprzez pośredników (typu Falenta i kelnerzy) informacje na temat polityków i biznesmenów. Kto tam był, ten był nagrywany. „Ktoś, kto zdecydował o wejściu do CEK – mówi Pytel – chciał zobaczyć dokumenty – w jakim zakresie myśły to rozpracowali”. I kontynuuje:



Wysłuchanie Piotra Pytla na posiedzeniu tzw. komisji ds. Pegasusa. Senat, 23 lutego 2022 r.

„Co było na opozycję, to wypstrykano, ale nieujawnionych nagrań jest dużo. Macierewicz chciał zobaczyć, co my mamy na niego – ale chodziło też o te podsłuchy w knajpach”.

Do tego dodajmy jeszcze inne operacje służb, o których Pytel wspomina – mejle Dworczyka, no i podsłuchiwanie opozycji za

dziedzinie jest Antoni Macierewicz. Który może i wygląda na wariata, ale ten wariat spenetrował zasoby MSW (noc teczek plus lustracja), potem zasoby WSI (komisja weryfikacyjna plus skopiowanie archiwum), szukał również kompromatów w CEK NATO. Gdzie to wszystko trzyma? Jaką daje mu to moc? Czy te materiały komuś przekazał?

Ale zwyczaj zbierania kwitów na Macierewicza się nie skończył. Były szef MON ma następców. Pytel, opisując aferę Pegasusa, mówi otwarcie: „Kupiono go do walki z opozycją”. I wylicza, że szpiegowane były sztaby wyborcze PO i główni politycy: „Tam, gdzie był telefon Nowaka, było podsłuchiwanie wszystkich ze sztabu. PiS może mieć informacje intymne o wielu innych ludziach opozycji, politykach, dziennikarzach. (...) Akta z IPN się zestarzały, więc sobie robią nowe”.

Polska PiS jest więc w tym opisie państwem półmafiijnym oraz rządzonym przez służby. Pytel mówi, że Kaczyński na tym wszystkim trzyma łapę. Być może tak jest, ale czy tylko on?

A rosyjska agentura? Tak jak każda inna – jest z nią, cytując Pytla, jak z powietrzem. Czyli istnieje, ale jej nie widać. I można przed nią się bronić w dwojaki sposób. Po pierwsze,

Polska PiS jest w opisie Pytla państwem półmafiijnym oraz rządzonym przez służby.

pomocą Pegasusa. A inwigilacja rozwija się w sposób nieograniczony. W 2015 r. SKW przeprowadziła 20 „kontroli operacyjnych”, a CBA 205. Z kolei w 2019, w roku wyborów parlamentarnych – SKW 196, ABW 205, CBA 375.

W ten sposób dowiedzieliśmy się, że życie polityczne w Polsce jest w coraz większym stopniu przesiałkie podsłuchami i działaniami służb specjalnych. Że zbieranie haków i szantaż nimi to normalna część polskiej polityki. I że specjalistą w tej

mając efektywnie działające służby, efektywnie działające państwo. A ono w czasach PiS zostało, poprzez akcję czystek, bardzo osłabione. Po drugie, poprzez otwarcie prowadzoną politykę. Agenci są mocni, gdy polityka jest prowadzona tajnie, w gabinetach. Gdy jest jawna, gdy do poszczególnych działań trzeba uzyskać poparcie społeczne, ich rola maleje. Nie mogą się sprzeciwiać woli większości, bo wtedy wyjdą na pierwszy plan.

To dlatego niezależne media i otwarta debata są tak ważne. ■

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

Zieloną i Lisią, dwa największe składowiska odpadów niebezpiecznych Zachemu – wielkiej bydgoskiej fabryki chemicznej, która upadła w 2012 r. – może dziś obejrzeć każdy. Nikt nie broni wstępu. Znajdują się na terenie upadłego giganta w południowo-wschodniej części miasta, blisko ujścia Brdy do Wisły. Nietatwo je znaleźć, bo Zachem zostawił po sobie ogromny teren – 1,6 tys. ha – który został podzielony na dziesiątki działek i wyprzedany. Na jednych straszą dziś zdewastowane pozachemowskie budynki. Na drugich wyrosły olbrzymie, lśniące hale magazynowe i produkcyjne należące do Bydgoskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego. Gdzieś w środku tej osobiwej mozaiki znajdują się śmiertelnie groźne składowiska.

Przy wjeździe do niezabezpieczonej Lisiej, mniejszego, niespełna dziesięciohektarowego składowiska, nadal czynnego, widać resztki cienkiej siatki ogrodzeniowej. Leżą w wysokiej trawie razem ze spróchniałym słupkiem z napisem: „Teren monitorowany”. Jest wprawdzie jakaś zardzewiała barierka i nawet nowiutka tabliczka: „Uwaga! Zakaz wstępu, odpady niebezpieczne, teren niebezpieczny”, ale to wszystko. Kilkanaście metrów dalej, pod gołym niebem, rozciągają się olbrzymie betonowe baseny, pełne szarej i pomarańczowo-brązowej, pylistej substancji. Można tu wejść każdy.

Z kolei przy Zielonej, największym (11,4 ha) i jak już wiemy najbardziej trującym składowisku, nie dostrzegam śladu zabezpieczeń. Nawet symbolicznych. Tuż przy ogólnodostępnej drodze, za niewysokim wałem ziemi bez żadnej izolacji, bez zabezpieczenia, znajduje się jezioro czegoś pylistego w kolorze białobeżowym. Długi, zarzewiały, kiedyś niebieski pomost wybudowany pośrodku zaprasza do spaceru ponad polem porośniętym zielskiem.

– Miliony ton silnie trujących odpadów leżą tam w ziemi – ocenia prof. Mariusz Czop z Wydziału Geologii, Geofizyki i Ochrony Środowiska AGH, współautor raportu



Bydgoska bomba tyka

Teren po Zachemie uznawany jest za największe składowisko groźnych substancji w Polsce, a prawdopodobnie i w Europie

o stanie zanieczyszczenia terenu po Zachemie. – To wszystko wraz z wodami podziemnymi płynie w kierunku Brdy i Wisły, a także przenika do ludzkich osiedli.

Trująca tajemnica

Powstały w 1948 r. Zachem zawsze był niebezpieczny. Latami krążyły po zakładzie opowieści, co się dzieje z pracownikami na produkcji. Że wymiotują, mdleją, włosy im się zabarwiają na różne kolory. Że skóra swędzi, ropyje, rany się nie goją. I że chorują na płuca, na raka częściej niż inni. Ale poza zakład wieści wydobywały się oszczędnie. Pracownicy podpisywali pisma zobowiązujące do tajemnicy.

– Nie wolno było o tym, co się dzieje, rozmawiać nawet z żoną, bo przecież zakład produkował również na potrzeby wojska – opowiadał przed laty PRZEGLĄDOWI inż. Zbigniew Gruszka, który całe zawodowe

życie przepracował w Zachemie. – Ludzie bali się mówić, ale też nie chcieli mówić. Największy pracodawca w Bydgoszczy był jak matka karmicielka. Miasto w mieście. Rozpostarte na olbrzymim terenie poprzecinane lokalnymi drogami (ok. 120 km) i ulicami, z własnymi autobusami, przedszkolem, żłobkiem, domem kultury, przychodnią zdrowia, małym szpitalem, stołówką, gazetą, rozgłośnią, drukarnią, hotelami, ośrodkami wypoczynkowymi, klubami sportowymi, strażą przemysłową wyposażoną w broń ostrą oraz osiedlem pracowniczym ze szkołami i sklepami. Zakład miał także swój stadion, a nawet halę sportową. Ludzie byli dumni, że pracują w Zachemie. I niechętnie wynosili brudy poza jego teren.

Ale brudy same szybko przeniknęły do wód gruntowych i wyciekły na zewnątrz. Bo Zachem wytwarzał: materiały wybuchowe, pianki poliuretanowe, środki ochrony roślin, barwniki czy fenol i fosgen, których produktem



Zieloną i Lisią, dwa największe składowiska odpadów niebezpiecznych Zachemu, może dziś obejrzeć każdy. Nikt nie broni wstępu.

ubocznym są silnie toksyczne substancje wymagające specjalnego obchodzenia się i dokładnej utylizacji lub starannego składowania. Tylko że bydgoski gigant nie robił tego przez całe dekady. Nie przejmowano się ludzkim zdrowiem. A trucizny powstałe przy produkcji składowano przez ponad 60 lat wprost na ziemi, pod gołym niebem, m.in. w wyrobiskach pozostawionych przez DAG Fabrik Bromberg, w której Niemcy w czasie okupacji wytwarzali środki wybuchowe. Rabunkowa gospodarka zakładów chemicznych znad Brdy i Wisły sprawiła, że obecnie teren po Zachemie zgodnie uznawany jest za największe składowisko groźnych substancji w Polsce, a prawdopodobnie i w Europie.

Magiczne ogrodzenie

– Śmieszko mnie – nie ukrywa prof. Mariusz Czop, zatrudniony w 2009 r. do opracowania komputerowego modelu rozprzecz zache-mowskich zanieczyszczeń w środowisku – gdy pracownicy przekonywali, że trucizny z zakładu zatrzymały się na linii ogrodzenia ich fabryki. To musiałyby być jakieś magiczne ogrodzenie – kpi profesor. Od razu jednak się zorientował, że temat jest poważny, a zniszczenie środowiska niewyobrażalne. – W glebie, gruncie i wodach

podziemnych znajdowały się ogromne stężenia silnie trujących i kancerogennych substancji, takich jak: fenol, anilina, wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne, związki nitrowe, chlorowane związki organiczne i metale ciężkie – wylicza.

Specjaliści z Zachemu, który w 1990 r. został wpisany na listę największych polskich trucicieli, czyli zakładów najbardziej uciążliwych dla środowiska, kłamali naukowcom z AGH w żywe oczy. Już bowiem w latach 60. zorientowano się, że wycieki znajdują się pod Łęgnowem i Płatnowem, wówczas podbydgoski mi wsiami, leżącymi tuż przy fabryce.

Trucizny znajdują się ledwo 50-100 m od Wisły. Jeśli zanieczyszczenia przedostaną się do rzeki, będziemy obserwować to, co na Odrze. A może być gorzej.

– Woda w studniach była coraz gorsza. Były przypadki, że krowy pojone tą wodą padały. Dlatego w 1969 r. władze przystąpiły do wykopania studni. Odebrali także pompy i hydrofony. Za co mieszkańcy mają żal do dziś. Przecież to był prywatny sprzęt, za który zapłacili z własnej kieszeni. Ale wtedy władza robiła, co chciała. W zamian Zachem został przez władze zobowiązany do

bezpłatnego dostarczania wody własnym wodociągiem do czasu usunięcia zanieczyszczeń z wód podziemnych zasilających studnie – opowiada Renata Włazik, mieszkanka Łęgnowa Wsi (teraz to bydgoskie osiedle). Jej cała rodzina była silnie związana z Zachemem. Wygrali nawet zakładowy konkurs, bo po policzeniu okazało się, że aż 150 osób z jej rodziny pracuje bądź pracowało w Zachemie, m.in. dziadek i rodzice.

300 ha trucizny

Prof. Czop: – Dziś wiemy, że lata temu z Zielonej wypełzła chmura zanieczyszczeń, która w 2017 r. została oszacowana na ponad 100 ha.

Później zrobiliśmy więcej odwiertów oraz badań i obecnie szacujemy, że ta chmura ma ok. 300 ha powierzchni! Już w 2017 r. nie mieściło nam się w głowie, że można pozwolić na takie rozprzeczzenie się trucizny. I naprawdę nie wszystko można zrzucić na brak odpowiednich regulacji i świadomości ekologicznej. Zachem z pewnością tę świadomość miał, a wiele złych rzeczy działo się tam, gdy dobre regulacje ▶

► środowiskowe już były. W papierach bydgoskiej fabryki wpisywała, że prawidłowo buduje składowiska i dba o nie. Ale papiery nie pokrywały się z rzeczywistością. Gdyby w latach 90. wzięli się poważnie do przestrzegania przepisów ochrony środowiska, do tak zatrważającego skażenia by nie doszło. A teraz mamy silnie skażonych 300 ha! Tempo rozprzestrzeniania się toksyn jest tak zawrotne, bo panuje tam bardzo sprzyjająca sytuacja geologiczno-hydrologiczna. Zachem stoi wyżej w stosunku do Wisły i wszystko, co wpuścił w ziemię na swoich terenach, błyskawicznie płynie z wodami podziemnymi w kierunku rzeki. Szacujemy, że trucizny znajdują się już ledwo 50-100 m od Wisły. Sytuacja jest coraz bardziej dramatyczna. Jeśli zanieczyszczenia przedostaną się do rzeki, najprawdopodobniej będziemy obserwować to, co niedawno na Odrze. A może też być dużo gorzej.

Po latach okazało się, że niewiele wiedzieliśmy o tym, co się dzieło w Zachemie i okolicach również dlatego, że organy nadzorujące chemicznego giganta nie miały możliwości pełnej kontroli. Wojewódzki inspektorat ochrony środowiska nie badał wielu silnie trujących substancji, o których w tej chwili wiemy, że na pewno tam występowały, takich jak

Potrzeba ok. 2,5 mld zł, żeby zapobiec katastrofie ekologicznej na składowiskach Zachemu.

związki chlorowcoorganiczne, związki nitrowe, anilina oraz liczne produkty ich rozpadu, niejednokrotnie bardziej toksyczne od substancji pierwotnych.

– Niewiele wiemy także dzisiaj – dodaje prof. Czop. – Nadal instytucja, która ma prawo i obowiązek badać, co się dzieje na pozachemowskich terenach, regionalna dyrekcja ochrony środowiska, nie oznacza poziomu stężeń wspomnianych substancji, choć one tam są. W dodatku z pewnością w wyniku reakcji chemicznych powstały kolejne niebezpieczne substancje, np. chlorowane węglowodory, których się nie bada i nie zbada w Polsce, bo żadne polskie laboratorium tego nie robi.



Powstały w 1948 r. Zachem zawsze był niebezpieczny. Latami krążyły opowieści, co się dzieje z pracownikami na produkcji.

„Żaden z organów ochrony środowiska czy też innych ośrodków zainteresowanych problematyką zanieczyszczeń po dawnych Zakładach Chemicznych »Zachem« nie dysponuje pełną i rzetelną wiedzą na temat stanu środowiska gruntowo-wodnego całego tego terenu (...). Z kolei badania prowadzone przez »Zachem« w latach jego istnienia są już nieaktualne i wymagają powtórzenia”, przyznał w maju ub.r. ówczesny minister klimatu i środowiska Michał Kurtyka, w odpowiedzi

Trucizny po Zachemie to było i nadal jest śmierdzące jajo, którego decydenci nie chcą ruszać, mając pewnie nadzieję, że problem sam się rozwiąże. Renata Włazik od sześciu lat kołaczę do wszystkich drzwi i opowiada każdemu, kto chce słuchać, o trucicielstwie chemicznego giganta. A wie naprawdę dużo. – W latach 70. godzinami leżałam w wózecku, ni by na świeżym powietrzu, nieopodał miejsca, w którym w Zachemie produkowano fenol, bo rodzice mieszkali blisko fabryki – opowiada. – Od urodzenia wdychałam to, co się tam wydobywało. Świadomość ekologiczna była wówczas niemal zerowa. W rezultacie przechorowałam dzieciństwo. Jak nie zapalenie oskrzeli, to dopadało mnie zapalenie płuc. Cierpiałam na ciągłe alergie i wrzodziejącą skórę. Dostałam dziesiątki zastrzyków. Szpitale i sanatoria. Ciągłe nosiłam zwolnienia do szkoły. Mogę śmiało powiedzieć, że podstawówkę skończyłam eksternistycznie. Na pewno nie pomogło to, że przebywałam często u dziadków, którzy mieli gospodarstwo tuż przy Zachemie, w Łęgowie Wsi. I zjadałam się warzywami oraz owocami z ich ogródka. Ale długo się nie orientowałam, podobnie jak inni, że moje choroby wiążą się z Zachemem. A rodzice nawet pobudowali się w Łęgowie, blisko dziadków. Liczyli na świeże powietrze, własne zdrowe warzywa i owoce.

na interpelację poselską Jana Szopińskiego, związanego z Bydgoszczą, który zapytał, czy ministerstwo zna rzeczywistą skalę problemu zanieczyszczenia terenów po Zachemie.

Przebadano bardzo wstępnie, przesiewowo, ok. 20% terenu. Ledwie o kilku procentach pozachemowskiej ziemi można powiedzieć, że wiadomo dokładnie, co w niej jest i jak to usunąć. Żeby wszystko dobrze przebadać, potrzeba milionów złotych, jednak AGH nie ma takich pieniędzy. Dlatego badane szczegółowo są tylko teren i okolice kompleksu składowisk przemysłowych Zielona, czyli – według wiedzy ekspertów – obszar najbardziej zanieczyszczony.

Wróg nr 1

– Urzędnicy miejscy razem z WIOŚ od lat zapewniali, że woda jest czysta. W rezultacie ludzie znów zaczęli kopać studnie w Łęgnowie Wsi. I teraz podlewają tą skażoną wodą marchewkę i inne jarzyny, które później sprzedają na bydgoskich targach. Pewnie są i tacy, którzy tą wodą myją się i ją piją – przypuszcza pani Renata.

Kobieta niespodziewanie stała się wrogiem rolników uprawiających ziemię w Łęgnowie Wsi. Bo jak nikt nie będzie chciał kupić warzyw podlewanych wodą ze skażonych studni, to oni stracą chleb. Niezadowoleni są też mieszkańcy, którzy tam się pobudowali. Ceny nieruchomości już spadły drastycznie.

– W dodatku według polskiego prawa za zanieczyszczenia środowiska powstałe przed 2007 r. odpowiada obecny właściciel działki. Czyli mieszkańcy osiedli zatrutych przez skażone wody podziemne z Zachemu – przypomina prof. Czop.

– Nic dziwnego, że wiele osób chciałoby mnie uciszyć – podsumowuje Renata Włazik. Istotnie, wielu chciałoby, żeby sprawa przyschła, ale pani Renata od kilku lat cierpliwie wydeptuje ścieżki do decydentów. Dotarła nawet do kancelarii premiera Morawieckiego. – To nic nie dało – wzrusza ramionami. – Premier zobowiązał wojewodę do działania. A ten powołał komisję, która nic nie zrobiła, bo zanim coś mogła zrobić, wojewoda ją rozwiązał.

To, co mówi i robi pani Renata, jest niewygodne również dla miasta, którego nie stać na samodzielne uporanie się z bombą ekologiczną. Poza tym ratusz chętnie robi interesy, promując biznes na zatrutych terenach po Zachemie.

– A bydgoskie wodociągi, spółka miejska, uznały, że już nie muszą dostarczać nam darmowej wody do Łęgnowa Wsi. I za przyłączenie do wodociągu mieszkańcy muszą zapłacić. Wyniknęła z tego cała awantura – opowiada Renata Włazik.

– Co najlepiej pokazuje, jak urzędnicy, którzy powinni pomagać ludziom, traktują mieszkańców Łęgnowa Wsi – denerwuje się prof. Czop. – Woda pod osiedlem jest nadal

trująca, tę zdatną do picia – bo taki obowiązek został nałożony na Zachem, na co mieszkańcy mają dokumenty – powinni zatem dostarczać spadkobiercy Zachemu. Czyli m.in. miasto. Uśmiełem się, gdy przeczytałem niedawno wywiad dla jednego z popularnych tygodników, w którym prezydent Bydgoszczy, którego służby całe lata wmawiały mieszkańcom Łęgnowa Wsi, że wszystko jest w porządku, nagle dojrzał realne zagrożenie katastrofą ekologiczną i nawet chce chętnych przesiedlać i domy im budować. Widać, że wybory samorządowe już blisko.

Ułomne prawo

Całej sytuacji winne jest z pewnością także ułomne prawo. Rozporządzenie w sprawie badania terenów zanieczyszczonych mówi, że należy je badać, ale – okazuje się – nie ma takiego obowiązku. I w rezultacie,



To, co mówi i robi pani Renata Włazik, dla wielu osób jest niewygodne.

choć naukowcy mają pewność, że ziemia po Zachemie jest zanieczyszczona, grunt nie jest w pełni zbadany – bo nie ma obligatoryjnego badania przed ponownym zagospodarowaniem. A ponieważ służby miejskie i ochrony środowiska latami twierdziły, że ten obszar jest czysty, część pozachemowskich terenów miasto przyłączyło do Bydgoskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego. I dlatego w miejscach z pewnością zanieczyszczonych stoją zakłady przemysłowe i hurtownie – w tym zajmujące się żywnością.

Co robić? Prof. Czop: – Przede wszystkim trzeba jak najszybciej odtworzyć sieć monitorującą poziom zanieczyszczeń na obszarze dawnego Zachemu i w okolicach. Normalnie takie obszary mają system punktów badawczych, które mierzą na bieżąco poziom skażenia. Do ich posiadania zobowiązany jest właściciel terenu. Jeszcze w latach 80. Zachem miał ponad setkę takich punktów. Ale ten system ulegał powolnej dewastacji. Uważali, że jest czysto, więc wyłączali starzejące się punkty. Niektóre otwory badawcze – już po upadku Zachemu – zostały zniszczone. W rezultacie jest ich dzisiaj ledwo kilkanaście. I teraz tę sieć badawczą trzeba odtworzyć i uzbroid w nowoczesne czujniki. Żeby zanieczyszczenia trzymać pod kontrolą i nie pozwolić im się rozlać. Już wiemy na pewno, że nie cały obszar jest skażony. A ten skażony jest zatruty w różnym stopniu. Trzeba teraz rozpoznać, jak daleko rozszły się zanieczyszczenia. Z którymi przyroda sama da sobie radę, a które trzeba neutralizować. Proponujemy m.in. przykryć składowisko Zielona sarkofagiem, a następnie zająć się badaniem oraz remediacją kolejnych ognisk zanieczyszczeń. Pracy jest ogrom nawet na 40-50 lat. Szacujemy, że koszt unieszkodliwienia całej bydgoskiej bomby ekologicznej to ok. 2,5 mld zł.

Niestety, jedyne działania prowadzone obecnie na terenie Zachemu to niewielka remediacja, czyli wypompowywanie i oczyszczanie wód podziemnych i wtłaczanie ich z powrotem. Dotyczy ona ok. 27 ha, na co RDOŚ przeznaczyła niespełna 100 mln zł. Są to środki niewystarczające, w dodatku już wiadomo, że próbuje się szukać oszczędności, m.in. skracając okres płukania wody. – Czyli należy uznać, że to raczej działania pozorowane – podsumowuje prof. Mariusz Czop.

A od roku bydgoskiej policji nie udaje się ustalić, kto jest obecnie właścicielem terenu, na którym znajduje się składowisko odpadów niebezpiecznych Zielona – serce największej polskiej bomby ekologicznej.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz
m.piszcz@tygodnikprzeglad.pl

KAT traci władzę

**Przemoc nie kończy się
wraz z odejściem sprawcy.
Często się nasila**



Anna Stachowiak

Ola miała nadzieję, że po rozstaniu z ojcem jej rocznego syna jakoś się dogadają. Nawet się umówili, w końcu chodziło nie o nich, ale o małego. Wcześniej bywało różnie. Kłócili się. Bardzo. Od terapeutki par dowiedziała się, że to, czego doświadczą w domu, to przemoc. Odeszła. Żeby wszystko było w papierach, wniosła sprawę do sądu. O alimenty i ograniczenie władzy. Na początku jakoś to szło („Różowo nie było, ale ja tam sobie z nim poradzę, nie musi mnie lubić, byleby zajmował się dobrze dzieckiem”), źle się zrobiło, kiedy sąd zaczął wydawać orzeczenia na jego niekorzyść.

Załatwić donosem

Przynajmniej, mówi Ola, on tak to odczytywał, bo przecież chodziło cały czas o dziecko i jego dobrostan. Najpierw pisał setki esemesów: że jest złą matką, że to wszystko jej wina, że podejmie „odpowiednie środki”, żeby dziecko ocalić od tej złej matki. Potem, kiedy mały chorował,

a Ola nie wysyłała go „na kontakty do ojca”, zawiadamił policję. Policjantom mówił, że martwi się o bezpieczeństwo dziecka. Dzwonili, przyjeżdżali, sprawdzali. Jednocześnie pisał dziesiątki pism do sądu, grając zatroskanego ojca: a to, że dziecko ma dużą absencję w przedszkolu, a to, że matka stosuje przemoc emocjonalną, w końcu – że pije. Odpowiadała, załączała dowody, wyniki badań, wskazywała opinie psychologów i przedszkola. W końcu w domu odwiedzili ją pracownicy MOPR, bo dostali informację, że pijana zajmuje się dzieckiem.

– Przyszli, sprawdzili, porozmawiali ze mną i synkiem, wszystko naturalnie było w porządku. Złożył fałszywy donos, a ja musiałam się tłumaczyć – relacjonuje Ola. Potem dostała pismo z Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych. Napisał, że jest alkoholiką. Dostała wezwanie na przesłuchanie. Wybór miała taki: albo przyznać, że pije, albo powiedzieć, że nic podobnego, i zgodzić się na „dobrowolne” badania przez biegłych. Zgodziła się. – Muszę. Muszę udowodnić, że nie jestem wielbłądem – mówi.

Takie donosy to częsta taktyka przemocowców, którzy na zamkniętych internetowych grupach doradzają sobie, jak załatwić „madkę”.

Przez tych kilka miesięcy, kiedy trwała procedura, do sądu szły kolejne pisma. W sumie były partner zainicjował siedem dodatkowych postępowań. – Jestem wrakiem – przyznaje Ola. – Schudłam 10 kilo, nie mogę jeść, nie mogę spać, mam lęki. Biorę leki, bo inaczej nie mogłabym funkcjonować. Jestem zrujnowana finansowo, bo przecież adwokat kosztuje, a ja jestem z tym wszystkim sama – dodaje. Ostatnio lekarz zdiagnozował u niej chorobę autoimmunologiczną skóry. Ze stresu.

Problemy finansowe ma też Dagmara. Były mąż, przeciw któremu toczyło się postępowanie o znęcanie się nad nią i nękanie jej (umorzone, podobnie jak 70% spraw tego typu w Polsce), nie płaci alimentów. Znaczący, raz płaci, raz nie, zależy od nastroju. Ponieważ córka Dagmary, która pamięta tatę w akcji, kiedy wyzywał ją od tępych dzid i wyśmiewał, że gruba i nic niewarta, nie chce widywać się z ojcem, na kontakty nie chodzi. Wobec tego

mężczyzna założył sprawę o karę finansową dla matki: 500 zł za każdy niezrealizowany kontakt. Sąd do żądania ojca się przychylił. Dagmara go w zasadzie utrzymuje, bo dziecka, jak mówi, do widywania się z psychopatą zmuszać nie będzie.

Kiedy Magda spakowała siebie i córkę i uciekła do Polski od męża Francuza, który bardzo lubił, kiedy obie się go bały, ten uruchomił procedury, by sprowadzić dziecko z powrotem. Po kilku latach od ucieczki postawił na nogi pół Polski, uruchamiając child alert. Twierdził, że matka porwała dziecko, a on się boi o bezpieczeństwo córki. Tej samej, której nie widział kilka lat. Tej samej, która nie chce go znać. W ramach dbania o „dobro dziecka” robi wszystko, by córka wróciła do niego do Francji.

Przykładów są tysiące, a wszystkie wpisują się w jeden schemat: przemocy poseparacyjnej. Bo prześladowanie ofiary wcale się nie kończy, kiedy ta zdecyduje się odejść od oprawcy. Przeciwnie, często wtedy się nasila, a przyczyna jest prosta: kat nie chce się pogodzić z tym, że traci władzę. Z raportu opublikowanego w tym roku przez brytyjską organizację Femicide Census wynika, że 37% ofiar zabójstw (kobietobójstwa) to kobiety, które podjęły kroki, by odejść od sprawcy przemocy. W Polsce z rąk przemocowych partnerów i mężów ginie rocznie ok. 400 kobiet.

Utrata kontroli

Joanna Gzyra-Iskandar z Centrum Praw Kobiet wyjaśnia: – Przemoc poseparacyjna to forma przemocy występująca po rozstaniu partnerów, po wyprowadzce jednego z nich, jeszcze w trakcie lub już po rozwodzie. Dochodzi do niej bardzo często wówczas, gdy byli partnerzy muszą się podzielić majątkiem oraz uzgodnić kontakty z dzieckiem. Główną przyczyną stosowania tego rodzaju przemocy jest fakt, że kobieta postanowiła wyzwolić się spod władzy i kontroli partnera czy męża, który stosował wobec niej przemoc w związku.

Jak dodaje ekspertka CPK, sprawcom przemocy zależy nie na konkretnej osobie, lecz na możliwości

sprawowania nad nią władzy i kontrolowania jej, co doskonale wpisuje się w przemocowy mechanizm. – Gdy kobieta decyduje się na odejście, zapowiada założenie sprawy rozwodowej, wyprowadza się, przemocowiec traci obiekt, nad którym sprawował władzę. Wytrąca go to z równowagi. Nie może się pogodzić z decyzją kobiety, podjętą niezależnie od niego i wbrew niemu. Nie przestaje więc stosować wobec niej przemocy – mówi Joanna Gzyra-Iskandar.

– Przemoc się zmienia i przybiera inne formy, ale nie znika. Arsenał środków, którymi dysponują byli partnerzy, jest bogaty: groźby, zastraszanie, nękanie, oczernianie wśród znajomych i pracodawców, wytaczanie kolejnych spraw sądowych, które mają na celu być partnerkę pognać, stresować, zaszczuwać, pozbawiać ją czasu i energii, zmuszać do opracowywania linii

odbijają się na psychice zarówno matki, jak i dziecka. W Centrum Praw Kobiet znamy historie matek, których dzieci były nastawiane przeciwko nim przez ojców. Manipulowanie i kłamanie na temat drugiego rodzica to także forma przemocy – zarówno wobec dziecka, jak i wobec drugiego rodzica, ponieważ prowadzi do zaburzenia relacji dziecka z rodzicami oraz procesu zdrowego dorastania dziecka – tłumaczy Joanna Gzyra-Iskandar i zapewnia: – Kobiety, które doświadczają przemocy poseparacyjnej, mogą liczyć na wsparcie Centrum Praw Kobiet. Również w schroniskach, które prowadzi CPK.

Kto dba o dziecko

Anita Kucharska-Dziedzic, szefowa stowarzyszenia BABA, posłanka Lewicy i członkini powołanego niedawno Parlamentarnego Zespołu ds. Monitorowania Podmiotowości

Donosy to częsta taktyka przemocowców, którzy na zamkniętych grupach internetowych doradzają sobie, jak załatwić „madkę”.

obrony; kłamać na jej temat, podważać jej kompetencje wychowawcze i dyskredytować ją jako matkę – wylicza ekspertka. W tych sprawach, które dotyczą opieki nad dziećmi, sprawcy chętnie się podpierają „dobrem dziecka”.

– Przed sądem potrafią odgrywać zatoskanych ojców, którzy zrobią wszystko, aby móc dalej utrzymywać kontakt z dzieckiem, a matce ograniczyć kontakty lub wręcz ją ich pozbawić. Nierzadko koronnym argumentem są warunki mieszkaniowe i bezpieczeństwo finansowe – mężczyzna, który nie był zmuszony do ucieczki z domu z dziećmi tak jak stał, wobec którego nikt nie stosował przez lata przemocy ekonomicznej, w oczach sądu może zapewnić dzieciom lepsze warunki bytowe niż matka, która np. zatrzymała się u bliskich lub w schronisku dla ofiar przemocy, aktualnie nie ma stałej pracy itd. W granicznych przypadkach dochodzi nawet do porwań czy uprowadzeń rodzicielskich, które tragicznie

Dziecka w Prawie Krajowym, dodaje: – Parlament Europejski wytknął nam (choć nie wymieniono Polski, wskazano niedopuszczalne praktyki stosowane w Europie), że sądy w sprawach rodzinnych przy podejmowaniu o opiece nad dziećmi nie uwzględniają toczących się śledztw lub spraw o przemoc domową. Jeżeli jest choć uzasadnione podejrzenie stosowania przemocy przez któregośkolwiek z rodziców, rodzic ten powinien mieć zakaz zbliżania się do dziecka aż do pozytywnego dla niej/niego rozstrzygnięcia. W Polsce w sprawach cywilnych czy rodzinnych nie zwraca się uwagi na to, co o relacjach w tej rodzinie orzekł sąd karny czy prokurator.

Anita Kucharska-Dziedzic podkreśla kolejny absurd: fakt stosowania przemocy uznaje się za nieistotny w rozstrzygnięciach o opiece nad dzieckiem, jeżeli udowodniono tylko przemoc w stosunku do matki. To, że dziecko było ofiarą, bo było świadkiem przemocy, co dla jego ▶

► psychiki miało rujnujący skutek, jest nieistotne. A kiedy dziecko jest świadkiem przemocy, widzi czyjąś agresję i czyjąś krzywdę, to zawsze jest przemoc wobec niego.

– Proszę zwrócić uwagę, że pokazywanie dziecku pornografii jest karane, podczas gdy pokazywanie mu okrucieństwa nie jest – mówi Anita Kucharska-Dziedzic, opowiadając, że widziała już przyznanie łączzonej opieki nad dzieckiem, które było świadkiem, jak ojciec bił i zgwałcił matkę. Przypomina, że w sprawach o opiekę często szermuje się pojęciem „alienacji rodzicielskiej”, kiedy matka, która doświadczyła przemocy ze strony partnera i chce uchronić przed nią dzieci, nie godzi się na ich kontakty z ojcem, uważając, że są dla dzieci zagrożeniem. – W Polsce wciąż używa się tego pojęcia. Grupa Ekspertów Rady Europy ds. Przeciwdziałania Przemocy wobec Kobiet i Przemocy Domowej wskazała, że rzekoma alienacja rodzicielska przywoływana jest zwykle wtedy, gdy matki odmawiają wydania dziecka ojcom, ze strony których doświadczyły przemocy. Z analogicznych powodów w lutym 2020 r. Światowa Organizacja Zdrowia usunęła alienację rodzicielską z Międzynarodowej Statystyki Chorób i Problemów Zdrowotnych ICD-11.

Po odejściu zaczyna się spirala odwetu i zemsty. – Przemoc to egzekwowanie kontroli i władzy za pomocą agresji fizycznej, słownej lub innych technik. Są mężczyźni, którzy sądzą, że kobieta i dzieci należą do nich. I nagle ta matka odchodzi i zabiera dzieci z przemocowego domu. Kontrolujący ojciec traci poczucie sprawczości, traci władzę, czuje się zdradzony na wielu poziomach. Każda wygrana w sądzie z matką, mandat, skarga i wymuszenie rzekomego pojednania z byłą partnerką w kwestii opieki nad dzieckiem jest przywracaniem starego porządku. Sytuacje, w których kobiety wykorzystują

alimentów nie dostaje milion dzieci. To również przemoc. Ekonomiczna. Zemsta na tej znienawidzonej „madce”, która musi zrobić wszystko, by zapewnić dzieciom utrzymanie. I tu znowu zaczyna się błędne koło – jeśli bierze dodatkowe prace, ma mniej czasu dla dzieci. Dla przemocowca to w sądzie koronny argument, że jest złą matką.

– W tych wszystkich sytuacjach dziecko traktuje się jako przedmiot konfliktu, rzecz, którą rodzice wydzielają sobie z rąk. Konfliktu i emocji nie wykluczamy w sprawach rodzinnych. Prawdziwym problemem jest to, że podmiotowości i interesu dziecka

Groźby, nękanie, oczernianie wśród znajomych i pracodawców, wytaczanie spraw sądowych – to arsenał przemocowców.

dzieci, by zemścić się na mężczyźnie, który je porzucił, bo uznają, że skoro porzucił je, to porzucił i dzieci, w związku z tym utrudnią mu kontakt, też się zdarzają. I też dość często – zaznacza Kucharska-Dziedzic.

Alimenty dla „madki”

W Polsce 300 tys. zobowiązanych do płacenia alimentów nie wywiązuje się z tego, co oznacza, że

nie szanują w Polsce ani organa ścigania, ani sądy. Wydanie dziecka, przekazanie dziecka – już sama terminologia jest upodlająca. Tragedii dziecka, którego nikt nie wysłucha i nikt nie szanuje jego pragnień, potrzeb i życzeń, polskie państwo nie widzi. Dziecko nie głosuje, może dlatego – dodaje posłanka.

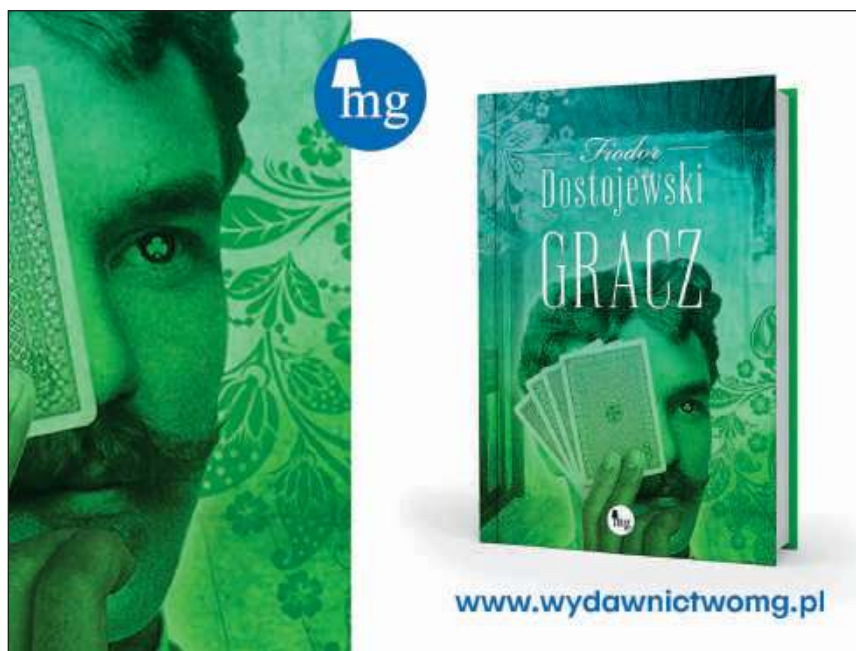
Magda, której koszmar trwa od siedmiu lat, cierpi na tysienie placzkowe. Jej córka ma zaburzenia lękowe. Sprawy są w toku.

Ola zachorowała na łuszczycę, bo organizm nie mógł sobie poradzić ze stresem. Tydzień temu odebrała kolejne pismo z sądu. Tym razem były partner domaga się zmiany zabezpieczenia w ten sposób, by dziecko było przy nim. Przy okazji Ola traci zlecenia, bo nie ma czasu. Bronienie się przed fałszywymi oskarżeniami i przygotowywanie odpowiedzi na pisma sądowe pochłania go mnóstwo.

Dagmara musiała zamknąć działalność, po tym jak komornik zajął jej konta i sprzęt. Kary za niezrealizowane kontakty sięgały 60 tys. zł. Szuka pracy, a psychiatra zwiększył jej dawki leków. Po to, żeby rano mogła wstać z łóżka.

Wszystkie sprawy o nękanie, które Magda, Ola i Dagmara próbowały założyć, prokuratura umorzyła.

Anna Stachowiak



Z Galicji



Jan Widacki

Szok kulturowy prezesa

Na Forum Ekonomicznym w Karpaczu prezes Kaczyński wyznał, że 33 lata temu był w Wiedniu, gdzie przeżył szok kulturowy i od razu się zorientował, że znalazł się w obcej kulturze.

Właściwie wiedzieliśmy to wcześniej i bez tego wyznania. Skoro jednak prezes publicznie to powiedział, warto poświęcić jego wspomnieniu więcej uwagi. Ten szok musiał mieć kilka przyczyn. Pierwsza to zapewne język. Znalazł się prezes w obcym kraju, którego mieszkańcy mówili w nieznanym mu języku, w dodatku wszystkie napisy, jakie dostrzegł w przestrzeni publicznej, też były w tym nieznanym języku. Nawet nie wiem, czy prezes się zorientował, że to niemiecki. Może się nie zorientował, bo gdyby wiedział, że ten nieznan mu język to niemiecki, szok zapewne byłby jeszcze większy, a ów język brzmiałby nie tylko obco, ale nawet złowrogo. Bo do Niemców i ich języka prezes ma uraz szczególny.

Aż się boję, że gdy teraz prezes sobie przypominał niegdysiejszą traumę, mogło to u niego uruchomić łańcuch uśpionych mechanizmów. Czy nie uświadomi sobie, że Austria uczestniczyła w rozbiorach Polski, a więc należy się nam od Austrii stosowna rekompensata. Za ponad sto lat zaborów powinna być niemata! Szczegółowo wielkość roszczeń obliczy najpewniej jakaś pisowska komisja. Metodykę obliczeń wysokości należnej rekompensaty opracował

już poseł Mularczyk. Jest on prawnikiem, zanim został posłem, wykonywał zawód adwokata w Nowym Sączu. Co prawda, najstarsi nowosądecki adwokaci nie pamiętają, aby mecenas Mularczyk skutecznie wygrał przed sądem jakąś większą sprawę odszkodowawczą, ale to o niczym nie świadczy. Po pierwsze, mogą nie pamiętać, mogą też złośliwie udawać, że nie pamiętają. Po drugie, od czasów gdy Mularczyk wykonywał praktykę adwokacką w Nowym Sączu, minęło sporo lat, mógł od tego czasu się rozwinąć. Tak czy owak, rząd austriacki już powinien czuć niepokój.

Zostawmy jednak Mularczyka w spokoju, wróćmy do prezesa. To, że oprócz polskiego (z żoliborskim akcentem) prezes nie zna żadnego innego języka, również wiadomo. Można zasadnie podejrzewać, że w każdej europejskiej stolicy czułby się nieswojo i byłby zaszokowany. Wolno mu. Gdyby był osobą prywatną, byłoby to może zabawne, ale nieszkodliwe. Siedziałby sobie ze swoim kotem na Żoliborzu i nawet nie posiadając konta w banku ani karty kredytowej, jakoś by sobie w pobliskich sklepach

robił zakupy, płacąc gotówką. Z ekspedientkami po polsku by się dogadał, nawet mógłby kogoś zagadnąć na ulicy. Nazwę sklepu by odczytał, rozumiał rozkład jazdy, „Gazetę Polską” (nie tylko z nazwy, ale i z języka) poczytał, TVP obejrzał i wszystko rozumiał. Niestety, prezes nie jest osobą prywatną, jakimś zwyczajnym emerytem, robiącym zakupy w osiedlowym sklepie. Nie tylko od kilku lat kieruje polską polityką, w tym zagraniczną, ale także kreśli wizję Polski i na razie ma siłę polityczną, by ją realizować.

Nie dziwię się, że w Wiedniu (i w zasadzie w każdej dowolnej europejskiej stolicy, może poza Budapesztem) prezes musi czuć się nieswojo. Nie tylko przez nieznośność języka. Kultura europejska faktycznie prezesowi jest obca. Jemu po prostu obce są europejskie ideały. Wolności, demokracji, praw człowieka. Znacznie lepiej czułby się w Mińsku, Moskwie czy Ankarze.

Ideologicznie i mentalnie zdecydowanie bliżej mu do tych stolic. Siłą Europy są jej wolne społeczeństwa obywatelskie, samorządy, liberalna demokracja, europejski uniwersalizm, czyli akurat to, czego prezes nie lubi najbardziej. Identyczne poglądy mają Putin, Łukaszenka, Erdoğan czy Orbán. W miejsce uniwersalizmu – nacjonalizm,

w miejsce społeczeństwa obywatelskiego i samorządów centralna władza autorytarna, w miejsce wolności i pluralizmu wszechstronna kontrola jednostki przez władzę, dyktującą jedn-

nostce, jak ma żyć. Szukanie uzasadnień dla swojej realizowanej na siłę wizji państwa w zmitologizowanej historii i religii. U nas nazywa się to wstawaniem z kolan, w Rosji odbudową imperium, w Turcji tęsknotą (na razie tylko tęsknotą) za imperium osmańskim, na Węgrzech tęsknotą za Wielkimi Węgry. Wszystkie te reżimy budują swój wewnętrzny autorytet na poczuciu historycznej krzywdy, w sojuszu z Kościołem (w Polsce), Cerkwią prawosławną (w Rosji), islamem (Turcja). Wszystkie mają identyczny stosunek do mniejszości (również seksualnych).

Jeden z ideologów i mentorów Kaczyńskiego, prof. Krasnodębski, twierdził niedawno, że dla Polski Zachód jest większym zagrożeniem niż Rosja. Obawiam się, że prof. Krasnodębski musi cierpieć ogromnie, bo jeśli się nie mylę, na stałe mieszka w Niemczech, na wrogi nam Zachodzie. Zesłali go tam?

Gdyby nie rosyjska napaść na Ukrainę, prezes w Moskwie czułby się zdecydowanie lepiej niż w Wiedniu. Zostaje mu jeszcze Ankarę. ■

**Kultura europejska prezesowi jest obca.
Jemu po prostu obce są europejskie ideały.
Wolności, demokracji, praw człowieka.**

Anna Stachowiak

Od rosyjskiej agresji na Ukrainę minęło ponad pół roku. W tym czasie do Polski przyjechało ponad 2 mln uchodźców, głównie kobiet i dzieci. Jak wynika z najnowszego raportu Fundacji Szkoła z Klasą „Razem w klasie. Dzieci z Ukrainy w polskich szkołach”, przez te kilka miesięcy do szkół w Polsce przyszło ponad 180 tys. dzieci z Ukrainy. Fala dzieci strauatyzowanych wojną i koniecznością opuszczenia domu, nieznanymi języka, to dla szkół, dyrektorów i nauczycieli wyzwanie edukacyjne oraz opiekuńcze.

Nie ma przywilejów

Tymczasem ponad 42% nauczycieli nie pracowało wcześniej z uczniami z innych krajów, a zaledwie 1% zna język ukraiński. Dodatkowo aż 50% deklaruje, że ma ogromne trudności z oceną postępów ukraińskich dzieci i wyznaczaniem im celów edukacyjnych, a wpływa na to m.in. fakt, że nauczyciele widzą u tych dzieci objawy stresu pourazowego.

W maju szef resortu edukacji Przemysław Czarnek mówił: „Stworzyliśmy elastyczny system przyjęcia ukraińskich dzieci do polskich szkół. Polega on na tym, że istnieje możliwość pozostania w ukraińskim systemie oświaty w trybie zdalnym lub uczęszczania do polskiej szkoły”. Przy innej okazji zaznaczył jednak, że nie będzie przywilejów: „Traktujemy dzieci ukraińskie, które chcą zdawać egzamin ósmoklasisty czy maturę, dokładnie na takich samych zasadach jak dzieci polskie”. W ocenie specjalistów w sytuacji, w której znaleźli się ukraińscy uczniowie, „przywileje” byłyby czymś naturalnym, trudno bowiem oczekiwać dobrych wyników, kiedy dzieci nie tylko nie znają języka, ale w dodatku znajdują się w ekstremalnie trudnej sytuacji psychicznej.

Raport diagnozuje wyzwania dla polskiego systemu edukacji. Chodzi nie tylko o liczbę dzieci, dla których trzeba było znaleźć miejsce, co z kolei wymagało zmian organizacyjnych w funkcjonowaniu przedszkoli i szkół, o sytuację kryzysu wojennego,

Przede wszystkim integracja

Ukraińskie dzieci potrzebują nie tylko edukacji, ale i opieki. Jak sobie radzi polska szkoła?



Jedna z krakowskich podstawówek tuż po wybuchu wojny przyjęła kilkudziesięciu ukraińskich uczniów.

w której znalazły się ukraińskie rodziny, i o wywołane tymi okolicznościami kryzysy psychiczne oraz nieznanymi języka polskiego, ale także o różnice w polskim i ukraińskim systemie edukacyjnym. Już samo to stanowi „gigantyczne wyzwanie”. Autorzy podkreślają zarazem, że raport wydają w „czasie szczególnym”, minął bowiem „okres pospolitego ruszenia i spontanicznej pomocy migrantom wojennym”, za to „ujawnił się już szereg problemów prawnych, kulturowych i społecznych związanych ze wsparciem migrantów w Polsce”.

Z tego powodu do udziału w badaniu fundacja zaprosiła szkoły. Odpowiedzieli na to zaproszenie przedstawiciele 71 (71 dyrektorów oraz 792 nauczycieli i nauczycielek) ze 110 placówek, do których po wybuchu wojny dołączyły dzieci z Ukrainy, objętych wsparciem materialnym

i merytorycznym fundacji. W komentarzu na temat sytuacji w szkole dr Tomasz Knopik, adiunkt w Katedrze Psychologii Edukacyjnej i Diagnostyki Psychologicznej UMCS, pisał, że jedynie 10% uczniów z Ukrainy uczyło się w oddziałach przygotowawczych, co oznacza, że większość została przyjęta do już istniejących klas i razem z polskimi uczniami realizowała podstawę programową. A przynajmniej próbowała, „bo efektywność tych działań już na etapie założeń rodzi wiele wątpliwości”, dodawał ekspert, wyliczając wyzwania i problemy. Za jedno z najważniejszych uznaje właśnie niezgodność podstaw programowych: „Założenie, że ośmioletni uczeń pochodzący z Ukrainy może zostać automatycznie zapisany do klasy drugiej w polskiej szkole podstawowej, jest dość ryzykowne. Ukraińska szkoła podstawowa

trwa dziewięć lat, a dzieci rozpoczynają edukację w szóstym roku życia. Nawet pobieżna analiza porównawcza zakresu treści z matematyki czy szeroko rozumianego bloku STEM (ang. *science, technology, engineering, mathematics*, czyli nauka, technologia, inżynieria i matematyka – przyp. red.) pokazuje, że uczniowie ukraińscy dysponują zdecydowanie szerszym zakresem wiedzy i umiejętności niż ich rówieśnicy w Polsce”. Tomasz

– oddziały przygotowawcze dla osób niebędących obywatelami polskimi oraz osób będących obywatelami polskimi, które pobierały naukę w szkołach funkcjonujących w systemach oświaty innych państw, jeśli nie znają języka polskiego albo znają go na poziomie niewystarczającym.

„Zgodnie z wykładnią MEN zajęcia w oddziałach przygotowawczych mają charakter integracyjny, ukierunkowane są na intensywną naukę

Wiele dzieci wykazuje objawy stresu pourazowego. To dlatego wsparcie takie powinno być priorytetem, a nie wszyscy nauczyciele potrafią ocenić stan psychiczny wychowanków.

Maslow before Bloom

Z tego powodu, a także z uwagi na fakt, że na razie nie wiadomo, ile dzieci zostanie w polskiej szkole, a ile pojedzie z rodzinami dalej lub wróci do Ukrainy, należy – uważa dr Knopik – zastosować maksymę „Maslow before Bloom”. Co to oznacza? Priorytetyzowanie potrzeby bezpieczeństwa, przynależności i równowagi emocjonalnej, a dopiero w dalszej kolejności realizowanie celów nauczania.

Podobne wnioski płynęły z panelu „Ukraińska młodzież w Polsce”, który odbył się podczas Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach. Za podstawowy problem uznano brak jednolitej koncepcji w podejściu do problemu, wskazując, że władze miotają się między dydaktyką a opiekuńczą funkcją szkoły, a za jedno z rekomendowanych rozwiązań – dołączanie do zespołów

Jednym z najważniejszych problemów nauczania jest niezgodność podstaw programowych w szkole polskiej i ukraińskiej.

Knopik zaznaczył przy okazji, że owe „naddatki kompetencyjne” nie stanowią kluczowej trudności, ale już nieznajomość języka polskiego – tak.

Nauczyciele i dzieci bez języka

Jak wynika z raportu Fundacji Szkoła z Klasą, zdecydowana większość nauczycieli nie miała doświadczeń w pracy z uczniami z innych krajów lub miała niewielkie. Zaledwie 4% pracowało z wieloma uczniami i uczennicami z Ukrainy, a 9 na 10 nauczycieli nie zna języka ukraińskiego. Jedna trzecia osób pracujących z dziećmi z Ukrainy przybyłymi w wyniku wojny nie uczestniczyła do momentu zbierania danych w żadnym szkoleniu dotyczącym metodyki pracy z tą grupą. Mimo że liczba dzieci z Ukrainy, które dołączyły do szkół w Polsce, różni się w zależności od regionu, eksperci uważają, że optymalnym rozwiązaniem są oddziały przygotowawcze. „W 21,6% szkół wzrost populacji nie przekroczył 5% jej liczebności sprzed kryzysu. W jednej trzeciej placówek (33,3%) populacja uczniowska wzrosła o 5-10%. W kolejnych 21,6% środowisk uczniów przybyło od 10% do 15% osób. Dla 2% szkół zmiana była znacznie większa i sięgała od 35% do 40%”, czytamy w raporcie. 90% szkół prowadzi edukację dzieci z Ukrainy w zwykłych klasach, a ok. 40% uruchomiło oddziały przygotowawcze.

W 2016 r. pojawiła się nowa forma organizacji nauki dla uczniów i uczennic z doświadczeniem migracji

języka polskiego (minimum sześć godzin tygodniowo), a ich zasadniczym celem jest przygotowanie do nauki w polskiej szkole. Jednocześnie organizacja lekcji pozwala na wspólne aktywności z polskimi uczniami, np. w ramach zajęć z wychowania fizycznego, języka angielskiego czy przedmiotów artystycznych lub techniczno-informatycznych (czyli tych, w których możliwe jest skorzystanie z bardziej uniwersalnych środków komunikacji)”, pisze Tomasz Knopik.

Uczniowie ukraińscy mają zdecydowanie szerszą wiedzę i umiejętności niż ich rówieśnicy w Polsce.

Wyzwaniem mogą być także relacje rówieśnicze, choć część wyników badań skłania do optymizmu. Ponad 55% nauczycieli zauważa, że wszyscy uczniowie i uczennice, lub większość, szukają kontaktów z dziećmi, które przybyły z Ukrainy w wyniku wybuchu wojny, a prawie 60% zauważa, że wielu uczniów i wiele uczennic pomaga dzieciom z Ukrainy (np. tłumacząc im różne kwestie związane z nauką). Jednocześnie prawie 30% nauczycieli i nauczycielek wskazuje, że większość dzieci chce się dzielić informacjami o swojej kulturze. Nauczyciele potrzebują jednak wsparcia pedagogów i psychologów, którzy będą w stanie trafnie ocenić stan psychiczny przybyłych dzieci. Połowa lub więcej dzieci z tej grupy ma bowiem objawy depresji i obniżony nastrój, wyrażają obawy i strach o swoich bliskich w Ukrainie.

dydaktycznych specjalistów z Ukrainy. „We współpracy z samorządami otwieramy ośrodki wsparcia. Czekamy jednak na systemową pomoc dla tej działalności ze strony państwa”, powiedziała Renata Bem, zastępczyni dyrektora polskiego oddziału UNICEF.

Zwrócono też uwagę na mobilność ukraińskich rodzin oraz dużą absencję dzieci. O „znikaniu” dzieci z systemu oświaty mówiła Aleksandra Saczuk z Edukacyjnej Fundacji im. Romana Czerneckiego, inni eksperci szacowali, że absencja ukraińskich dzieci wynosi ok. 50%. Wynika to ze stresu, którego doświadczyły, a który wpływa na ich funkcjonowanie. Dlatego w opinii przedstawicieli organizacji pozarządowych kluczowa powinna być nie asymilacja, ale integracja.

Jak żyć, pani premierko, panie kanclerzu, Rado Związkowa

Brytyjczycy i Niemcy z przerażeniem czekają na mróz



„Kryzys energetyczny, inflacja i ubożenie – porażki rządu” – pod takim hasłem protestowano podczas wizyty kanclerza Olafa Scholza na uniwersytecie w Magdeburgu.

Marek Czarkowski

Wielka Brytania – Winter is coming

43-letnia Nicky Singh pracująca w przemyśle lotniczym wyznała w kwietniu br. dziennikowi „Birmingham Mail”: „Od stycznia płacę ok. 245 funtów miesięcznie za gaz i energię elektryczną. Mieszkam z 13-letnim synem, a w marcu musiałam prawie całkowicie wyłączyć ogrzewanie. Grzejnika używam trzy godziny dziennie, a gdy pracuję w domu, zakładam na siebie dwa swetry”. Nicky Singh obawia się, że wkrótce będzie musiała oszczędzać na jedzeniu: „Rok temu średnie wydatki na zakupy wynosiły ok. 55 funtów tygodniowo, teraz to 70-75 funtów. Bez ogrzewania jakoś sobie poradzimy,

ale musimy jeść. I co z dzieckiem, jego edukacją, książkami?”.

Podobnych uwag i opinii znajdziemy w brytyjskim internecie bez liku. Bo wzrost cen surowców energetycznych, który zaczął się w styczniu br., ostatnio gwałtownie przyspieszył. Już w styczniu Ofgem, brytyjski regulator rynku energii (odpowiednik polskiego Urzędu Regulacji Energetyki), informował, że ceny prądu i gazu dla gospodarstw domowych w Wielkiej Brytanii wzrosną w ciągu roku średnio o 693 funty, czyli o 3776,85 zł. Dziś te szacunki są nieaktualne. Pod koniec sierpnia Ofgem zaakceptował podwyżkę cen aż o 80%! Co oznacza wzrost o 1578 funtów. A to dla odbiorców indywidualnych potężny cios. Takie ceny to wynik uzależnienia Wielkiej Brytanii od importu gazu – nie tylko

z Rosji, przede wszystkim z Norwegii, USA oraz krajów Zatoki Perskiej. Zdaniem niektórych ekonomistów w styczniu 2023 r. inflacja wzrosła nad Tamizą do 18% i osiągnie najwyższy poziom od ponad 30 lat.

W dramatycznej sytuacji znaleźli się brytyjscy emeryci, otrzymujący skromną państwową emeryturę, i osoby o niskich dochodach. W czerwcu w Londynie odbyła się wielotysięczna demonstracja przeciw rosnącym cenom energii i kosztów utrzymania. Media donosiły, że niektóre samorządy rozważają utworzenie zim w bibliotekach i innych budynkach publicznych miejsc, w których ubodzy Brytyjczycy będą mogli się ogrzać.

Co gorsza, rząd nie miał wtedy żadnego planu łagodzenia kryzysu. Latem, po dymisji premiera Borisa Johnsona, czekano na jego następcę. Na początku września Liz Truss ogłosiła, że jej gabinet zamierza na następne dwa lata zamrozić roczny pułap cen energii elektrycznej i gazu dla gospodarstw domowych na poziomie 2,5 tys. funtów. Ma to kosztować gospodarkę ok. 150 mld funtów. Komentatorzy natychmiast zwrócili uwagę na trzy elementy. Po pierwsze, nie wiadomo, jak zniesie to brytyjski budżet, już obciążony gigantycznymi wydatkami związanymi z pandemią COVID-19. Po drugie, co z osłonami dla najuboższych grup społecznych, a po trzecie, nie ma rządowych propozycji związanych z ograniczeniami zużycia energii.

Według szacunków End Fuel Poverty Coalition tej zimy aż 7 mln brytyjskich gospodarstw domowych popadnie w ubóstwo energetyczne. Wzrost cen to wynik nie tylko wojny w Ukrainie, ale także spekulacji i niewielkiej dbałości Brytyjczyków

o oszczędzanie energii. Bo większość domów pod względem energooszczędności spełnia standardy z lat 70. XX w., co oznacza, że aby je ogrzać, potrzeba więcej opału. Nie brakuje też budynków z lat 60. i 70. przypominających naszą wielką płytę. A ponieważ na Wyspach ostre zimy należą do rzadkości, stawiano je, nie przejmując się zbytnio, czy są właściwie ocieplone.

Pół wieku temu w kominkach paliło węglem, którego dziś na Wyspach się nie wydobywa. Ogrzewanie gazem, przez lata względnie tanie, w tej chwili kosztuje krocie. Zrozpaczeni

i przeznaczyć pozyskane w ten sposób środki na wsparcie potrzebujących.

Problemy dotknęły też brytyjską gospodarkę. W 2021 r. odnotowała ona wzrost PKB o 7,4%, lecz w tym roku może to być 3,3%, a w 2023 r. jeszcze mniej. Co do jednego politycy, dziennikarze i ekonomiści są zgodni – Zjednoczone Królestwo czekają trudne czasy.

Niemcy – nie ma węgla, nie ma gazu, nie ma niczego

Rząd kanclerza Olafa Scholza do kryzysu energetycznego podszedł w najlepszych tradycjach

Pod koniec sierpnia Ofgem, brytyjski regulator rynku energii, zaakceptował podwyżkę cen aż o 80%!

Brytyjczycy zaczęli organizować się w ruchy takie jak Don't Pay UK, który wzywa do strajku, czyli niepłacenia rachunków za energię. Na razie zobowiązało się do tego ponad 188 tys. osób. Celem organizatorów jest 1 mln „strajkujących”. Liczą oni, że w ten sposób zmuszą rząd i spółki energetyczne do obniżenia rachunków za światło i gaz. Powołują się na przykład masowej odmowy płacenia podatku pogłównego, który rząd Margaret Thatcher wprowadził na początku 1990 r. i który stał się jedną z przyczyn upadku pani premier. 31 marca 1990 r. na Trafalgar Square doszło do demonstracji przeciwników pogłównego i do zamieszek. Gdy Thatcher nie uległa namowom ministrów jej gabinetu, by wycofać się z tej decyzji, została zmuszona do rezygnacji. Jej następca, premier John Major, w marcu 1991 r. zniósł podatek.

Wściekłość Brytyjczyków wywołują również informacje o wyjątkowo wysokich przychodach i zyskach spółek energetycznych oraz rekordowych zarobkach członków ich zarządów. W drugim kwartale tego roku pięć największych kompanii naftowych na świecie – ExxonMobil, Chevron, Shell, BP i Total – osiągnęło zysk 60 mld dol., z czego 45% trafiło bezpośrednio do kieszeni akcjonariuszy. Nie brakuje głosów, że rząd brytyjski powinien wprowadzić podatek od nadzwyczajnych zysków spółek energetycznych

„ordnungu”. Robert Habeck, wicekanclerz odpowiedzialny za gospodarkę i ochronę klimatu, już wiosną mówił o konieczności oszczędzania energii, podając jako przykład siebie: „Kąpię się pod prysznicem nie dłużej niż pięć minut”.

W Berlinie na przełomie lutego i marca zaczęto przygotowywać plany awaryjne na wypadek całkowitego wstrzymania przez Gazprom dostaw paliwa gazociągami Nord Stream I. Obejmowały one

pływających gazoportów oraz przedłużeniu działalności 21 elektrowni węglowych. A ponieważ nad Renem nie wydobywa się już węgla kamiennego i trzeba go sprowadzać z odległych krajów, podjęto decyzję, że pociągi wiozące ten surowiec z portów będą miały na torach pierwszeństwo przed składami pasażerskimi.

Nadal trwają dyskusje, czy gabinet Scholza zamknie do połowy kwietnia 2023 r. trzy pozostałe elektrownie jądrowe. Krytycy ostrzegają, że w ostatnim półroczu Niemcy masowo zapatrywali się w grzejniki elektryczne i inne źródła ciepła, co może doprowadzić jesienią i zimą do gwałtownego wzrostu zapotrzebowania na prąd, a w konsekwencji do licznych awarii w niemieckim systemie energetycznym. Rząd obawia się też, że Niemcy nie będą zimą respektowali limitu 19 st. C w mieszkaniach.

By złagodzić finansowy wpływ kryzysu energetycznego na ludzi i gospodarkę, rząd federalny uruchomił trzy pakiety pomocy o łącznej wartości ok. 95 mld euro. Obejmują one jednorazowe dopłaty do kosztów ogrzewania wynoszące 270-350 euro na gospodarstwo domowe, jednorazową dopłatę 300 euro dla wszystkich pracowników podlegających opodatkowaniu podatkiem dochodowym, dodatki na dzieci,

Władze niemieckich miast szykują się do otwarcia hal sportowych i innych budynków użyteczności publicznej, by ubodzy mogli zimą się ogrzać.

rozwiązania dotyczące redukcji zużycia gazu i plany wstrzymania dostaw tego surowca dla części przedsiębiorstw. W skrajnym przypadku zakładano, że gaz będzie dostarczany jedynie do gospodarstw domowych, szkół, szpitali, domów opieki społecznej oraz innych ważnych instytucji i budynków publicznych. Eksperti Bundesbanku obliczyli, że zakręcenie kurka przez Kreml tylko w tym roku będzie kosztowało niemiecką gospodarkę 180 mld euro.

Rząd zaczął intensywne poszukiwania nowych źródeł dostaw, podjął decyzję o szybkim uruchomieniu dwóch

dodatki dla bezrobotnych w wysokości 100 euro oraz bilet 9 euro na komunikację miejską, który był ważny od 1 czerwca do 31 sierpnia br. Ulgi podatkowe i dopłaty mają także objąć przedsiębiorstwa. To najbardziej ambitny i najdroższy w Europie program osłonowy, który wielu Niemców uważa za niewystarczający.

Tamtejsze media pokazują wściekłych i płaczących emerytów, którzy nie mogą kupić węgla ani drewna na zimę. Nie dlatego, że ceny są zbyt wysokie, po prostu opału nie ma na składach. Co bardziej przedsiębiorczy odwiedzają Polskę ▶

► i w zachodnich województwach ogła-
lając tartaki oraz firmy handlujące
drewnem kominkowym, płacąc wię-
cej niż Polacy. Są niemieckie gminy,
które w obliczu obłądnych cen gazu
zdecydowały się wyrąbać fragmen-
ty lasów rosnących na ich terenie
i przejść na znane średniowiecznym
Germanom sposoby ogrzewania.

Mieszkańcy miejscowości grani-
czących z Czechami szukają opatu

wściekłych. Wychodzą z rosyjskimi
flagami na ulice protestować, do-
magając się zniesienia embarga na
handel z Kremlen oraz wznowie-
nia dostaw gazu za rozsądną cenę.
Wskazują przy tym Węgrów i pre-
miera Orbána, którzy płacą Gazpro-
mowi 300 dol. za 1000 m sześć. gazu,
podczas gdy na giełdzie w Holandii
kilka tygodni temu za tę samą ilość
przyszło płacić 3,5 tys. dol.

do 3,5 tys. franków szwajcarskich,
a w skrajnym przypadku do trzech
lat więzienia.

Komendant szwajcarskiej policji
Fredy Fässler w wywiadzie udzielo-
nym gazecie „Blick” ostrzegł, że prze-
rwy w dostawach prądu będą miały
poważne konsekwencje. „Nie będzie
można korzystać z bankomatów, nie
będzie można płacić kartami w skle-
pach ani na stacjach benzynowych.
Ulice nie będą oświetlone. W takim
przypadku można sobie wyobrazić,
że ludność się zbuntuje”.

Pamiętajmy, Szwajcarzy to naj-
bogatsza nacja w Europie, o silnej
gospodarce i wyjątkowo stabilnej
walucie. A nawet oni obawiają się
konsekwencji kryzysu energetyczne-
go wywołanego wstrzymaniem przez
Gazprom dostaw do Europy. To zna-
czy, że zachodnie sankcje działają.

Co dalej?

Gaz ziemny jest niezbędny prze-
mysłowi chemicznemu, który pro-
dukuje z niego amoniak oraz inne
związki o szerokim zastosowaniu
w przemyśle. Bez dostaw tanich su-
rowców energetycznych europejskie
gospodarki w najlepszym wypadku
utracą konkurencyjność wobec go-
spodarek chińskiej, amerykańskiej
i indyjskiej. W najgorszym – pogrą-
żą się w kryzysie. Niemieccy, brytyjscy
i amerykańscy eksperci policzyli, ile
w tym roku będzie kosztowało Rosję
zakręcenie kurka z gazem.

Jeśli przyjąć, że Rosja mogła
łącznie wyeksportować do państw
europejskich 155 mld m sześć. ga-
zu, a między styczniem a czerwcem
dostarczyła 61 mld m sześć., to od
września do grudnia br. do Niemiec
i innych państw trafić mogłoby
ok. 40 mld m sześć. Co przy rocz-
nym rosyjskim wydobyciu gazu sza-
cowanym na 614 mld m sześć. nie
stanowi nawet 10%. Jeśli przyjąć, że
dziennie Gazprom zarabiał w czerw-
cu br. ok. 180 mln euro, to do końca
roku mógłby w Niemczech i innych
państwach zarobić 22-25 mld euro.
Tyle straci rosyjski koncern.

A ile stracą zachodnie gospodar-
ki? One mogą stracić całe gałęzie
przemysłu.

Marek Czarkowski

Na przystankach w Szwajcarii miały się pojawić plakaty: „Czy sąsiad ogrzewa mieszkanie powyżej 19 st.? Prosimy o informację... Nagroda 200 franków”.

u południowych sąsiadów, a władze
wielu miast szykują się do otwarcia
hal sportowych i innych budynków
użyteczności publicznej, by ubodzy
Niemcy zimą mogli się w nich ogrzać.
Ostatni raz z takiego rozwiązania
korzystano sto lat temu, w czasach
Republiki Weimarskiej. O planach re-
zygnacji z nocnego oświetlenia ulic
i budynków nie ma co wspominać.
Będą to robili wszyscy.

Dzieje się to w XXI w., w najsil-
niejszej gospodarce europejskiej,
dlatego coraz więcej Niemców jest

Otwarcie mówią o tym postło-
wie Alternatywy dla Niemiec (AfD).
Przewodniczący partii, poseł do
Bundestagu, Tino Chrupalla, w lip-
cowym wywiadzie udzielonym ARD
wspomniał o potrzebie dyplomatycz-
nego zakończenia konfliktu i wyraził
obawę, że Niemcy zostaną wciągnię-
te w III wojnę światową. Stwierdził
też, że nie może zaakceptować fak-
tu, że Niemcy są tak hojni, wspie-
rając jedną ze stron, a nawet chcą
przedłużenia wojny. Z kolei politycy
partii Zielonych ostrzegają, że Rosja,
wstrzymując dostawy gazu do Nie-
miec, chce wywołać zimą niepokoje
społeczne. Za kilka miesięcy przeko-
namy się, czym się zakończy to we-
wnątrzniemieckie przeciąganie liny.

Szwajcaria – 200 franków dla kapusia?

Ostatnio na przystankach w Szwaj-
carii miały się pojawić plakaty: „Czy
sąsiad ogrzewa mieszkanie powyżej
19 st.? Prosimy o poinformowanie
nas +41 58 462 55 11. Anonimowa
nagroda 200 franków”. To może być
fałszywa informacja, choć władze
w Bernie poddały ostatnio konsul-
tationom najsurowszy w Europie pa-
kiet mający złagodzić kryzys ener-
getyczny. Już latem rząd zachęcał
Szwajcarów do robienia zapasów
świec na wypadek wyłączeń prądu.
Chciał również, by jesienią i zimą
maksymalna temperatura w po-
mieszczeniach mieszkalnych nie była
wyższa niż 19 st. C. Gdyby zaś była
wyższa, właścicielom groziłyby kary





Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Dobre życie

Spędziłem część urlopu we Francji, a konkretnie w Villeneuve d'Aveyron. Francję znam nieźle, ale nigdy nie odwiedziłem tego rejonu. Wspaniały. W pobliżu rzeka Lot, płynąca pośród wapiennych wzgórz, na brzegach których usadowiły się średniowieczne zamki, miasteczka i wsie. Samo Villeneuve wygląda jak wyjęte z bajki. Jednak to nie o urokach krajobrazu i architektury chciałem pisać, choć i one są ważne. Idzie mi bowiem o wrażenie, jakie miałem, mieszkając w tym pięknym miejscu. Spokój. Brak pośpiechu. Życzliwość. Swojskość. Troska o krajobraz. Kulturowanie lokalności. Poczutem się naprawdę dobrze. Spokojni, uśmiechnięci ludzie spędzający czas w małych knajpkach, przy dobrym jedzeniu i świetnym winie. Sklepiki, których właściciele przychodzą z własnego mieszkania na zaplecze dopiero po usłyszeniu dzwonka wiszącego przy drzwiach wejściowych, bez obawy, że ktoś skradnie to i owo (zaufanie!).

Nie jestem naiwny, zdaję sobie sprawę z tego, że gdybym mieszkał tam na stałe, ujawniłoby się napięcia, które towarzyszą życiu ludzkiemu wszędzie. Zresztą o kłopotach francuskiej prowincji świadczy ruch złotych kamizelek. Nie ulega jednak wątpliwości, że południe Europy potrafi jakoś przyjemniej organizować sobie życie, że ludzie bardziej dbają tutaj o jego jakość. Bo w ostateczności to o nią chodzi. Nawet rzeczy wzbudzające czasami moją irytację, takie jak przerwy obiadowe w restauracjach, powodujące, że trzeba pilnować stosownych godzin, aby coś zjeść przed ich zamknięciem, mają swoje uzasadnienie i swój sens. W ostateczności chodzi bowiem o tempo życia, o to, czy jest ono wyśrubowane, czy umiarkowane. Czy ludzie egzystują w ciągłym stresie, czy są spokojni i wyluzowani. O czas wolny. O to, czy połykają jedzenie w biegu, czy celebrytują posiłki. O pracę – czy zajmuje całe doby, czy tyle, ile powinna, aby dało się zarobić na spokojne życie, w którym nie kupi się wprawdzie prywatnego samolotu, ale jest na egzystencję bez zbędnych trosk materialnych. O cieszenie się każdą chwilą życia. Rzeczami małymi. O dystans wobec spraw, które czasami wywołują w nas przesadną irytację, np. drobnych rys czy wgłębień w samochodzie, w krajach takich jak Francja czy Włochy powszechnych i tolerowanych, w innych – spędzających sen z powiek. A wreszcie o poczucie zakorzenienia i życia we wspólnocie. Posiadanie miłych znajomych i serdecznych przyjaciół.

Jasne, że wiele z tych elementów dobrego życia jest uzależnionych od stopnia zamożności danego społeczeństwa. Że w związku z tym łatwiej o nie we Francji czy

w Hiszpanii niż w Polsce. Ale przecież są bogate kraje, np. Stany Zjednoczone, w których owego poczucia spokoju i luzu prawie nie ma, bo ludzie, którzy mają dużo, chcą mieć jeszcze więcej. Gdzie tydzień urlopu jest luksusem. Gdzie każdy porównuje się z każdym, a osobiste bogactwo jest wyznacznikiem prestiżu i znakiem udanego życia.

Mam wrażenie, że stoimy przed wyborem, czy iść śladem krajów Południa, czy wciąż patrzeć z tęsknotą na kraje anglosaskie. Znakiem pewnego stanu napięcia jest tu rysujący się spór pomiędzy młodym pokoleniem, które nie chce już pracować tyle co rodzice (i słusznie), a pokoleniem transformacji, dla którego „kultura harówki” była czymś oczywistym. Pomiedzy tymi, którzy nawołują do zakasywania rękawów, twierdząc, że wciąż jesteśmy krajem na dorobku, a tymi, którzy słusznie zauważają, że bycie na dorobku może nigdy się nie skończyć, raz, dlatego że dystans między nami a resztą Zachodu długo jeszcze będzie trudny do nadrobienia, a dwa, dlatego że mentalność bycia na dorobku jest w dużej mierze niezależna od faktycznego stanu rzeczy. W tym sensie, choć Stany Zjednoczone od dawna już nie są na dorobku, to mentalność bycia na dorobku jest tam czymś stałym.

Najważniejsze jest przekonanie, czy szczęście w życiu przynosi nam nasz stosunek do rzeczy, czy do innych ludzi.

Najważniejsze jest jednak przekonanie, czy szczęście w życiu przynosi nam nasz stosunek do rzeczy, czy do innych ludzi. Wszystkie dane naukowe wskazują, że chodzi o ludzi, a nie o rzeczy. A jeśli o ludzi, to także o równość, trudno bowiem być szczęśliwym w bardzo nierównym społeczeństwie. Trudno być szczęśliwym bez szczęśliwej wspólnoty, której czujemy się elementem. Bez dobrze zorganizowanego państwa. Ale chodzi też o przyrodę i piękno wokół nas. Czy dbamy o dobro wspólne w postaci czystego powietrza i nieskażonej przyrody, czy bardziej liczy się dla nas efektywność ekonomiczna. Czy dajemy pozwolenie na zaśmiecanie naszego krajobrazu przez banery reklamowe, czy dbamy o jego jakość, zakazując ich stosowania (szok z francuskiej prowincji – nie ma reklam!). Czy jesteśmy estetycznymi analfabetami, czy ludźmi wrażliwymi na piękno szczegółu i kolor (jak ludy południa Europy, ale i np. Maroka). Czy chcemy Dobrego Życia, czy tylko więcej pieniędzy. Część z nas sądzi, że dopiero jak będzie je miała w obfitości, to wreszcie sobie pożyje. W ten sposób można gonić króliczka, nigdy go nie łapiąc. ■

Śmierć z powietrza dla każdego

Drony miały przynieść wojnę czystą i precyzyjną. Prawda jest inna

Jakub Dymek

Pakistańczyk Fahim Kureszi został głową rodziny w okolicznościach zarazem tragicznych i wyjątkowych. W styczniowy dzień 2009 r. 14-latek z krewnymi zebrali się, by świętować powrót wuja z podróży biznesowej do Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Uroczystość przerwał dziwny dźwięk. To ostatnie, co Kureszi pamięta z tego dnia. Wybudził się ze śpiączki 40 dni później, potowa

nowego prezydenta, Baracka Obamę, laureata Pokojowej Nagrody Nobla. Pierwszy z ponad 500 przez kolejne osiem lat. Był to zaledwie trzeci dzień prezydentury Obamy i początek nowej epoki.

Mądra bomba w drodze po dziecko

Od kiedy drony stały się symbolem nowoczesnej wojny i niezbędną bronią w arsenale współczesnych armii, towarzyszy im mozolnie i skutecznie rozwijany mit. Obama

oswojonemu z wirtualną zabawą w wojnę. Inni autorzy ujęli to brutalnie: wojna dronów redukuje ludzi do pikseli i mignięć na ekranie.

Mit wojny precyzyjnej niesie obietnicę ograniczenia rzezi cywilów – odwiecznego elementu konfliktów zbrojnych, z którym cywilizacja demokratyczna XXI w. chętnie przecieć by się pożegnała. Wydaje się to logiczne. Skoro mamy do dyspozycji tak precyzyjną broń, a działania wojskowe możemy prowadzić na podstawie coraz bardziej rozległych zbiorów danych, przetwarzanych przez coraz potężniejsze komputery i algorytmy, dlaczego miałyby być inaczej? Nawet nazwy nadawane nowym rodzajom amunicji – „mądre bomby” i „pociski samosteurujące” – sugerują ich autonomię i bezbłądność.

To jednak złuda. Owszem, użycie rakiety wystrzelonej z drona jest krokiem naprzód wobec np. rozpylenia śmiertelnościowego gazu albo podpalenia miasta przy użyciu białego fosforu. Ale, jak pokazują kolejne raporty, książki i ujawniane przez dziennikarzy dokumenty, wojna prowadzona przy użyciu dronów wcale nie jest taka precyzyjna. Błędne rozkazy skutkujące śmiercią cywilów lub strzelanie w ciemno to rutyna, a nie tragiczne wyjątki. Wojskowy żargon i wykonywanie zadań przez komputery służą nie tylko wyłuskiwaniu celów, ale i maskowaniu zbrodni. „To nie my, to komputer zawinił” albo „Formalnie atak był poprawny, wyliczenia były błędne”, mogą powiedzieć oskarżeni o zabiciu cywilów, oczywiście jeśli zostaną oskarżeni. A problem z biegiem czasu będzie narastał – bo dostęp do coraz tańszych i prostszych w użyciu śmiertelnościowych maszyn ma coraz więcej państw ubogich, niestroniących od masowej przemocy i ani trochę demokratycznych.

14-letni Pakistańczyk Fahim Kureszi w ataku drona stracił oko. Wkrótce dowiedział się, że jako najstarszy mężczyzna, który przeżył, musi zacząć zarabiać na rodzinę.

jego ciała była poparzona, stracił oko. Wkrótce dowiedział się też, że teraz on – jako najstarszy mężczyzna, który pozostał przy życiu – musi zacząć zarabiać na utrzymanie matki, braci i sióstr.

Kureszi i jego krewni to cywilne ofiary ataku na pozycje talibów w Północnym Waziristanie, na tzw. terytoriach plemiennych. Choć USA nie są na wojnie z Pakistanem, i wtedy, i długo później regularnie atakowały z powietrza miejsca, gdzie mieli się ukrywać terroryści. A z Afganistanu rzeczywiście uciekali do sąsiedniego kraju poszukiwani przez Waszyngton członkowie Al-Kaidy, talibowie i inni ludzie mniej lub bardziej związani z terroryzmem. Jednak tego dnia nie udało się sięgnąć wystrzeloną z drona rakiętą wrogich bojowników, jeśli w ogóle tam byli. Wskutek ataku zginęło 18 cywilów: rodzina, sąsiedzi i krewni Kureszkiego.

Co w tym tragicznym dniu wyjątkowego i symbolicznego? Był to pierwszy atak drona zlecony przez

jest dla tego mitu postacią emblematyczną, ale opowieść o dronach tworzą też dziennikarze, wojskowi, producenci uzbrojenia i lobbyści. To mit wojny „precyzyjnej” i prowadzonej z daleka, bez konieczności ryzykowania życia żołnierzy. Więcej nawet, bez konieczności obarczania ich psychiki przymusem zabijania i podejmowania ryzyka w warunkach bojowych. Prezydent Obama oczarował świat wizją, że to za jego kadencji uda się rzucić na kolana islamistyczny terroryzm, nie łamiąc praw człowieka i nie tocząc krwawych wojen koczowniczych z epoką George’a W. Busha. Świat tę wizję kupił.

Wojny dronów to wojny prowadzone za pośrednictwem cyfrowych interfejsów, gdzie pociągnięcie za spust nie różni się wiele od kliknięcia myszką lub guzikiem dżojstika. Socjolog Zygmunt Bauman już niemal 20 lat temu trzeźwo zauważał, że obywatelom Zachodu wojna zlewać się będzie z grą komputerową, co tylko ułatwi zabijanie pokoleniu



Zbrodnia czy algorytm

„Krótko przed trzecią nad ranem 19 lipca 2016 r. Siły Specjalne (Special Operations) zbombardowały miejsce zgrupowania sił ISIS, tzw. Państwa Islamskiego, na uboczu nad-rzecznej miejscowości Tokhar w północnej Syrii. Do wiadomości podano śmierć 85 bojowników. W rzeczywistości jednak atak uderzył w domy daleko poza linią frontu, gdzie lokalni rolnicy z rodzinami i mieszkańcy okolicy próbowali schronić się na noc przed wybuchami i ostrzałem. Śmierć poniosło 120 mieszkańców wsi” – tak zaczyna się jeden z najważniejszych (i nagrodzonych Pulitz-erem) tekstów ostatnich lat. Ale także najbardziej przemilczanych. Mowa o śledztwie „Civilian Casualty Files”, czyli analizie akt i wewnętrznych dokumentów Pentagonu w sprawie tysięcy doniesień o śmierci cywilów na skutek amerykańskich bombardowań i ataków dronów. Opublikował ją w grudniu ub.r. „New York Times”. W masakrze w Tokhar drony odegrały kluczową rolę, choć to nie one spuściły bomby. Teren był całymi tygodniami monitorowany przez drony, to również drony pomogły naprowadzać samoloty, które zrzuciły ładunki wybuchowe. Słynące z precyzji bezałogowe maszyny, które miały być oczami i uszami innych pilotów, zawiodły na całej linii przy

wykonywaniu zadania, do którego zostały stworzone.

Precyzja przyrządów, potęga rakiet i nowoczesnej amunicji, ludzka ignorancja i skomplikowana biurokracja tworzą śmiertelność mieszkankę. Krążące nad okolicą drony były na tyle spostrzegawcze, żeby zauważyć przegrupowanie sił ISIS na podstawie ruchów pojedynczych ciężarówek, ale nie odnotowały, że cele wyznaczone do zbombardowania to domy, w których od miesiąca noc w noc chronią się mieszkańcy. Gdy

19 lipca 2016 r. w pobliżu miejscowości Tokhar w północnej Syrii śmierć poniosło 120 mieszkańców wsi.

po latach dotarli w to miejsce dziennikarze „New York Timesa”, usłyszeli zaskakujące i smutne wnioski. Wieśniacy byli przekonani, że latające im tygodniami nad głową drony i samoloty muszą wiedzieć o nich wszystko. I że ich piloci nie pomylą konwoju ciężarówek albo okopu z wiejską chatą. Niestety, do podobnych incydentów dochodziło regularnie. Znamy doniesienia, że pilot uznał ciężarówkę pełną ludzi wiozących na targ kurczaki za transport żołnierzy – a drób za uzbrojenie, bo tak podpowiadały mu przyrządy termowizyjne. Zdarzało się, że „bojownik niosący na plecach widoczny pakunek”

w rzeczywistości niósł dziecko. I nie był bojownikiem. A „podejrzana osoba niskiej postury” z raportów i wskazań celu była kilkulatkiem.

Z samych dokumentów przeanalizowanych przez „NYT” udało się wywieść (i potwierdzić) informacje o śmierci ponad tysiąca niewinnych osób. Jednak dokumenty obejmują zaledwie kilkuletni wycinek i nie wszystkie teatry prowadzonej przez ponad dwie dekady w co najmniej siedmiu krajach tzw. wojny z terroryzmem. W niemal 100% opisanych przypadków winni nie ponieśli odpowiedzialności, ofiary nie otrzymały zadośćuczynienia, a opinia publiczna nie poznała prawdy.

Przeciwko obywatelom

W kontekście mordów na cywilach przy użyciu dronów najczęściej słyszymy o działaniach USA. Z oczywistych powodów – Amerykanie stosują tę metodę walki najdłużej i w największej liczbie krajów, a olbrzymia wojskowa biurokracja zostawia wielki papierowy ślad, który analizują wolne media. Ale od lat wiemy już, że problem przestał być tylko kwestią Ameryki i jej „wiecznych wojen”. Nawet jeśli to Amerykanie są współtwórcami mitu wojny precyzyjnej, po drony sięgają dziś chętnie wszyscy, których na to stać.

Zdaniem analityków jesienią 2020 r., podczas wojny o Górski Karabach, to drony tureckiej produkcji Bayraktar TB2 dały Azerom decydującą przewagę nad siłami Armenii. Sukces był na tyle znaczący, że bayraktara przewieziono na ciężarówce ulicami miasta podczas parady zwycięstwa w Baku. A producentowi natychmiast przybyło klientów. Wiedza zachodniego czytelnika i obserwatora o tym, ilu cywilów zginęło w wyniku działań dronów podczas tego konfliktu, jest znikoma, a dokumentacja użycia bezałogowców dużo mniej precyzyjna, niż gdy robią to Amerykanie.

Amnesty International potwierdza w raporcie śmierć przynajmniej 146 cywilów w ciągu trwającego 44 dni konfliktu i przedstawia relacje ofiar, w tym matki ośmioletniej dziewczynki. Dom kobiety został ostrzelany przy użyciu drona, a raniona córka zmarła w drodze do szpitala. Sąsiedzi z kolei mówią, że okolica była ostrzeliwana z powietrza 12 razy w ciągu czterech minut i nie sposób powiedzieć, który dom ucierpiał przez amunicję wystrzeloną z drona tureckiej produkcji, a który od rosyjskiej rakiety Grad. Jeszcze mniej prawdopodobne jest, że kiedykolwiek się dowiemy, czy jakiś odległy operator drona wyłącznie się pomylił, otrzymał takie rozkazy, czy może kierowała nim adrenalina lub czysty sadizm. To kolejny paradoks cyfrowej precyzji. Człowiek, który musi osobiście wrzucić granat przez okno cywilnego budynku, zazwyczaj ma świadomość, co robi. Operator drona widzi być może klastr pikseli na ekranie, nieodróżnialny od innych podobnych obrazków.

Niekiedy jednak z większą pewnością da się określić, co zaszło. Jak wtedy, gdy w styczniu 2022 r. etiopska armia miała użyć tureckiego drona w ataku na szkołę, w której schronili się uchodźcy, cywile uciekający i przesiedleni z pogrążonej w wojnie prowincji Tigray. Redakcja „Washington Post”, korzystając z analizy dostępnych nagrań i zdjęć ruin, ustaliła, że ataku dokonano przy użyciu tureckiego TB2, który etiopski rząd kupił, skuszony ceną i możliwościami maszyny. Zginęło przynajmniej 57 osób, a 42 zostały ranne. Dziewięć miesięcy od tamtego wydarzenia i w świetle doniesień o podobnych atakach na cywilów organizacje broniące praw

człowieka coraz głośniej mówią, że w etiopskim konflikcie drony są narzędziem nie wojny precyzyjnej, ale zbrodni wojennych. Najnowsze informacje o dwóch kolejnych atakach, w których miało zginąć 10 cywilów, pochodzą z poranka 14 września (dnia, w którym piszę ten tekst).

Wolny rynek śmiercionośnych maszyn

Zwolennicy wojny prowadzonej na dystans przekonują, że musi ona być lepsza od konwencjonalnej, bo ogranicza straty w ludziach i zniszczenia. To dotychczas było prawdziwe jedynie w odniesieniu do strat w ludziach strony silniejszej technologicznie. Owszem, drony pozwalały Amerykanom toczyć wojnę w Syrii, Afganistanie, Jemenie czy Somalii przy minimalnych stratach własnych. Ale czy były to wojny krótsze lub czy udało się dzięki technologii sprawniej osiągnąć założone cele – to już jest dyskusyjne.

Andrew Cockburn w książce „Spills of War” przekonuje, że mamy do czynienia z historyczną pomyłką. Od czasów kampanii lotniczej faszystów Mussoliniego w Etiopii – pisze – rządy Zachodu raz po raz nabierają się na to, że wojna na dystans jest łatwa i skuteczna. Każde pokolenie polityków daje się więc namówić na jeszcze większe nakłady na nowe technologie i nowe wizje wojny z powietrza – boleśnie odkrywając, że zamiast konfliktów eleganckich i precyzyjnych otrzymują kolejny Wietnam, Afganistan, Somalię albo Syrię. Cockburn dodaje, że nie ma wielkiej różnicy w tym, co opowiadają swoim przywódcom wojskowi w ZSRR/Rosji i w USA – jedni i drudzy obiecują politykom, że jeśli tylko dostaną nieograniczony budżet na nowe technologiczne zabawki, sprawnie pokonają każdego wroga.

Cockburn dowodzi też, że w pogoni za bronią doskonałą z łatwością można ukryć nawet najbardziej kompromitujące fiasko, bo który śmiertelnik rozumie, co się ukrywa za naukowo-techniczno-militarnym żargonem? Który polityk – w USA, Rosji, Chinach czy Izraelu – przyzna się przed wyborcami, że zmarnował miliardy na zbrojenia? I jak ludzie mają uwierzyć, że coraz bardziej zaawansowana

technologia nie prowadzi do coraz większych sukcesów na polu bitwy? Przecież miało być inaczej!

Ale to także pytanie o technologiczną równowagę. Dopóki drony służyły Amerykanom w ich wojnach, przynajmniej wiadomo było, do kogo kierować pretensje. I nie trzeba było się obawiać, że w akcie odwetu ISIS zacznie bombardować Rzym lub Brukselę – bo po prostu nie miało narzędzi. A co, jeśli drony na masową skalę zaczęną wykorzystywać przeciwko sobie dwie strony tej samej wojny? Co, jeśli będą one tak tanie, że broń dostępna niedawno wyłącznie garstce krajów stanie się orężem państw upadłych i ich watażków? Działania ruchu Huti w Jemenie i ich ataki wymierzone w cele w Zjednoczonych Emiratach Arabskich pokazują, że o śmiercionośną technologię i uderzenia w infrastrukturę krytyczną jest coraz łatwiej. W kolejce po tureckie bayraktary już stoi tuzin autorytarnych państw. Iran również chce eksportować swoje drony. A co, jeśli posiadanie zaawansowanych militarnie dronów w ogóle uwolni się od państwowej kontroli i dowolna organizacja bojowa (albo jej oligarchiczny sponsor) będzie mogła sobie na nie pozwolić? Gdy terroryści kupią je dzięki pieniądзом ze zrzutki? Komercyjny rozwój dronów oznacza też błyskawiczną prywatyzację kolejnej sfery konfliktów zbrojnych, której zagrożeń świat nie jest do końca świadomy.

Wraz z rozpowszechnianiem się bezzałogowych i zdalnych statków powietrznych pokusa ich użycia w konfliktach domowych, do pacyfikowania opozycji politycznej, do ataków na sąsiadów – będzie tylko rostała. Drony, zamiast służyć wojnie ograniczonej i precyzyjnej, mogą się stać narzędziem wojny chaotycznej, zdehumanizowanej i sprywatyzowanej jak nigdy wcześniej. Śmierć z powietrza dla każdego, kto zapłaci.

•

Historia Fahima Kuresziego pochodzi z mojej rozmowy ze Spencerem Akcermanem, autorem książki „Reign of Terror” i dziennikarzem, który najobszerniej opisał zdarzenia z 2016 r., m.in. w „Guardianie”.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Z Dodą na piersiach przeciw Polsce religianckiej

Piosenkarka i celebrytka Dorota Rabczewska „Doda” wygrała po 13 latach z Polską (w znaczeniu: państwem polskim) przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka. Otrzyma 10 tys. euro, ale to najmniej ważne. W 2009 r. w jednym z setek udzielanych wywiadów gwiazda rzuciła beztrząsanie zdanie, że „bardziej wierzy w dinozaury niż w Biblię”, bo „ciężko wierzyć w coś, co spisał jakiś napruty winem i palący jakieś zioła”. Kiedy dociekliwy i czujny dziennikarz, pełen precyzji godnej lepszej sprawy, po prokuratorsku dopytał, o kim mówi, odpowiedziała: „O tych wszystkich gościach, którzy spisali te wszystkie niesamowite historie”. I się zaczęło, polskie państwo stanęło na baczność i ruszyła nieruchawa kiedy indziej machina „sprawiedliwości”. Policja wszczyła śledztwo, prokuratura sporządza pracownice akt oskarżenia, sąd jeden, sąd drugi skazują Dodę. Za co? Ach, ach, za „obrazę uczuć religijnych”. Czyich? Jak? Nie bardzo wiadomo, ale nie o to chodzi, żeby było wiadomo. Nieprzejęty jeszcze wówczas i niesprywatyzowany przez

(w Niemczech!!!) i na dodatek pobierający kosmiczne wynagrodzenie europośta, Zdzisław Krasnodębski, jeszcze w sierpniu tego roku ruszył do szturmów godnego rycerza krucjat. „Zachód stanowi dla Polski większe zagrożenie niż putinowska Rosja. (...) Na Rosję trzeba mieć HIMARS-y, Abramsy. Natomiast żeby sobie poradzić z Unią, opanowaną przez te siły dla nas niesprzyjające, które ją wzięły jakby w jasyr, odzyskać dla nas wszystkich instytucje europejskie – to wymaga większego wysiłku organizacyjnego, intelektualnego. W tym sensie to jest większe niebezpieczeństwo”. Tak, Unia jest obca ze swoimi prawami człowieka w miejsce prawa do karania za coś, czego nie da się wyjaśnić, opisać, nazwać: za obrazę świętych uczuć religijnych. A może jednak trzeba sobie głośno powiedzieć, że to Polska jest obca, nieprzystająca, kościółkowo zacofana? Archaiczna i śmieszna w swoim religianckim, opresyjnym konserwatyzmie, który kwitł tutaj w najlepsze, zanim PiS przejął TK, żeby bezkarnie stanowić inne złe prawa.

Kościół w nowoczesnym społeczeństwie nie utrzyma żadną miarą swojej dawnej pozycji, straci wiele lub wszystko.

potworne PiS Trybunał Konstytucyjny w 2015 r. nie ma wątpliwości: karalność za obrazę uczuć religijnych jest zgodna z ustawą zasadniczą.

Doda jest jednak kobietą hardą i inteligentną, nie musi, ale walczy. Jest niezależna finansowo – również z tego powodu może sobie na takie kilkunastoletnie zmagania pozwolić. Autorytet TK jej nie przekonuje, nie kłęk przed polskim kołtunem, umocowanym w kuriozalnym prawodawstwie, kieruje sprawę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, korzystając ze swoich praw Europejskiej. Teraz zapada rozstrzygnięcie. Te 10 tys. euro zapłaci Dodzie Polska. Można powiedzieć, że to grosze w porównaniu z ponad 200 mln euro, które Polska ma zapłacić za niewykonanie postanowienia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej nakazującego zawieszenie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Paradoksalnie wyrok w sprawie Dody i jej brawurowych wywodów parabolicznych wpisuje się pięknie w rozkwitający jak tysiące pokrzyw spór polskiej władzy z całą kulturą tzw. Zachodu. Jeden z intelektualnych filarów tejże władzy, onegdaj dobrze rokujący socjolog, od kilkudziesięciu lat żyjący na tym obrzydliwym Zachodzie

Kiedy stary „porządek” (w rozumieniu: układ, system, paradygmat rządzenia) odchodzi, nigdy nie dzieje się to nagle, w jednym momencie. To proces, który zwalnia i przyspiesza, niekiedy zatrzymuje się i nawet cofa.

Tak było w całej Europie. Jednak jego kluczową cechą jest to, że jest nieuchronny i nie do zatrzymania. Kościół i ten typ myślenia o jego uprzywilejowanej roli w nowoczesnym społeczeństwie (którego instytucjonalnym przejawem jest m.in. prawo ochrony uczuć religijnych) swojej dawnej pozycji nie utrzyma żadną miarą, straci wiele lub wszystko. Stąd te paroksyzmy zaklinania rzeczywistości i histeryczna szamotanina poobrażanych religiantów.

Przyszłość należy do wolności od tak interpretowanej, uprzywilejowanej religii. Wolności, o którą miała odwagę się upomnieć w swojej sprawie Doda. Pozornie w swojej. W istocie zrobiła to w naszym, najlepiej rozumianym wolnościowym interesie. I wygrała. Bo Europa już dawno tę lekcję odrobiła.

I jakkolwiek by to zabrzmiało, ruszamy z Dodą na piersiach, alleluja, do przodu, do mniej obskurantckiego i nie tak pełnego hipokryzji świata. Z Polską lub bez niej. Ten dzień, w którym zniknie z polskiego Kodeksu karnego zapis o karaniu za obrazę uczuć religijnych, uczyniłbym świeckim świętem. I za to najserdeczniej dziękuję Dodzie. Wyrwała cegłę z muru.

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Gerontokracja doi Amerykę

Dlaczego Amerykanie widzą w swoim prezydencie głównie starca gubiącego wątek?

Niecałe półtora roku po objęciu prezydentury Joe Biden osiągnął to, co nie udało się żadnemu prezydentowi od co najmniej półwiecza – wywiązał się z większości obietnic wyborczych. Dlaczego więc Amerykanie widzą w nim przede wszystkim starca gubiącego słowa?

Pierwszy poniedziałek września Amerykanie świętują jako Dzień Pracy i najchętniej spędzają go w ogródkach na grillowaniu i spotkaniach towarzyskich. Dla Białego Domu to moment podsumowań pierwszej połowy roku, nim Kongres wróci do pracy po letniej przerwie. Tegoroczne orędzie do narodu Biden wygłosił 1 września ze sceny w Independence Hall w Filadelfii – miejscu, gdzie zrodziła się zarówno Deklaracja niepodległości Stanów Zjednoczonych, jak i konstytucja. Jeśli ktoś spodziewał się zobaczyć, jak „Sleepy Joe” (Niemrawy Joe) przysypia nad mikrofonem, mocno się zdziwił. Biden prezentował się niczym rewolucjonista na barykadzie, który potrafi atakować, nie przebiegając w słowach. Jak wtedy, gdy nazwał elektorat MAGA (od hasła Trumpa *Make America Great Again* – przyp. red.) ekstremistami i przestrzegł, że zagraża on demokracji oraz fundamentom amerykańskiej republiki. A także wtedy, gdy przypomniał wrogom politycznym, co udało mu się osiągnąć, i to mimo zerowej kooperacji ze strony republikanów oraz turbulencji ściągniętych na gospodarkę przez pandemię i wojnę w Ukrainie.

Nawet gdyby od tej chwili nie kiwnął już palcem, i tak przejdzie do historii jako prezydent, który pierwszy raz od dziesięcioleci zaangażował się w słuszną wojnę, wygrał z Wielką Farmacją bój o federalną kontrolę cen leków dla seniorów i wyłożył znaczące kwoty na wojnę z globalnym ociepleniem.

Takiego lidera Ameryka potrzebuje jak tlenu. Zbliżając się do 250. rocznicy istnienia, jest dziś nie tylko skłócona i spolaryzowana, ale i niepewna swojej tożsamości oraz przyszłości, jakiej chce dla siebie.

Jeśli opierać się na ostatnich orzeczeniach Sądu Najwyższego, ma być narodem absolutystycznych prolife-rów i strzelców, którym wolno nosić przy sobie ukrytą broń nawet w szkole i kościele. Niegasnąca gwiazda Trumpa każe podejrzewać, że to również naród tak uzależniony od hollywoodzkich wizji świata, że woli wymienić „nudną” rzeczywistość na teorii spiskowe, byle tylko był dobry show. Badanie opinii publicznej pokazuje zaś naród, który w większości popiera prawo do aborcji (67%, Pew Research 2022) i małżeństw jedнопłciowych (64%, CBS News/YouGov 2021) oraz nałożenie ograniczeń w dostępie do broni (71%, AP/University of Chicago 2022).

Nadmiar ludzi starych we władzach ma bezpośredni związek z dominacją ich wpływów w życiu publicznym.

A jednak Biden nie wzbudza w Amerykanach ani entuzjazmu, ani nawet zainteresowania tym, co robi. Ponad pół roku od przegłosowania historycznej, opiewającej na ponad 700 mld dol. ustawy o inwestycjach w sypiącą się infrastrukturę tylko 24% Amerykanów wie, że taka ustawa w ogóle weszła w życie. Rośnie za to liczba deklarujących, że bez względu na to, co jeszcze Biden osiągnie, nie uzyska ich poparcia. Dlaczego?

Niewesołe jest życie starszka

Zacznijmy od pytania, kiedy zaczął się jego „problem” z anemicznymi notowaniami. Niestety, już w trakcie

kampanii wyborczej. Większość Amerykanów, w tym jego własna baza, od początku bowiem widziała w nim nie zapowiedź odmienionej przyszłości, ale wyłącznie hamulec bezpieczeństwa, który powstrzyma kraj przed dalszą radykalizacją i destabilizacją, które zaczęły się rozprzestrzeniać pod rządami Trumpa. Stenowany instytucjonalista z niemal półwiecznym doświadczeniem pracy w rządzie (w Kongresie od 1970 r.), w tym ośmioletnią kadencją w samym Białym Domu jako wiceprezydent za Baracka Obamę, nadawał się do tej roli o wiele lepiej niż ciskający z oczu pioruny „socjalistycznej rewolucji” Bernie Sanders czy nienawidząca bogaczy Elizabeth Warren.

Sęk w tym, że to, co było jego atutem: spokój i optymizm, szybko zamieniło się w największe wady, zwłaszcza gdy do ich obróbki wzięli się specjaliści od kampanii negatywnych. Zgrabnie połączone z kilkoma potknięciami w czasie marszu prezydenta po schodach i przejęczeniach podczas przemówień skonstruowały wizerunek „zdementowanego starszka”, który uśmiecha się beztrząsowo i na nic nie reaguje, bo jest po prostu nieświadomy, na jakim świecie żyje. W interpretacji republikanów, spopularyzowanej przez media, niestety po obu stronach – polityka niezdolnego stawić czoła jakimkolwiek problemom.

Pierwsze kilkanaście miesięcy prezydentury nie było dla Bidena łaskawe. Pandemia rozjeżdżała kraj walcami kolejnych wariantów koronawirusa, wojsko amerykańskie wycofywało się z Afganistanu



Starość uwiera USA tym bardziej, że Biden jest najstarszym prezydentem w historii.

w atmosferze wstydu i skandalu, a negocjacje w kwestii ambitnych reform gospodarczych, na których Biden zbudował swoją kampanię, utknęły w martwym punkcie. I to wcale nie przez frondę republikanów, ale przez własną partię prezydenta. Od stycznia 2021 r. demokraci kontrolują przecież Kongres, teoretycznie więc powinni być w stanie przegłosować, co tylko im przyjdzie do głowy. Gdy po wybuchu wojny w Ukrainie inflacja sięgnęła progów nieogładanych w Ameryce od ponad 40 lat, notowania Bidena poleciały w dół i zawiśły na poziomie zaledwie 30% – najgorszy wynik w historii dla jakiegokolwiek prezydenta w drugim roku rządów.

Zła passa, można powiedzieć – i słusznie. Przytrafia się najlepszym, zwłaszcza w globalnej wiosce. Logika podpowiadałaby jednak, że o ile jest wola walki dająca zwycięstwo, przychodzi zasłużona rehabilitacja. A już na pewno można na nią liczyć w Ameryce, która ma krótką pamięć do porażek i bardzo długą do sukcesów. Prawda? Nieprawda.

Przekleństwo Niemrawego Joego

Od kilku miesięcy gwiazda Bidena świeci jaśniej niż kiedykolwiek. USA

pozostają kluczowym partnerem Ukrainy w wojnie z Rosją. W połowie sierpnia Biden podpisał się pod kolejną „dziejową” ustawą – wartą niemal 740 mld dol. tarczą antyinflacyjną idącą na ratunek wszystkim kluczowym dla gospodarki sektorom, a także reformą systemu podatkowego (uderzy w korporacje i najbogatszych). W czerwcu Kongres przegłosował pierwszą od dekad ustawę federalną ograniczającą dostęp do broni. Jeśli dodamy do tego mobilizację demokratycznych wyborców po obaleniu przez Sąd Najwyższy prawa do aborcji, wygląda wręcz na to, że Biden może się stać pierwszym w historii współczesnej prezydentem, który w międzyprezydenckich midtermsach, wyborach uzupełniających, poprowadzi partię do zwycięstwa.

„Od powojnia mamy w USA żelazną zasadę, że partia prezydenta w pierwszych wyborach po prezydenckich traci lawinowo poparcie”, wyjaśnia Nate Silver, analityk w centrum sondażowym FiveThirtyEight. 12 sierpnia Silver opublikował jednak analizę pod znamienym tytułem „Czy czekają nas wybory pod znakiem gwiazdki?” (od ang. *asterisk*, sygnalizującego wyjątek, odstępstwo od normy – przyp. red.),

w której zadeklarował: „Partia prezydenta zwykle płaci cenę za spadek jego popularności, ale po obaleniu Roe versus Wade okoliczności się zmieniły i zwycięstwo demokratów w midtermsach jest całkowicie realne”. Peter Baker, prezydencki analityk i dziennikarz związany z „New York Timesem”, dodaje: „W Zachodnim Skrzydle (Gabiniecie Ovalnym – przyp. red.) i na Kapitolu na nowo odżyły aspiracje, by podążać śladami Franklina D. Roosevelta i Lyndona B. Johnsona”.

W odpowiedzi na powyższe Amerykanie poprawili nieco swoją opinię o „Niemrawym Joem”, ale przełom nie nastąpił. Co najwyżej można powiedzieć, że Biden z czarnej dziury wygrzebał się do poziomu studni. We wrześniowym sondażu grupy Reuters/Ipsos jego popularność oceniono na 40%. Znacząca poprawa nastąpiła jedynie w relacjach prezydenta z jego partią. Demokratyczni kandydaci, którzy woleli, by prezydent ich nie wspierał, bo może im to tylko zaszkodzić, zmienili zdanie i znów chętnie pozują z nim na wyborczych wiecach. Przycichły też apele demokratycznej wierzuszki, by nie wystawiać Bidena jako kandydata na prezydenta w 2024 r.

Jak gerontokrata z gerontokrata

Za anemicznymi reakcjami USA na prezydenturę Bidena stoi nie tyle on sam, ile po prostu starość całego amerykańskiego establishmentu. Starość uwierająca Amerykę tym bardziej, że Biden jest najstarszym prezydentem w historii (w listopadzie tego roku skończy 80 lat), a w kampanii mierzył się z Donaldem Trumpem, drugim najstarszym rezydentem Białego Domu. Trump zaczął prezydenturę jako 70-latek. A to ledwie wierzchołek góry lodowej. Urzędujący obecnie Kongres (117.) także jest najcieńszy w historii. Średnia wieku w Izbie Reprezentantów to 58 lat, w Senacie – 63 lata. Zauważmy, że co trzeci senator już przekroczył siedemdziesiątkę, sześciu to 80-latkowie, a dwójka: demokratka Dianne Feinstein oraz republikanin Chuck Grassley, ▶

► w przyszłym roku będzie świętować 90. urodziny.

I prawdziwa wisienka, czy raczej kłujący oset na tym torcie. Przywódca Kongresu, Nancy Pelosi (liderka większości) oraz Mitch McConnell (lider mniejszości), to 80-latkowie. O ile Pelosi sygnalizuje, że zaczyna myśleć o emeryturze, o tyle ani McConnell, ani Feinstein i Grassley o niczym takim nie wspominają. Amerykańskie władze są tym samym najstarsze na świecie i nawet w krajach OECD, gdzie, jak w USA, ludzie żyją i pracują dziś dłużej, przywódcy są średnio o 25 lat młodszy od Bidena.

Tymczasem jako społeczeństwo Amerykanie pozostają na tle reszty wysokorozwiniętego świata najmłodszy. Średnia wieku mieszkańca w grupie OECD to ponad 40 lat, podczas gdy w USA – 27. Uprawnieni do

i autorka książki „Strong Female Lead: Lessons from Women in Power”.

Wystarczy jednak zadać pewne pytania inaczej, a objawią się prawdziwe poglądy. Ośrodek sondażowy przy Meredith College w Karolinie Północnej zapytał studentów, czy w amerykańskiej konstytucji powinien się znaleźć zapis o maksymalnym wieku, w jakim obywatel może się ubiegać o stanowisko federalne (zapis o minimalnym wieku już tam jest). Pozytywnie odpowiedziało aż 75% respondentów. David McLennan, politolog i dyrektor tego ośrodka, wyjaśnił: „Nie wszyscy pamiętają, że najbardziej długowieczny senator w dotychczasowej historii USA, republikanin Strom Thurmond, zmarł jako stululek. Ale większość pamięta, że pod koniec życia potrzebował kompleksowej pomocy, łącznie z zadawaniem

Pierwsi prezydenci, od Waszyngtona po Johna Adamsa, opłacali wybory z własnej kieszeni. Dopiero w latach 30. XIX w. Andrew Jackson wprowadził model politycznego fundraisingu. Obecnie koszty kampanii są astronomiczne i wciąż rosną. Wybory w 2020 r. kosztowały 14,4 mld dol., niemal dwa razy tyle, ile wybory z 2016 r. Wybory uzupełniające z 2018 r. szokowały rachunkiem w wysokości 5,7 mld dol., a wiadomo, że w tym roku będzie to co najmniej 9,7 mld dol. O sukcesie kandydata decyduje więc nie tyle jego wizja polityczna, ile rozległość znajomości wśród korporacyjnych darczyńców oraz katalog osiągnięć i „dealów” z przeszłości, który posłuży sponsorom jako gwarancja, że ich interesy zostaną uwzględnione w pracach legislacyjnych. Taki „system” faworyzuje osoby z długoletnim stażem pracy i bagażem zawodowych oraz politycznych doświadczeń – innymi słowy gerontokratów. A jeszcze dokładniej: bogatych gerontokratów.

„Nadreprezentacja we władzach ludzi starych ma bezpośredni związek z dominacją ich wpływów w życiu publicznym. Osoby w wieku powyżej 55 lat to mniej niż jedna trzecia naszego społeczeństwa, ale to one kontrolują ponad dwie trzecie narodowego majątku, najwyższa tego typu koncentracja bogactwa w historii Ameryki”, wyjaśnia Derek Thompson z magazynu „The Atlantic” w artykule „Dlaczego Ameryką rządzią tacy starcy?” (5 marca 2020 r.).

Ani on, ani żaden inny ekspert czy analityk nie potrafi zaoferować Amerykanom dobrego rozwiązania problemu. Myśl, by w imię wyrównywania szans wyprowadzić z polityki prywatne pieniądze na rzecz finansowania publicznego jest po tej stronie oceanu równie bluźniercza co podpalenie flagi. W tej chwili to wciąż za dużo i za radykalnie nawet dla milenialsów i zoomerów. Czy wciąż będzie nie do przyjęcia, gdy średnia wieku w Białym Domu i w Kongresie podniesie się do dziewięćdziesiątki – o tym być może jeszcze się przekonamy. Choć lepiej nie.

Co trzeci senator już przekroczył 70 lat, sześciu to 80-latkowie, a dwójka w przyszłym roku będzie świętować 90. urodziny.

głosowania poniżej 50. roku życia to w Ameryce aż 42% elektoratu. Poniżej 65. roku – 78%. Nie trzeba być socjologiem, by rozumieć, że między statystycznym zjadaczem chleba a sprawującym w jego imieniu rządy gerontokratą z Waszyngtonu istnieje przepaść pokoleniowa, której cechą jest i pewnie zawsze będzie brak wspólnego języka i celów. W tym przypadku zniechęceniu wyborców sprzyja narastające poczucie – jakże słuszne! – że gerontokraci strzegą interesu innych gerontokratów, a nie ludu pracującego. Problemy, jakimi Waszyngton od lat zajmuje się najchętniej (ulgi podatkowe i dalsza deregulacja sektora finansowego), tylko to potwierdzają.

Nie oczekujemy od Amerykanów, przewrażliwionych na punkcie poprawności politycznej, że przynajmniej się otwarcie do jakichkolwiek uprzedzeń na tle ageizmu. „Pete Buttigieg ma lat 40, ale w porównaniu z Sandersem i Warren to on wygląda jak zachowawczy 80-latek, podczas gdy tamta dwójka – jak młodzi duchem rebelianci”, przypomina Arwa Mahdawi, nowojorska bizneswoman

pytań i udzielaniem odpowiedzi w czasie obrad w Kongresie. Rolę decydenta zaczął więc odgrywać jego główny asystent, osoba, na którą nikt nie głosował. Takie przypadki zagrażają integralności systemu demokratycznego i ludzie to rozumieją”.

Rządy pieniądza

Amerykanie nie lubią zmieniać swojej konstytucji (ostatnia poprawka wprowadzona została ponad 30 lat temu!), a problem nadreprezentacji gerontokratów można by skorygować w prosty sposób. Głosując na młodszych! Tylko czy to możliwe?

Fakty nie napawają optymizmem, a żeby jeszcze bardziej popsuć wszystkim humor, chodzi o pieniądze. Młodych Amerykanów na uprawianie polityki nie stać. Dlaczego? Bo finansowanie kampanii to prywatna sprawa kandydatów – kłopotliwa scharż po ojcach założycielach, którzy, kładąc podwaliny amerykańskiej państwowości, nie widzieli potrzeby publicznego finansowania politycznych aspiracji.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Obcość kulturowa

Przez Igę Świątek zarwałem kilka nocy. W czasie tych nocy, spędzanych z telewizorem zamiast z poduszką, okropnie się denerwowałem. Nie kibicuję polskiej drużynie piłkarskiej, raczej ich przeciwnikom, nie lubię środowiska piłkarskich kiboli, niech cierpią. Ale z tenisem jest inaczej, grałem całe życie, gdziekolwiek jeździłem po świecie, brałem ze sobą sprzęt tenisowy. To był styl życia. Dlatego meczami tenisowymi bardzo się przejmuję. A to chyba instynktowna cecha, ta nasza zdolność do utożsamiania się z przywódcą, z bohaterem filmu czy ze sportowcem. Nie wiem, kiedy krzyczałem z radości tak głośno jak po ostatniej piłce finału, którą Ons Jabeur posłała na aut. Zdrowo czasami tak wykrzyzczyć, nie złość, ale radość.

Słowa prezesa: „Trzeba w tej chwili palić wszystkim, poza oponami czy podobnymi szkodliwymi rzeczami, bo Polska musi być ogrzana”. Prezes praktyczny. Oni doprawdy nie mają wrażliwości ekologicznej, jak każda radykalna prawica. Wierzę, że naród pisowski prezesa posłucha, nie będzie palić oponami, ale poza tym, jak polecił, „wszystkim”. Na wojnie pali się nawet meblami, stary fortepian też się nada. Naród musi być ogrzany. Mamy dom na gaz, więc nie wiem, jak to będzie, bo starszy syn z kilku powodów powinien chodzić do prywatnej szkoły, na co nas nie stać. Upadek edukacji publicznej jest faktem. Mamy kominek, ale zapasu drewna nie mamy. Najpewniej więc będziemy palić „wszystkim”. Najlepiej książkami, bo mam ich za wiele i wielka bieda z tym nadmiarem książek, biblioteki ani antykwiariaty ich nie chcą.

I znowu oddajmy głos prezesowi, już słynne są jego słowa, klucz do myślenia PiS o świecie: „Myśmy przecież nie podpisywali umowy o tym, że przyjmujemy cały ten zespół kulturowy, który reprezentuje zachodnia Europa, (...) nikt, albo prawie nikt, pośród nas nie kwestionował tej obcości kulturowej. Poczułem ją, kiedy pierwszy raz w ogóle byłem na Zachodzie, w Wiedniu. Tam różne rzeczy, których tutaj nie będę opisywał, zobaczyłem”. Dodał, że było to 33 lata temu. Tak się zraził, że potem nie jeździł za granicę. Jakie „różne rzeczy” zobaczył, nie wiem, nie posądzam prezesa, by chodził do wiedeńskich domów rozpusty. Może tylko przechodził obok i doznał wstrząsu. Takie miał wrażenia po wyjeździe na Zachód. A to był ten niedostępny, wyśniony świat, gdzie, jak się okazuje, mieszkał ukryty szatan. Przebiegły prezes go

zoczył. Dlatego odczuł dziwną obcość w Wiedniu, wyczuł czarcia woń w mieście, gdzie pulsuje kultura, bije serce tyłu muzeów, teatrów, oper, w jednym z najbardziej kulturalnych i bliskich nam duchowo miast Europy. Jednak jakoś rozumiem prezesa, ja też czuję wobec niego i PiS zupełną obcość kulturową, jakby pochodzili z innej planety. Bardzo nieprzyjemne uczucie, więc rozumiem to obrzydzenie. Biedna Polska.

Zmarła brytyjska królowa. Moja pierwsza znajomość z nią była w wieku wczesnodziecięcym. Jakimś cudem przez stalową kurtynę przedzierał się do naszego domu angielski miesięcznik pełen czarno-białych fotografii, na błyszczącym papierze, wiele z nich przedstawiało młodą królową z mężem lub bez męża. Podobała mi się, wycinałem ją nożyczkami i klejałem do zeszytów. Powszechność poruszenia i żalu po śmierci sędziwej królowej to znak, że jednak potrzebna nam jakaś magia władzy,

Jakoś rozumiem prezesa, ja też czuję wobec niego i PiS zupełną obcość kulturową, jakby pochodzili z innej planety.

ta magia, której zupełnie nie ma współczesna polityka, a politycy, także brytyjscy, są raczej przedmiotem kpiny niż szacunku.

Martwię się, że Jacek Kurski przestał być szefem telewizji. Nie wiadomo nawet, czy to kara, czy nagroda, i czy nie obejmie on innej ważnej funkcji. Ten propagandowy rymszok, jaki płynął z Woronicza, był znakomitą wizytówką PiS. Żaden uczciwy, myślący człowiek nie może tego zaakceptować. Mam nadzieję, że następca nie złagodzi przekazu, niech prawda na temat PiS ma swój wierny obraz. Ale są już znaki, że może dojść do retuszów. Jacek Kurski kochał disco polo i je promował, to była ta wysoka kultura w telewizji publicznej, nowy szef, jak się zdaje, nie dzieli tej miłości i podobno disco polo będzie mniej w telewizji. I miał w swoim gabinecie zdjęć zdjęcie prezesa, a powiesić Piłsudskiego. Plotki, nie wierzę, żeby się odważył. Piłsudski zresztą by ich wszystkich pogonił. Im straszniejsza ta telewizja, tym lepiej, bo mniej złudzeń. Kim jest Kurski? Jest nie tylko cynikiem, jeśli istnieje zbrodnia kłamstwa, to jest zbrodniarzem, a pracownicy telewizji jego współnikami. Macierewicz ze swoim kłamstwem smoleńskim pasuje tu też jak ulał. Gdyby żniwem ich kłamstw miała być śmierć, nie zawahaliby się. ■

Jan Woleński

Co z konkordatem?

Trudno traktować konkordat z 1993 r. inaczej niż jako krok w kierunku uczynienia z Polski modelowej republiki katolickiej

Niektórzy publicyści i politycy sugerują, że konkordat z 1993 r. powinien być wypowiedziany lub przynajmniej renegocjowany. W związku z tym warto przypomnieć pewne fakty historyczne i pojęciowe. Pomijając rozmaite szczegóły, konkordat to umowa zawarta pomiędzy danym państwem a Stolicą Apostolską, regulująca relacje między władzą państwową a Kościołem katolickim w danym kraju. Pierwsze konkordaty pochodzą z XII w. – obecnie, dokładnie od 1929 r. (traktaty laterańskie), gdy Stolica Apostolska (dla prostoty nie czynię odróżnienia pomiędzy nią a Państwem Watykańskim) została uznana za podmiot prawa międzynarodowego, konkordaty mają status umów międzynarodowych. Jeśli chodzi o Polskę, pierwszy konkordat został zawarty w 1737 r., a kolejny

względami ideologicznymi, trudno zaprzeczyć, że powód formalny był oczywisty, ponieważ strona watykańska istotnie naruszyła konkordat.

W okresie PRL działalność Kościoła katolickiego była oparta na aktach prawa wewnętrznego. W 1988 r. rząd i episkopat uzgodniły projekt konwencji regulującej stosunki pomiędzy państwem a Kościołem oparte na zasadzie rozdzielenia obu podmiotów. Model ten został powtórzony w ustawie o stosunku państwa do Kościoła katolickiego z maja 1989 r.

że ustępujący rząd powinien pozostawić decyzję nowemu. Pośpieszne podpisanie konkordatu było zapewne spowodowane obawą, że rząd koalicji SLD-PSL tego nie zrobi.

Lewica faktycznie wstrzymywała ratyfikację konkordatu, ale opór ludowców sprawił, że nie odrzucono umowy ani nie podjęto próby jej renegocjacji – na to drugie nie godził się Watykan. Konkordat został ratyfikowany po kolejnych wyborach, z 1998 r., w których zwyciężyła AWS. W gruncie rzeczy nie bardzo było wiadomo, czy stroną konkordatu jest Watykan, czy episkopat Polski. Negocjacje były prowadzone nie tyle przez oficjalnego przedstawiciela Stolicy Apostolskiej, ile właśnie przez polskich biskupów.

W 1993 r. umowa została podpisana przez abp. Józefa Kowalczyka, nuncjusza apostolskiego w Polsce, i Krzysztofa Skubiszewskiego, polskiego ministra spraw zagranicznych, a więc osoby o różnym statusie, jeśli porównać ich pozycję w hierarchii władz. To, że umowa nie została parafowana przez watykańskiego sekretarza stanu (ministra spraw zagranicznych), może być uznane za swoisty policzek dla strony polskiej, a także osobiliwość z punktu widzenia zwyczajów międzynarodowych – np. konkordat z 1925 r. był sygnowany przez osoby o randze ministrów spraw zagranicznych w obu podmiotach. Jan Rokita, szef Urzędu Rady Ministrów, zorganizował konferencję prasową po podpisaniu konkordatu w siedzibie prymasa Polski, co godziło w prestiż rządu, gdyż wskazywało, kto jest faktycznym ważniejszym podmiotem umowy. Równie zadziwiająca była wypowiedź premiera Jerzego Buzka po wyborach z 1998 r., że oczekuje bezzwłocznej ratyfikacji konkordatu,



Podpisanie konkordatu 2 czerwca 1925 r.

w 1925 r. Ten drugi został wypowiedziany w 1945 r. Uzasadnieniem tego było przede wszystkim powierzenie przez Watykan w grudniu 1939 r. administracji nad diecezją chełmińską Niemcowi, biskupowi gdańskiemu Spletowski, co naruszało postanowienie art. 9 konkordatu z 1925 r., że żadna część Rzeczypospolitej nie będzie zależała od biskupa mającego siedzibę poza państwem polskim. Nawet jeśli uznać, że było to jednostronne zerwanie (tak często powiada propaganda prokościelna) umowy ze Stolicą Apostolską dyktowane

Po wyborach w czerwcu 1989 r. sytuacja radykalnie się zmieniła. Strona kościelna oświadczyła, że nie jest zainteresowana dalszym procedowaniem projektu z 1988 r., a strona rządowa poparła ideę konkordatu. Jego pierwszy projekt został opracowany w Watykanie, był negocjowany w Warszawie i ostatecznie podpisał go w 1993 r. rząd Hanny Suchockiej. Stało się to po rozwiązaniu parlamentu i przed nowymi wyborami. Ten tryb był wprawdzie zgodny z prawem, ale wywołał negatywne komentarze, z uwagi na to,



Zawarcie konkordatu pomiędzy Stolicą Apostolską a Rzeczpospolitą Polską 28 lipca 1993 r. Podpisują: nuncjusz apostolski abp Józef Kowalczyk, minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski, stoją: prezydent Lech Wałęsa, premier Hanna Suchocka, marszałek Sejmu Wiesław Chrzanowski, marszałek Senatu August Jan Chęłkowski, wicemarszałek Senatu Alicja Grześkowiak, wicepremier Henryk Goryszewski.

aby go zawieźć w prezencie Janowi Pawłowi II przy okazji planowanej wizyty w Rzymie, co też pokazywało, co było grane.

Konkordat stanowi w art. 1: „Rzeczpospolita Polska i Stolica Apostolska potwierdzają, że Państwo i Kościół Katolicki są – każde w swej dziedzinie – niezależne i autonomiczne oraz zobowiązują się do pełnego poszanowania tej zasady we wzajemnych stosunkach i we współdziałaniu dla rozwoju człowieka i dobra wspólnego”. Konstytucja RP z 1997 r. stanowi (art. 25), po pierwsze, że Kościoły i inne związki wyznaniowe są równouprawnione. Po drugie, że władze publiczne w RP są bezstronne wobec przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych oraz zapewniają swobodę ich wyrażania w życiu publicznym. Po trzecie, że stosunki między państwem a Kościołami i innymi związkami wyznaniowymi są kształtowane na zasadach poszanowania ich autonomii oraz wzajemnej niezależności każdego w swoim zakresie, jak również współdziałania dla dobra człowieka i dobra wspólnego – jest to powtórzenie cytowanego art. 1 konkordatu, aczkolwiek rozszerzone na inne wyznania. A po czwarte, relacje między Rzeczpospolitą Polską a Kościołem katolickim określa

umowa międzynarodowa zawarta ze Stolicą Apostolską i ustawy. To oczywiste z uwagi na podmiotowość Watykanu, jednak pokazuje, że wprowadzie wszystkie wyznania są równe, ale jedno jest równiejsze. Może istotniejszy jest fakt, że konstytucja z 1997 r. niejako wymusiła ratyfikację konkordatu, podpisanego w 1993 r.

Niektórzy publicyści i politycy sugerują, że konkordat z 1993 r. powinien być wypowiedziany lub przynajmniej renegocjowany.

Oczywiście z formalnego punktu widzenia można argumentować, że nic nie stało na przeszkodzie, aby przygotować nową umowę polsko-watykańską, tj. rozdział Kościoła od państwa, lecz okazało się to nie do przyjęcia przez Kościół katolicki pięć lat później. Kościelni promotorzy konkordatu i ich świeckie tuby propagandowe argumentowali, że separacja obu instytucji, najbardziej powszechny model na świecie, jest postkomunistyczną opresją. Zadziwiający relatywizm w wypadku religii głoszącej radykalny absolutyzm moralny.

Rozumienie takich pojęć jak rozdział, autonomia, wzajemna niezależność i współdziałanie zależy od wielu

czynników. Trudno traktować konkordat z 1993 r. inaczej niż jako krok w kierunku uczynienia z Polski modelowej republiki katolickiej i przykładu dla innych krajów, zwłaszcza postkomunistycznych, co było jednym z celów Jana Pawła II. I to jest powód, dla którego strona kościelna kategorycznie odrzuciła zasadę rozdziału Kościoła od państwa na rzecz formuły o ich autonomii i współpracy. Chodziło o to, aby wykładnia prawa polskiego w kwestiach religijnych nie korzystała z wzorców powszechnych w państwach zachodnich, tj. respektujących świeckość władzy publicznej.

Konkordat przyznaje szerokie przywileje Kościołowi katolickiemu, np. wyłącza funkcjonowanie instytucji kościelnych spod jurysdykcji prawa wewnętrznego w wielu obszarach lub przewiduje dla nich specjalną ścieżkę prawną, chociażby w sprawach majątkowych (np. specjalny tryb restytucji mienia kościelnego, udogodnienia podatkowe), edukacyjnych (wprowadzenie religii do szkół i dalsza ich „katechizacja”, np. wprowadzenie obowiązku nauczania religii lub etyki, co z oczywistych powodów preferuje tę pierwszą) czy nawet prawno-karnych (zamykanie oczu przez organy

ścigania i sądy na przypadki pedofilii wśród duchownych, np. zalecenie dla prokuratorów, aby „ogłędnie” domagali się ujawniania dokumentów kościelnych). Do tego dochodzi finansowa protekcja dla rozmaitych instytucji i inicjatyw kościelnych, np. przedsięwzięć Ojca Dyrektora, widoczna gorliwość w karaniu za obrazę uczuć religijnych, ale nie-ukrywana wstrząsliwość w pociąganiu do odpowiedzialności za wypowiedzi i działania katolickich aktywistów wobec niewierzących (tutaj wytłumaczeniem jest wolność wyrażania poglądów religijnych), umieszczanie symboli religijnych w przestrzeni publicznych (tu przytacza się art. 5 gwarantujący

wolność wyrażania przekonań wyznaniowych), łączenie uroczystości państwowych treściami i religijnymi (w obie strony) czy, co może najważniejsze, kształtowanie zgodnie z postulatami moralności katolickiej prawa polskiego (np. sprawa aborcji i związków partnerskich) i programów edukacji szkolnej (np. program przedmiotu historia i teraźniejszość i podręcznik pióra Wojciecha Roszkowskiego). Wprawdzie powolność państwa wobec Kościoła katolickiego jest stałym elementem polskiego krajobrazu politycznego po 1989 r., lecz lata 2015-2022 stanowią wręcz modelowy przykład sojuszu ołtarza z tronem, z wyraźną dominacją tego pierwszego. Czołowi przedstawiciele państwa i polskiego episkopatu jednoznacznie stwierdzają, że Polska ma być chrześcijańska (katolicka) lub jej w ogóle nie będzie, a konkordat ma służyć temu pierwszemu.

Konkordat przyznaje szerokie przywileje Kościołowi, np. wyłącza funkcjonowanie jego instytucji spod jurysdykcji prawa wewnętrznego w wielu obszarach.

Podam przykład z własnego podwórka. W funkcjonowaniu nauki ważna jest ocena wyników naukowych. Dokonuje się ona wedle dyscyplin, co zakłada klasyfikację na dziedziny i dyscypliny. Pierwszych jest osiem: humanistyka, nauki inżynierjno-techniczne, nauki medyczne i o zdrowiu, nauki rolnicze, nauki społeczne, nauki przyrodnicze i ścisłe, nauki teologiczne i dziedzina sztuki. W humanistyce mieszczą się takie dyscypliny jak archeologia, filozofia, historia, językoznawstwo, literaturoznawstwo, nauki o kulturze i religii, nauki o sztuce, a w naukach społecznych – ekonomia i finanse, geografia społeczno-ekonomiczna, nauki o bezpieczeństwie, nauki o komunikacji społecznej i mediach, nauki o polityce i administracji, nauki o zarządzaniu i jakości, nauki prawne, nauki socjologiczne, pedagogika, prawo kanoniczne, psychologia. Prawdziwym dziwłogiem naukoznawczym jest uznanie nauk teologicznych za odrębną dziedzinę nauki (nazwa sugeruje, że jest ich

wiele, ale nie został wprowadzony podział na poddziedziny) oraz przyznanie prawu kanonicznemu statusu osobnej dyscypliny. Teologia jest uprawiana w Polsce przez 600 osób – każda z pozostałych dziedzin przez tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy. Prawo kanoniczne ma około setki przedstawicieli w środowisku akademickim, filozofia – ponad 1 tys., a historia 3 tys. Wedle ministerialnych wyjaśnień pozycja teologii i prawa kanonicznego w przedstawionej klasyfikacji ma wypływać z postanowień konkordatu z 1993 r. Wszelako w tej umowie nie ma niczego, co uzasadniałoby pojmowanie teologii jako odrębnej dziedziny nauki, a prawa kanonicznego jako samostojącej dyscypliny naukowej. Owszem, konkordat gwarantuje mecenat państwa także w stosunku do uczelni katolickich, ale to nie oznacza przyznawania specjalnych

przywilejów teologom i kanonistom. Teologia jest w Polsce, podobnie jak w większości innych krajów, normalnym elementem struktury akademickiej – ma swój komitet w strukturze PAN, jest dyscypliną akademicką (są wydziały teologiczne na uniwersytetach) i powinna być traktowana na ogólnych zasadach. Prawo kanoniczne jest częścią nauk prawnych (tak było w okresie międzywojennym), a jeśli przyjąć, że obecnie powinno być inaczej, miejsce kanonistyki jest w teologii, a nie w naukach społecznych na równi z prawoznawstwem czy socjologią.

Prawdopodobnym motywem ukształtowania powyższej klasyfikacji dziedzin i dyscyplin jest to, aby teologia i prawo kanoniczne miały należyty udział w partycji środków na badania naukowe (dziedzina dostaje więcej niż dyscyplina), co jest uzasadniane konkordatem. Obie specjalności są autonomiczne, ale współdziałają z sektorem państwowym, co jest wyraźne w poczynaniach ministrów Czarnka i Glińskiego,

nadzwyczaj hojnych dla instytucji katolickich.

Powyższe rozważania pokazują, że treść konkordatu jest anachroniczna, ale również niezgodna z zasadami społeczeństwa obywatelskiego, a ponadto może on być wykorzystywany do celów niekoniecznie pokrywających się z interesem politycznym państwa polskiego, np. pogłębianiem integracji europejskiej. To uzasadnia postulat wypowiedzenia lub przynajmniej renegocjowania treści umowy z 1993 r. Wszelako nie jest to takie proste. Art. 27 konkordatu stanowi: „Sprawy wymagające nowych lub dodatkowych rozwiązań będą regulowane na drodze nowych umów między Układającymi się Stronami albo uzgodnień między Rządem Rzeczypospolitej Polskiej i Konferencją Episkopatu Polski upoważnioną do tego przez Stolicę Apostolską”, a art. 28: „Układające się Strony będą usuwać na drodze dyplomatycznej zachodzące między nimi różnice dotyczące interpretacji lub stosowania niniejszego Konkordatu”. Oba te przepisy znacznie ograniczają pole manewru strony polskiej, zwłaszcza przez przyjęcie, że zmiany mogą zależeć od zgody Konferencji Episkopatu Polski. Nie wiadomo, czy polscy negocjatorzy nie dostrzegli normatywnej pułapki zawartej w obu zacytowanych artykułach, czy wprowadzili ją świadomie, aby np. zrobić prezent Janowi Pawłowi II. Być może trzeba będzie sięgnąć aż do zmiany Konstytucji RP, np. przez przyjęcie zasady, że stosunki pomiędzy państwem a związkami wyznaniowymi opierają się na zasadzie ich wzajemnego rozdziału. W takiej sytuacji renegocjacja konkordatu byłaby konieczna. Trzeba jednak wyraźnie zaznaczyć, że nie może być mowy o ograniczeniu wolności religijnych czy wydatkowania przez państwo środków budżetowych np. na badania naukowe (akademickie) w zakresie teologii. Zaznaczam to dlatego, że rozdział Kościoła katolickiego od państwa jest często traktowany jako forma represji wobec religii. Jest to teza absolutnie bezpodstawna.

Jan Woleński jest prawnikiem i filozofem, profesorem nauk humanistycznych

Aleksander Kwaśniewski nagrodzony w Olsztynie

Laureatem drugiej edycji Nagrody im. Henryka Panasa, ustanowionej przez olsztyńskie oddziały Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej i Związku Literatów Polskich, został Aleksander Kwaśniewski.

Zdziwienie postronnych obserwatorów mógł wzbudzić fakt przyznania byłemu prezydentowi RP nagrody imienia wybitnego redaktora i pisarza z Olsztyna, autora apokryfu „Według Judasza”. Uzasadnienie kapituły rozwiało jednak wątpliwości: statuetka z podobizną Henryka Panasa trafiła w ręce redaktora naczelnego w latach 80. XX w. tygodnika studenckiego „itd”, potem dziennika „Sztandar Młodych”, jak również współtwórcy pierwszego w Polsce pisma dla komputerowców „Bajtek”. Także autora książek publicystycznych, na dodatek związanego z regionem Warmii i Mazur, gdzie często przebywa w letnim domu nad jeziorem Dąbrowa Wielka. Laureat spełniał też czwarty warunek regulaminu: jest stały w swoich przekonaniach. Podobnie jak patron nagrody Henryk Panas.

Rok temu Nagrodę Panasa otrzymał Krzysztof Daukszewicz, który w drugiej edycji wszedł w skład kapituły. On też 12 września, podczas uroczystej gali na olsztyńskim zamku, wygłosił (dowcipną, a także) laudację na cześć laureata. Statuetkę wręczył Aleksandrowi Kwaśniewskiemu Gustaw Marek Brzezina, marszałek województwa warmińsko-mazurskiego, który po raz drugi objął nagrodę honorowym patronatem, w towarzystwie Jacka Panasa, syna pisarza, dziennikarza radiowego. Gratulacje złożyli współprzewodniczący kapituły, prezesi zarządów głównych: Jerzy Domański (SDRP) i Marek Wawrzkiwicz (ZLP), oraz prezydent Olsztyna Piotr Grzymowicz i starosta olsztyński Andrzej Abako. W wypełnionej po brzegi Sali Kopernikowskiej Zamku Kapituły Warmińskiej znamienitego



Aleksander Kwaśniewski ze statuetką Nagrody im. Henryka Panasa. Po jego prawej stronie stoją Jacek Panas i Andrzej Cieślak, po lewej marszałek Gustaw Marek Brzezina i Marek Książek.

laureata nagrodzono owacją. Dziękując za wyróżnienie, podkreślił on, że coraz chętniej i częściej przebywa na Mazurach. Podobnie jak Jolanta Kwaśniewska, małżonka laureata; oboje zachwycają się urokami natury nad jeziorem Dąbrowa Wielka. W gali brał udział nie tylko syn Henryka Panasa, ale również jego wnuk Maciej Wilczek, podobnie jak dziadek dziennikarz i pisarz. W roli gospodarzy wystąpili szefowie miejscowych oddziałów: Marek Książek (SDRP) i Andrzej Cieślak (ZLP).

Nieco wcześniej para prezydencka, ciesząca się w Olsztynie szczególną sympatią, złożyła wiązanek kwiatów pod tablicą na domu, w którym Henryk Panas mieszkał w latach 1955-1985, czyli do śmierci. Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy spotkali się z członkami oddziałów obu organizacji, które – z inicjatywy



Laureat z małżonką składają kwiaty pod tablicą na domu, w którym mieszkał Henryk Panas.

SDRP – ustanowiły Nagrodę Panasa. W tegorocznej edycji trzecim współorganizatorem było Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych, instytucja samorządu województwa, która wsparła finansowo to wydarzenie. Marszałek województwa nie wyklucza, że w trzeciej edycji będzie podobnie.

Marek Książek

Stanisław Sławomir Nicieja

W biografii księdza kapucyna Remigiusza Kranca (1910-1977) – kapelana 19. Pułku Ułanów Wołyńskich i Korpusu Ochrony Pogranicza w Ostrogu – pojawia się mało znany epizod związany z postacią gen. Karola Świerczewskiego, zabitego przez banderowców w Bieszczadach w marcu 1947 r. Śmierć – podobnie jak całe życie Świerczewskiego – była przez ponad pół wieku w Polsce mitologizowana. Napisano o nim dziesiątki hagiograficznych opracowań. Nazywano go człowiekiem, „który się kulom nie kłaniał”.

Taki tytuł nosiła m.in. panegiryczna książka Janiny Broniewskiej, opublikowana w nakładzie ponad 1 mln egzemplarzy, która miała w Polsce do roku 1989 aż 17 wydań. Była lekturą szkolną. Wpływ na budowę legendy Świerczewskiego miał też wybitny pisarz amerykański, laureat Nagrody Nobla, Ernest Hemingway. W słynnej powieści „Komu bije



Od ściany do ściany – „dekomunizacja” Świerczewskiego

Mało jest państw, w których historia służy jako pałka do walki politycznej i zohydzenia przeciwnika

dzwon” ukazał heroiczną postać gen. Waltera walczącego z frankistami w latach 1936-1938 w Hiszpanii w czasie trwającej tam wojny domowej. Władysław Broniewski poświęcił Świerczewskiemu wiersz recytowany przez lata na różnego rodzaju akademiach szkolnych, złotych harcerskich i uroczystościach wojskowych. Frazę z tego wiersza: „Nie o każdym śpiewają pieśni, nie każdemu stawiają pomnik” wykonywano na tablicach i monumentach poświęconych gen. Walterowi. Kilku wybitnych polskich rzeźbiarzy, m.in. Xawery Dunikowski (1875-1964), Alfons Karny (1901-1989),

Gustaw Zemła (ur. 1931) i Franciszek Strynkiewicz (1893-1996), tworzyło jego popiersia w brązie i kamieniu. W 1953 r. Wanda Jakubowska nakręciła monumentalny, dwuczęściowy film fabularny „Żołnierz zwycięstwa”, w którym zagrała czołówka polskich aktorów: Andrzej Łapicki, Władysław Hańcza, Tadeusz Janczar, Andrzej Bogucki, Jerzy Duszyński, Jan Kurnakowicz, Gustaw Holoubek (zagrał Feliksa Dzierżyńskiego). Gen. Świerczewskiego portretował też Tadeusz Kulisiewicz – wybitny polski rysownik oraz kilku polskich malarzy batalistów.

Ale przyszedł czas zmian politycznych w Polsce po 1989 r. i postać Świerczewskiego stała się przedmiotem walki politycznej, lustracji i w końcu ostrej „dekomunizacji”. 1 kwietnia 2016 r. Sejm RP po niezwykle emocjonalnej dyskusji przyjął ustawę „dekomunizacyjną”, która miała być wykonana bezwzględnie, z zagrożeniem karą dla samorządów, które by ją zlekceważyły bądź ociągały się z jej wdrożeniem. Tak zaczął się proces masowej likwidacji pomników z czasów PRL, w tym również Świerczewskiego. Przy rozbiieranych monumentach czasem emocje sięgały zenitu. Zdarzało



Monumentalny (8 m wysokości) pomnik projektu Franciszka Strynkiewicza do 2018 r. stał pod Baligrodem w Bieszczadach, w miejscu, gdzie w 1947 r. zginął gen. Karol Świerczewski.

Rozbiórka pomnika w ramach tzw. dekomunizacji, Jabłonki, 3 lutego 2018 r.

się, że dochodziło do rękoczynów. Uczestnicy tych wydarzeń ubliżali sobie i obrażali się nawzajem.

Groteskowy przebieg miała akcja rozbioru pomnika w Koszalinie, gdzie miejscowy artysta Zygmunt Wujek, który w latach 60. XX w. wyrył rzeźbę popiersia Świerczewskiego (stojące w centrum miasta przez kilkadziesiąt lat), gdy przyszła dekomunizacja, postanowił zdjąć tę swoją rzeźbę (żeby – jak powiedział – oczyścić się) i po pewnym czasie na tym samym cokole umieścić popiersie gen. Władysława Andersa, odlane z brązu odzyskanego z przetopienia głowy Świerczewskiego. Na posiedzeniu tamtejszej rady miasta niektórzy złośliwie pytali: Jakie zasługi miał gen. Anders dla polskości Koszalina? Kto to miasto odbił z rąk Niemców, kto przełamał Wał Pomorski i przez Kołobrzeg doszedł do plaży Bałtyku? Z tego powodu ten nowy pomnik Andersa w Koszalinie prowokował też kontrowersje. Prof. Franciszek Kusiak (rocznik 1942) – wybitny historyk wojskowości opisał w swej książce o Świerczewskim taką scenę: „Będąc w Koszalinie, zatrzymałem się przed pomnikiem gen. Andersa. Kiedy tak

zastanawiałem się, dlaczego pomnik postawili jemu, a Pomorze wyzwalała w 1945 r. idąca ze wschodu 1. Armia, zbliżył się do mnie starszy człowiek i powiedział: Co Pan się tak przyglądasz temu złodziejowi? Ripostowałem: jak Pan możesz tak ubliżać naszemu bohaterowi narodowemu? Bo tu dawniej – powiedział on – postawiliśmy pomnik naszemu dowódcy gen. Świerczewskiemu, ale po objęciu władzy przez Solidarność, ze względu na to, że obaj byli tysi, doprowadzono wąsy i wstawiono napis, że jest to Anders”. Takie reporterskie zapisy można mnożyć.

Nim pod młoty pneumatyczne poszły liczne pomniki gen. Waltera, dużo wcześniej prawie wszystkie ulice (a było ich w Polsce setki), które nosiły imię Świerczewskiego, zamieniano z reguły na ulice Józefa Piłsudskiego lub Władysława Andersa. Podobnie stało się ze szkołami imienia Waltera, nie mówiąc już o tablicach, które zrywano z budynków mających związek z osobą Świerczewskiego. Obecnie tylko w dawnych wschodnich Niemczech, pod Budziszynem, w Horce, którą nazywa się „łuzyczką Golgotą”, są pomniki żołnierzy 2. Armii Wojska Polskiego i tablice

w języku polskim i niemieckim informujące o tym, że stacjonował tam dowódca tej armii – gen. Świerczewski. Pobliski cmentarz żołnierzy polskich jest bardzo zadbane i pielęgnowany przez władze niemieckie.

Po polskiej stronie Odry i Nysy Łużyckiej wszystkie tablice, na których było nazwisko Świerczewskiego, usunięto. W Jagodzinie nad Odrą, gdzie w kwietniu 1945 r. kwaterował sztab Świerczewskiego przed krwawą budziszyńską operacją, po tablicy upamiętniającej ten czas zostały tylko ślady po mocujących ją śrubach. Mijają lata, a nawet tych dziur nie zatynkowano. W Gubinie nad Odrą główną ulicę, noszącą imię 2. Armii Wojska Polskiego, którą dowodził Świerczewski, prokuratorzy z IPN polecieli nazwać imieniem gen. Władysława Andersa. Protesty byłych żołnierzy 2. Armii (głównie Kresowian) i ich bardzo licznych potomków zlekceważono. Usłyszeli w odpowiedzi, że byli „żołnierzami polskojęzycznej armii wysługujacy mi się sowieckim okupantom”. A że było ich ok. 200 tys., to nieistotne.

W Toporowie, tuż nad brzegiem Nysy Łużyckiej, gdzie przy jej forsowaniu padły setki polskich żołnierzy, też głównie Kresowian z Wołynia i Podola (m.in. tych, którzy poszli na front z polecenia ks. Remigiusza Kranca z Ostroga), jest obecnie zarosnięty chaszciami cmentarz, na którym drzewa rozsadzają betonowe, splekane nagrobki.

Mieszkający w Opolu wnuk Kresowian przez kilka lat z wielką determinacją samotnie walczył, i o dziwo skutecznie, o zachowanie pomnika żołnierzy poległych przy forsowaniu Odry w Mikolinie pod Opolem: mył słupki otaczające ten duży rozmiarów monument oraz wycinał samosiejki i chwasty, usuwał pisane czerwoną farbą napisy, że jest to „pomnik hańby narodowej”. Nie chciał, abym podał jego nazwisko. Ale w rozmowie powiedział, że robi to dlatego, „aby jacyś fałszerze historii nie stwierdzili w przyszłości, że Opole i cały Śląsk dla Polski wywalczyła armia amerykańska i gen. Anders. Dopóki ten monument tu stoi, kłamcy nie zmyją tej krwi, którą rozlano na odrzańskim brzegu”.

► Równoległe z działaniami dekomunizacyjnymi w sferze materialnej pojawiło się wiele artykułów, które odsądzały od czci i wiary postać Świerczewskiego. Pisano w nich, że był wielkim szkodnikiem dla Polski, pijakiem, mordercą, lubieżnikiem, nieukiem, horrendalnie niekompetentnym dowódcą odpowiadającym za morze rozlanej polskiej krwi i w ogóle, że był tylko „sowieckim agentem przebranym w polski mundur”. A więc od ściany do ściany, czyli od hagiografii i panegiryków do paszkwili. W środku znaleźli się ludzie, którym przez 50 lat mówiono co innego, a teraz słyszą zupełnie co innego. Przedtem pisano o człowieku wielkiego bohaterstwa, szlachetności, wrażliwości społecznej, niezwykłej odwagi, „który się kulom nie kłaniał”, a po 1990 r. dość duża grupa publicystów i historyków z IPN, częstokroć z tytułami akademickimi, zaczęła dowodzić, że ten „zaprzaniec narodowy” urodzony w Warszawie i całe życie będący żołnierzem frontowym w Rosji, Hiszpanii, Chinach, Polsce i w Niemczech to jakaś karykatura dowódcy. Zaczęto ogłaszać pseudonaukowe rewelacje o jego „horrendalnej niekompetencji wojskowej”, mimo że skończył akademię Frunzego i dowodził w Hiszpanii brygadą międzynarodową, zyskując wielkie uznanie Hemingwaya, który docenił jego zdolności dowódcze. Dziś określa się Świerczewskiego epitetami w rodzaju: nieuk, pijak, brutal, nieudacznik.

Szermuje się twierdzeniem zaczerpniętym z publikacji trzech profesorów, że dowodzona przez Świerczewskiego 248. Dywizja Piechoty Armii Czerwonej została doszczętnie rozbita pod Wiaźmą przez Niemców i spośród 10 tys. dowodzonych przez Waltera żołnierzy przeżyło... tylko pięciu, z nim włącznie 28. I po takiej totalnej klęsce nie poszedł za to pod pluton egzekucyjny, został nawet awansowany. Zapomniano jednak dodać, że pod Wiaźmą



Niemcy wzięli w kociot pół miliona żołnierzy rosyjskich, kilka dywizji (o czym uczciwie napisali cytowani profesorowie), doprowadzając do niewyobrażalnej masakry. Był to czas, kiedy niemiecki Blitzkrieg miażdżył Armię Czerwoną. Z dywizji dowodzonej przez Świerczewskiego przeżyło nie pięciu, ale 681 żoł-

Dziś określa się gen. Świerczewskiego epitetami w rodzaju: nieuk, pijak, brutal, nieudacznik.

nierzy, z innych dywizji po ok. 200. Z niemieckiego okrążenia czerwonoarmiści wychodzili małymi grupami i w jednej z takich grup był Świerczewski ze swoim jedynym bratem – Maksymilianem, który jednak zginął, bo tylko pięciu z tej grupy miało szczęście wyjść z tego piekła po huraganowym ataku niemieckiego lotnictwa i artylerii.

Tego typu publicystyczne rewelacje, że z 10 tys. żołnierzy Świerczewskiego przeżyło tylko pięciu, są tyle warte, ile poprzednie stwierdzenia, iż

Wybitny rzeźbiarz Xawery Dunikowski na unikatowej fotografii wykonanej w 1963 r. w Strzegomiu, gdzie z asystentami rzeźbił postać żołnierza armii Berlinga i Świerczewskiego.

Świerczewski był tak bohater-ski, że nawet kulom się nie kłaniał. W 1947 r. okazało się, że wystarczyły pod Baligrodem dwie kule, żeby się śmiertelnie pokłonił. Klasyczny brak umiaru z jednej i drugiej strony.

Jeden z płodnych publicystów z tytułem naukowym, charakteryzując w ważnym tygodniku politycznym Świerczewskiego „jako bożyszcze komunistów”, tak przedstawił jego wizerunek: „Generał był przysadzysty i barczysty. Miał byczy kark, łapska jak kotlety i tysiąć czaszkę. Zapuchnięte oczy. Mięsista, pokryta fiołkowymi żyłkami twarz była czerwona jak burak. Gdy szukał schronienia za leżącymi przy drodze balami drzewa, chwiał się na nogach. Ciągłe było pod wpływem alkoholu” [Piotr Zychowicz, „Do Rzeczy”, nr 1/2022]. To jest już poważna literatura. Może nawet konkurować z dziełem noblisty Hemingwaya.

Skala nienawiści do Świerczewskiego nabrała już takich wymiarów, że polski historyk, utalentowany, sugestywny publicysta, w 75. rocznicę zabicia Świerczewskiego przez ban-

derowców pod Baligrodem nie ukrywał specjalnie satysfakcji, że w Polsce „partyzanci” ukraińscy zabili dwa lata po wojnie polskiego ówczesnego wiceministra obrony narodowej. Artykuł ten ilustrowany jest zdjęciem zabitego Świerczewskiego leżącego na zmieszonym z błotem śniegu z otwartymi ustami: wszystko na sprzedaż, żadnej intymności.

Powyższa charakterystyka Świerczewskiego ukazała się w wielce pochlebnej recenzji książki Krzysztofa Potaczały. Publikacja ta ma odpychającą

okładkę: przedstawia popiersie Świerczewskiego (dłuta Franciszka Strynkiewicza – rektora warszawskiej ASP) oblane czerwoną farbą.

W tej reporterskiej książce Krzysztof Potaczka przedstawia fenomen kultu Świerczewskiego w czasach PRL i formy likwidacji tego kultu w III RP. Jest tam wstrząsający fragment o rozbieraniu mającego kilka metrów wysokości pomnika Świerczewskiego w Jabłonkach pod Bałigrodem. Operacja ta ze względu na rozmiar monumentu trwała aż cztery dni. Samego orła piastowskiego górującego nad pomnikiem odbijano przez cztery godziny przy użyciu palnika, podnośników i ciężkiego sprzętu. Demontaż pomnika, mimo wielkiego wówczas mrozu (był zimny marzec), obserwowało wielu fotoreporterów oraz milczący tłum ludzi. Wcześniej wielu z nich protestowało, twierdząc, że należy tę stojącą na odludziu pamiątkę zostawić. Nadaremno. Obecnie w tym miejscu nie ma śladu po pomniku ani żadnej informacji o zabójstwie, które wówczas wstrząsnęło Polską i przyspieszyło proces likwidacji kryjących się po bieszczadzkich lasach i mordujących tamtejszą ludność oddziałów UPA. Brzemieniem następstwem tego zabójstwa była akcja „Wista”. Gdyby wówczas nie zdecydowano się na siłowe rozdzielenie polskiej i ukraińskiej ludności w Bieszczadach, krew mogłaby się tam łać przez całe lata. Do niedawna jeszcze w Bieszczadach odkrywano bunkry i korytarze sieci podziemnych kryjówek banderowców.

Autor reporterskiej książki o „kulcie bożyszczaka komunizmu” w PRL i niszczeniu tego kultu w III RP, starając się o pewien obiektywizm, korzystał z różnorodnej literatury, którą zamieścił w bibliografii tej publikacji. Jest tam wiele przypadkowych, czasem niepoważnych czy wręcz groteskowych pozycji, a nie ma najważniejszej książki biograficznej o Świerczewskim. Nie wiem, jak to tłumaczyć – brakiem rozeznania, ignorancją czy też faktem, że książka prof. Franciszka Kusiaka „Generał Karol Świerczewski Walter – życie po życiu 1897-1947-2017” wyszła w nikłym nakładzie i została przez

recenzentów przemilczana? A jest to rzetelna monografia, starająca się precyzyjnie i bez demagogii odpowiedzieć na zasadnicze pytania, kim był Świerczewski, jakie miał wykształcenie, jak pojmował polskość i żołnierski fach, jak zapisał się we wspomnieniach otaczających go za życia ludzi. Pomijanie twardej faktografii zgromadzonej w monografii prof. Franciszka Kusiaka niewątpliwie naraża autora na eliminację z poważnego dialogu o historii polskiej wojskowości w pierwszej połowie XX w.

Wśród wielu wątków, które analizuje prof. Kusiak, jest bardzo istotny rozdział o kapelanach wojskowych

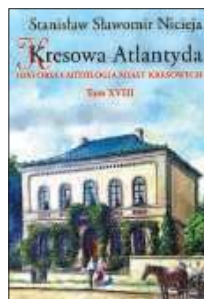
i mordercę, a ze zdrajcy – absolutnej szlachetności bohatera, na starym cokole postawić nową, aktualną politycznie figurę i jeszcze przy tym niejednokrotnie zdobyć tytuł naukowy na uczelni. Ryszard Kapuściński, ku któremu u schyłku jego życia wyciągnięto już macki lustracyjne, w jednym z ostatnich tekstów napisał: „Najczęściej stosowaną operacją wobec przeszłości, wobec historii jest zabieg redukcji. Obraz zostaje ogołocony z wszystkich półcieni i odcieni, z całego bogactwa kolorów zostaje tylko biel i czerń, bezwzględny kontrast. Panuje klimat walki. Ludzie to albo herosi, albo zdrajcy”.

Polski historyk w 75. rocznicę śmierci Świerczewskiego nie ukrywał satysfakcji, że „partyzanci” ukraińscy zabili generała.

armii Berlinga i Świerczewskiego, ukazujący problem religijności żołnierzy i stosunek do niej gen. Waltera. Jest tam m.in. wypowiedź przyjaciela kard. Stefana Wyszyńskiego i papieża Jana Pawła II – Tadeusza Fedorowicza (1907-2002) – kapelana armii Berlinga. „Świerczewski – wspominał Fedorowicz – to był dziwny Polak, zapewne przekonań lewicowych, może komunistycznych, ale uczciwy, rzetelny człowiek, doskonały dowódca. (...) Mówił czystą polszczyzną zupełnie bez ruskiego nalotu”. Jakże to inna opinia od tych, których pełno jest w artykułach lustracyjnych dotyczących Świerczewskiego.

Odbijanie się od ściany do ściany, nieumiejętność zachowania umiaru w gloryfikacji i wynoszeniu na piedestał albo w potępianiu i strącaniu z cokołów postaci historycznych, swoista tandeta patriotyczna, czyli przesadzanie albo oczernianie w edukacji narodowej postaci historycznych, staje się powoli polską specjalnością. Irracjonalny podział w polskiej publicystyce historycznej oraz w nowej narracji szkolnej i telewizyjnej nabiera częstokroć monstrualnych rozmiarów. Można napisać i powiedzieć o człowieku wszystko, zrobić z bohatera zdrajcę

Jak to zatrzymać? Jak nie gmatwać historii narodowej sprzed ponad pół wieku w ciągle rozliczenia polityczne i nie szukać w niej podglebia do podziałów i potępień aktualnych politycznie? Jak wyjść z tej idiotycznej kwadratury koła i dylematów w rodzaju: kto lepiej służył Polsce – żołnierz wyklęty, żołnierz Andersa czy żołnierz Berlinga i Świerczewskiego? Która armia jest ważniejsza – ta idąca ze wschodu czy ta z zachodu? Mało jest państw, w których historia tak często bywa zatrzymywana językiem nienawiści, brakiem tolerancji i służy jako pałka do walki politycznej i zohydowania przeciwnika. Rusofobia w przypadku Świerczewskiego wielu politykom i publicystom tak już zatrzymała rozum, że odebrała im zdolność logicznego myślenia i przyzwyczajenie. Jak w tej sytuacji ma znaleźć się czytelnik – zwykły Polak, który szuka w historii mądrości życiowej, sprawiedliwości, drogowskazów przy wyborach dróg politycznych czy też wzorców kulturowo-obyczajowych?



Fragment książki Stanisława Sławomira Nicieja *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych, t. XVIII*, Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2022

REPORTER

nie może bać się człowieka

Reportaż w swym duchu zawsze był lewicowy, stał po stronie ludzi często trudnych do sformatowania

Rozmawia Rafał Piłkuła

Ostatnio debaty w literaturze to głównie spory o formę. Nudzi się nam czy naprawdę już nie ma o czym gadać?

– Debata o formie to haust świeżego powietrza, a nawet haust normalnego powietrza. W jednym z dawnych reportaży Hanny Krall, a były to lata 60., wypowiadała się kwiaciarka z Wrocławia, która przyjechała jako przesiedlona z Kresów. Powiedziała, że kwiaty po wojnie nie sprzedawały się w ogóle, bo ludzie mieli ważniejsze rzeczy na głowie i zupełnie niedawno zaczęli kupować kwiaty dla przyjemności. A wcześniej

żeby zaistniał w taki sposób, aby czytelnik go zapamiętał, przeżył jego historię. Forma musi być służebna. Jeśli forma jest ważniejsza od bohatera, wtedy jest to puste, wtedy chodzi tylko o to, żeby reporter lub reportarka się popisał/a swoim talentem. Natomiast forma może być i jest bohaterką takiej książki quasi-eseistycznej jak moja o reportażu, czyli „Fakty muszą zatańczyć”.

Niekiedy jednak forma wybija się na pierwszy plan, jak w twoim opowiadaniu faktu „Rzeka” z tomu „Nie ma”. Nie ma chyba dwóch trzecich słów, które mogłyby paść.

– Słowa, których tam nie ma, mimo ich braku coś mówią. One mają służyć temu, żeby czytelnicy przeżyli

służyć głębszemu przeżyciu tej historii, a właściwie przeżyciu po swojemu, zastanowieniu się: co ja bym dodał, a może ja też mam coś do powiedzenia?

W „Fakty muszą zatańczyć” piszesz, że reportaż jest funkcją czasu, miejsca, sytuacji, w której znajduje się reporter, zawsze jest przetworzony przez niego, czyli ta książka była jednak głosem w dyskusji?

– Głównie chciałem troszkę pokazać czytelnikom, którzy interesują się reportażem, że fakty zawsze podlegają interpretacji, a np. dialogi w reportażu, które przytaczamy, nie są dialogami jeden do jednego, są zgęszczone, my robimy syrop, eliksir opowieści.

Po części podręcznik, po części próba usprawiedliwienia siebie i twojej wizji reportażu, a równocześnie to podsumowanie 12 lat Polskiej Szkoły Reportażu.

– Od dawna nosiłem się z tym, żeby to napisać. Zwłaszcza kiedy w 2016 r. minęło 50 lat od ukazania się książki Trumana Capote’a „Z zimną krwią” i magazyn „Książki” „GW” poprosił mnie, żebym przeczytał ją jeszcze raz i napisał, jakim ta książka była przełomem w dziennikarstwie i w literaturze faktu. Capote chwalił się, że każde zdanie o morderstwie rodziny Clutterów jest prawdziwe, ponieważ zostało sprawdzone przez niego osobiście, usłyszane i potwierdzone w faktach. On nic nie dodał od siebie. Nigdy nie należy robić takich deklaracji, bo zawsze nam jakiś grzech znajduje. Pojechał po nim w te same miejsca reporter-reasercher, który ustalił, że Capote zmyślił kilka rzeczy, a szczególnie scenę finałową.

Musisz być uchem, nie tylko mieć ucho. Ten słuch sprawia, że nie umykają zdania, które są perłami.

to tylko z okazji chrzcin, ślubów, imienin czy pogrzebów. Teraz kupują kwiaty po prostu dla samych siebie. Ja uważam, mówi kwiaciarka, że od tego momentu zaczęła się normalność, której nie było po wojnie. Jeśli sobie dyskutujemy o formie w literaturze, o literaturze, reportażu, czy reportaż jest fikcją, czy faktem, to znaczy, że trwa normalność, taką analogię bym zrobił.

W książce cytujesz Hannę Krall, że „rzeczy bez formy są bezwstydne”. Dodajesz od siebie, że „forma jest jedną z głównych bohaterek reportażu”. Czy można tworzyć reportaż, w którym forma jest ważniejsza od bohatera, forma jest bohaterem?

– Forma nie może być nigdy ważniejsza od bohatera, ma mu pomóc,

tę historię mocniej, niż gdyby były tam wszystkie słowa. Jeżeli napisałbym wszystko, o tym, że tata współżył z córką licealistką każdego ranka, to byłaby kolejna historia o molestowaniu. Coś mi podpowiedziało, żeby nie użyć wszystkich słów, których użyła bohaterka. Chciałem pokazać: o, tu macie momenty, kiedy urwałem te zdania, tu macie dziury w tej historii, musicie sami sobie dopowiedzieć, taki rodzaj ćwiczenia dla czytelników, i niektórzy nie wczytywali się, tylko przekartkowali, ale są i tacy, którzy czytali ten tekst dwa-trzy razy, bo za każdym razem coś innego wstawiali w miejsce nieistniejących słów. Tutaj forma ma być służebna, może się wydać dominująca, ale w mojej intencji ma

MARIUSZ SZCZYGIEŁ



Ta książka, która miała uchodzić za szczyt uczciwości, nie jest uczciwa. Chcę zaznaczyć, że wyższość Kapuścińskiego nad Capote'em jest taka, że Kapuściński nigdy nie mówił, że jego książki to prawda w 100%, że u niego jest czysty, goły fakt i jesteśmy przy tym gołym fakcie. Goły, czysty fakt ma miejsce w rzeczywistości, ale przeniesiony na papier nie jest gołym, czystym faktem, bo ulega transformacji, przechodzi przez nasze oczy, uszy, naszą głowę.

„Panie Szczygiele, wszystkie zdania są moje, choć mówiłem to inaczej. Myślałem nad tym, co właściwie Pan z tym moim gadaniem zrobił. Doszedłem do wniosku, że reporter jest jak rzeźbiarz. Głupcem byłby ten, kto by chciał, żeby wyrzeźbić jego twarz, i oczekiwał, że będzie ona dokładną kopią rzeczywistości. Rzeźba to nie odlew z gipsu. Dziękuję, zatwierdzam do druku”,

napisał jeden z bohaterów reportażu, niejaki Milan, policjant z Pragi.

– Imponująco ten policjant zareagował. Wkleiłem ten list do książki, bo chciałem unaocznić, że tekst jest zawsze pewną wersją faktów, ma być napisany uczciwie, nie mogę zmyślać czegoś, czego nie było, ale już przez sam dobór słów, wątków, szczegółów wpływam na czytelnika. Zobacz, ile tu jest decyzji piszącego, ile rzeczy, które trzeba uwzględnić, wybrać. Są subtelności, które na pewno nie interesują większości czytelników, ale mają fundamentalny wpływ na odbiór tekstu.

Co innego subtelności, a co innego zmyślenie. Weźmy historię Amelii Bolaños opisaną przez Kapuścińskiego w „Wojnie futbolowej”. „Gdy Salvador przegrał po bramce w ostatniej minucie, dziewczyna popełniła samobójstwo, strzelając sobie w serce, i z miejsca stała się

symbolem stugodzinnej wojny tych dwóch krajów Ameryki Centralnej”. Tyle że ona nie istniała i takiej sceny nigdy nie było.

– Dwoje absolwentów Polskiej Szkoły Reportażu, Szymon Opryszek i Maja Hawranek, pojechało do Salwadoru zbadać tę sprawę. Okazało się, że wszystko zostało zmyślane i nie ma śladów po Amelii Bolaños. Spotkali się z ludźmi, którzy mogli coś pamiętać, szukali w aktach, w prasie echa tego samobójstwa. Amelia Bolaños nawet nie istnieje w anegdocie!

Wszyscy mówili, że Kapuściński miał szczęście, że trafił na tę historię, a on miał raczej szczęście do własnej wyobraźni. No i nikt tego nie sprawdził.

– Wtedy na połączenia telefoniczne z Nowym Jorkiem czekało się godzinami, a co dopiero z jakimś małym krajem w Ameryce Środkowej. Długo zastanawiałem się, dlaczego Kapuściński wymyślił tę postać, i doszedłem do wniosku, że ona mu była potrzebna, żeby pokazać rozpacz narodu, chwilę słabości. Gdyby jej nie zmyślił, nie miałby takiego dramatycznego początku i ta historia byłaby o wiele gorsza.

W 2018 r. „Spiegel” zwolnił nagradzanego dziennikarza Claasa Relotiusa, który zmyślał i manipulował faktami. W Polsce podobne przypadki nie spotkały się z restrykcjami. W grudniu 2016 r. „Press” ujawnił, że Witold Szablowski napisał reportaż „Paczki solidarności” na podstawie filmu, a przytoczone rozmowy z bohaterami to ścieżka dialogowa filmu.

– To jednak było nie zmyślenie, ale cytaty. Żle, że Witek nie powiedział, że wykorzystał te cytaty. Ale później przyznał się i przeprosił.

A co z Jackiem Hugo-Baderem? Nawet twoi studenci mówią o kimś, kto wymyśla w reportażu, że „pojechał Baderem”. Pamiętasz historię z książką o Broad Peak? Hugo-Bader przyznawał, że znalazły się w niej „elementy” wymyślone.

– Nie ma nic złego w logicznej fantazji, jak to ujął Egon Erwin Kisch, ale nie rozumiem, dlaczego reporterzy, reporterki nie mogą zaznaczyć, że mamy do czynienia z fikcją, że coś

► dopisali. Jest wiele takich książek, gdzie autor pisze: „Nie byłem przy tym, ale ich rozmowa mogła wyglądać tak...”. W końcu my, reporterzy, reporterki, najczęściej jesteśmy zmuszeni dokonywać rekonstrukcji zdarzeń, w których nie braliśmy udziału. Zawieramy najpierw pamięci cudzej, a potem własnej.

To jest uczciwość dziennikarska.

W biografii Zygmunta Baumana Artur Domosławski przez bite 30 stron zastanawia się, czy Bauman w latach 50. chodził na uniwersytet z pistoletem, czy nie. Drąży, przepytuje, robi absolutnie wszystko, by napisać prawdę.

– Tu chodzi o wierność faktom, które mogą być fundamentalne dla oceny bohatera. Możemy napisać: „Bauman może chodził z pistoletem, może go używał, może nie, tego nie wiemy”, ale wtedy zostawiamy czytelnika z takim prawdopodobieństwem 50%. Przeciwnikom Baumana to już wystarczy, żeby go uznać za terrorystę. Ja też badam szczegółowo materiał, ale w pisaniu wybieram syntetyczność. Reportaż nie może być protokołem.

Czyli jesteś za szkołą Artura Domosławskiego?

– W tym wypadku tak. Wróćmy na chwilę do logicznego zmyślenia. Logiczne zmyślenie może być elementem, który pomoże w rozwoju akcji, wzmocni tekst, ważne jednak, że czytelnik będzie wiedział, że mamy do czynienia z fikcją.

Najstojniejszy reportaż Kisch to „Wniebowstąpienie Szubienicznej Toni”, którego bohaterką jest prostytutka Antonia Havlová żyjąca na przełomie XIX i XX w. Owa Tonia zdecydowała się spełnić życzenie seryjnego mordercy i oddać mu się przed egzekucją w więzieniu. Jak wróciła, to na jej stoliku nocnym ktoś z papieru zrobił szubienicę – i od tego czasu nazywana była Szubieniczną Tonią. Po wizycie w celi spadły jej akcje, w rezultacie została sprzątaczką. Kisch porozmawiał z nią, chciał opisać jej historię. Gdy jednak chciał się z nią spotkać kolejny raz, dowiedział się, że zmarła. Wtedy wymyślił sobie, że część reportażu umieści w niebie: Antonia Havlová staje przed niebieskim trybunalem, Kisch



Mariusz Szczygieł z autorem rozmowy, Rafałem Pikulą.

pisze mowę obrończą, którą ona wygłasza. I to jest logiczne zmyślenie. Ten reportaż jest dziś najbardziej znanym dziełem Kisch, adaptowanym na scenie i w filmie.

Taki zabieg jest uprawniony, jeśli czytelnik o tym wie.

– Nadeszły czasy, kiedy nie musimy już używać fikcji, żeby nie zaszkodzić bohaterowi albo żeby cenzura przepuściła nasz tekst, te wszystkie zabiegi literackie mogą być bardziej jawne. Nadszedł czas na to, żeby reportaż mógł sobie pójść w którąś stronę, żeby mógł się rozwijać, ja jestem jak najbardziej za mieszaniem gatunków i poszerzaniem granic gatunku.

Cytujesz Ralpha Keyesa, autora „Czasu postprawdy”, który mówi, że „dziś autorzy literatury faktu muszą trochę naśladować to, co się dzieje, bo walczymy jednak z serialami, z tabloidami, jest kwestia utrzymania się i utrzymania uwagi odbiorców”.

– Non-fiction może przegrać z fikcją, która może być superfikcją, może być cudownie wymyślona. Żyjemy w czasach, kiedy największą wartością jest uwaga, wszyscy twórcy walczą, żeby przyciągnąć uwagę odbiorcy. Gazeta musi się sprzedawać, wydawcy podkreślają tytuły, wyciągają rzeczy marginalne z jakiejś

historii, żeby tylko miała klikalność. No i wtedy pojawia się pokusa, żeby coś podbarwić, skonfabulować. Ale nie w zmyśleniu zwycięstwo, lecz w stylu! Izaak Babel mawiał: „Stylem dokonujemy naszych podbojów, panowie, stylem!”.

W miłości i pisarstwie trzeba być szczerym. Jednak pisząc reportaże, zawsze jesteśmy zdani na własną i cudzą pamięć. Obie są zawodne. Byłem przesłuchiwany w sprawie pewnej zbrodni tuż po jej popełnieniu i po 30 latach znów wezwano mnie w tej sprawie. Z osób, które gościły u mężczyzny zamordowanego 30 lat temu, zostałem chyba tylko ja. Śledczy zapytał mnie, czy u tego zabitego znajomego widziałem pistolet. Nigdy nie kojarzyłem tego człowieka z pistoletem, ale kiedy śledczy o to spytał, co zrobiła moja głowa? Natychmiast sobie wyobraziłem jego mieszkanie, sytuację, jak on wyciąga pistolet z szafki... Miałem przed sobą tę wizję i nie wiedziałem już, czy ja sobie to nagle wyobraziłem, czy przypominałem. Nie byłem pewny, czy pytanie uwolniło moje wspomnienia, które ukrywałem sam przed sobą, czy moja wyobraźnia była szybsza niż ja.

W książce podajesz definicję reportażu, że „jest to przedsięwzięcie, w którym obie strony są przekonane, że nie zmyślają, mogą mówić

coś fałszywego, ale zakładają, że mówią prawdę”.

– Wszystko w reportażu należy pokazywać przez szczegół, szczegóły są czymś, co sprawia, że możemy rozumieć bohatera, wyobrażać go sobie w danej sytuacji i jeszcze poczuć, jakbyśmy my byli w tej sytuacji. Magdalena Nimer, nasza absolwentka, napisała w reportażu o uchodźcach na lotnisku Tempelhof w Berlinie (w 2015 r. było wielkim obozowiskiem – przyp. red), że uchodźczyni z kilkorgiem dzieci co drugi dzień robiła pranie, a ponieważ pranie w pralce kosztowało niebotyczną dla niej sumę 4 euro za 5 kg, to robiła je w reklamówce. Teraz czytelnik sobie wyobraża, jak można prac w reklamówce. Ta reklamówka musi być jakoś usztywniona, a może dwoje dzieci trzyma jej reklamówkę, a matka pierze? Taki obrazek pokazuje determinację kobiety. Ten szczegół mówi o próbie zachowania godności.

Piszesz, że reporter musi mieć słuch. Co w sytuacji, kiedy do Polskiej Szkoły Reportażu przychodzi osoba bez tego reporterskiego słuchu, a chce pisać? Czy każdy może być reporterem?

– Trzeba mieć łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi, ale to nie wystarczy, bo z tą łatwością równie dobrze można zostać oszustem matrymonialnym. Potrzebny jest też słuch i umiejętność pisania. Powstał nawet, w latach 70., tom rozmów z reporterami, „To ucho!”; musisz być uchem, nie tylko mieć ucho, ale być uchem, czyli być nastawionym na innych, na ich historie, a nie tylko na siebie. Ten słuch sprawia, że nie umykają zdania, które są perłami. Oprócz słuchu jest potrzebna taka umiejętność obserwacji, żeby łączyć rzeczy, których ktoś inny by nie połączył. Co do pisania, to albo ma się talent, albo go się nie ma. Uważam, że można się nauczyć poprawnego pisania, ale to będzie styl szkolny, urzędowy, a nie taki, który porywa czytelnika.

Ważna jest empatia?

– Tak, choć o nią coraz trudniej. Dzisiejsza kultura stawia na ja i ekspansję tego ja, właściwie mamy nieprawdopodobne możliwości prezentowania swojego ego, każdy może się zaprezentować i ma do tego środki,

i to nie jest drogie, wręcz bezpłatne. I jeśli ktoś teraz chciałby stać się reporterem, musi dokonać pewnego wyczynu przeciwko swojemu ego.

Czyli muszę usunąć ja z reportażu?

– Oczywiście ja może się pojawić w reportażu i ono może czemuś służyć, ale ważne, żeby usłyszeć drugiego człowieka; reportaż nie służy autoprezentacji, w pewnych wypadkach może, ale najpierw, pierwotnie, służy temu, żeby pokazać innego. Reporter to jest medium, reporter to jest środek, wynalazek, żeby jedni ludzie rozumieli drugich, i ja mam sprawić, żeby ten człowiek, którego opisuję, był rozumiany, to ja muszę go bardzo słuchać, intensywnie, muszę mu zadać mnóstwo pytań, muszę siebie przesunąć na plan dalszy, nie mogę go pouczać, nie mogę się zachowywać tak, jakbym się zachował w prywatnej rozmowie z przyjaciółmi, mówiąc: „Aa, daj spokój, nie opowiadaj ciągle o tym samym”.

Szczegóły są czymś, co sprawia, że możemy rozumieć bohatera, wyobrażać go sobie w danej sytuacji.

Internet sprawił, że reporter musi bardziej się pilnować – każdy może go sprawdzić – ale jest kopalnią tematów. Powszechne jest przepisywanie postów z Facebooka i Instagrama i robienie z tego książek. Chciałbyś wydać książkę na podstawie twoich wpisów?

– Instagram to Instagram, nie widzę potrzeby przepisywania wpisów, to dwa zupełnie inne media. Uważam jednak, że można z wpisów na Facebooku ułożyć ciekawą książkę. Tak zrobiła Eliza Kącka w „Strefie zgniotu”. Te wpisy są literacko genialne!

Kącka pisze: „Pocztą Główną warszawską, ja w kolejce do stolika, przede mną starszy pan, przejęty, odwraca się do staruszki zdeponowanej na ławce, konsultuje »tę kartkę wysłany do Stanów«. Obsługująca z namaszczeniem »jeszcze znaczek, mam z królikiem i religijne?«. Staruszek »religijny, religijny, priorytetowy«, »a, priorytetowe mam tylko z królikiem«, starszy pan pótrobót do staruszki z zawodem »priorytety tylko laickie«”.

W tym „priorytety tylko laickie” jest to, co ja nazywam naddatkiem,

Hanna Krall nadwyżką, a Małgorzata Szejnert nadbudową, to coś, co odróżnia historię i literaturę od anegdoty. Eliza Kącka ma słuch absolutny, słuch muzyczny, reportersko genialny. Taki słuch miał tylko Hrabal, Białoszewski, z polskich reporterów zmarła 23 sierpnia Irena Morawska, która nie była już reporterką, ale dokumentalistką.

Empatia, słuch, zdolności pisarskie. Co jeszcze jest ważne w warsztacie reportera?

– Czytanie. Taką radę dostałem od Ryszarda Kapuścińskiego. Jeśli czytamy, to widzimy, jak inni autorzy postępują z bohaterami, jak ich charakteryzują, jak zaczynają tekst, jak kończą, co to jest puenta. Myślę, że ważna jest umiejętność patrzenia i dostrzegania opowieści. Malarz Hockney w swoim podręczniku „Historia obrazów” pisze tak: „Gdy wejdziemy do jakiegoś pokoju, to, co zobaczymy, będzie zależało od naszych uczuć,

wspomnień i zainteresowań, pijak najpierw dostrzeże butelkę whiskey, a potem może szklaneczki i stół, ktoś inny zauważy fortepian, a jeszcze inny w pierwszej kolejności obrazy na ścianach. Rzeczywistość to zdradliwe pojęcie, gdyż nie da się oddzielić jej od nas, obserwatorów, rzeczywistość tkwi w naszych umysłach”.

Artysta dostrzeże obraz, muzyk fortepian, pijak whiskey, a reporter powinien te wszystkie rzeczy naraz. A ty, co zauważyłeś, jak wszedłeś do tego pokoju?

Akwarium. Robi wrażenie.

Co jest ciekawego w akwariu?

– Mam różne rybki. Są gupiki, boje, neonki i jest taka rybka, z grupy mieczyków, która była kobietą, a staje się mężczyzną, i jest to transryba, sama z siebie. Zauważ, że rośnie jej coraz większy miecz, nie jest jeszcze tak długi jak u innych samców, ale ta rybka miesiąc temu w ogóle nie miała mieczyka! Mieczyki mają taką zdolność, że kiedy jest mało samców, samice zamieniają się w samce. Mnie to fascynuje, że przyroda sobie reguluje takie sprawy. To, co prawa ▶

► strona naszej sceny politycznej nazywa wyuzdaniem, demoralizacją albo chorobą psychiczną, w przyrodzie ma miejsce i jest czymś zupełnie naturalnym! Ale po co ja ci o tym opowiadam? Wykorzystasz to w tekście?

Reportaż utkany jest ze szczegółów i delikatności. Czy dlatego tak mało reportaży w tzw. prawicowej prasie? Prawica woli konkret, nie bawi się w niuanse.

– Bycie reporterem to stawianie pytań, to badanie, zastanawianie się. Prawa strona już w swej naturze zakłada, że zna odpowiedzi. Reportaż w swym duchu zawsze był lewicowy, stał po stronie ludzi często trudnych do sformatowania. Prawica chce człowieka sformatowanego i ułożonego. Natomiast jeśli on się jej wymyka, to nie umie sobie z nim poradzić.

Dobry reporter zadaje pytania, szuka odpowiedzi, a dobry reportaż zostawia cię z jeszcze większą liczbą pytań niż na początku. Prawica chce urządzać świat, chce dawać ostateczne odpowiedzi, a te ostateczne odpowiedzi czerpie ze swojej

religijności, wiary w tradycyjny porządek; prawica ma te odpowiedzi.

Prawica stawia na publicystykę.

– Jest taki genialny tekst Katarzyny Surmiak-Domańskiej „Rozmowa z homofobem”. Autorka podeszła do człowieka, którego widziała podczas parady równości. Mężczyzna blokował paradę, stojąc z obrzydliwymi transparentami. Wielu z nas brzydziłoby się do niego podejść, natomiast Surmiak-Domańska zaprosiła

chce zaczynać pić herbaty, bo może się to okazać przyjemne”. Ten facet odmawiał sobie w życiu wszelkich przyjemności. Reporterka rozmawiała z nim tak długo i głęboko, że weszła w jego życie, w jego lęki, w jego świat wewnętrzny, w jego samotność. W rezultacie, czytając „Rozmowę z homofobem”, zaczynamy tego mężczyznę rozumieć, co więcej, zaczynamy mu współczuć, a przez to jakoś nawet go lubić.

Potrzebna jest taka umiejętność obserwacji, żeby łączyć rzeczy, których ktoś inny by nie połączył.

tego faceta do kawiarni. Spytała, czy się czegoś napije, herbaty, kawy. On jej podziękował. Wówczas zapytała, czy „może lampkę wina?”. Odpowiedział, że nie. Zapytała: „Nie pije pan alkoholu?”, odpowiedział, że nie, i dodał, że tak samo „nie pije herbaty, kawy, napojów gazowanych, nie jada słodczy”. Wówczas reporterka spytała, co robi, jak go ktoś herbatą częstuje. Odpowiedział, że „nie

I to jest ten reporterski słuch.

– Reporter nie może bać się człowieka, nawet jeśli z nim się nie zgadza, nawet jeśli jest on zły, zagubiony, okrutny. Dobry warsztat reportera to nie magia, wena, pocałunek muzy, lecz wieloletnia nauka i praca, efekt namysłu, prób i wytrwałości, ale przede wszystkim otwartość na Innego.

Rafał Piłkuła



Mówią, że co Cię nie zabije to Cię wzmocni. Nie wiedzą co mówią. Albo to nie dotyczy zwierząt.

Duszką spogląda na mnie swoimi niemyi oczyma. Nie wiem jaką drogę przeszła. Ale wiem dokąd zmierza. I nim jesień sygnie z drzew złotych liśćmi, Duszek już na tym świecie nie będzie.

Handlarz nas poganiał. Mówi, że nie chce, żeby „to truchło padło mu na prog”. Mam robić zdjęcia i szybko zabierać. Bo jak sąsiedzi zobaczą to wstyd będzie, że takie straszdyło trzyma u siebie.

No tak. Duszka dziś straszy. Cóż mam Wam napisać, skoro sami



widzicie. Puste oczy. Stojące żebra. Powyginane nogi. Tak krucha ze strach spojrzeć, by spojrzeniem nie zabić. I choć wstyd ją komuś dziś pokazać, to jakoś nie wstyd nikomu za to, czym się stała.

A przecież „sama” się nie stała tym, czym jest. „Straszdyłem”. Duszka 27 lat służyła ludziom. Tak, aż tyle żyje na tym świecie. Rodziła żrebaki. Ciągnęła wozy dużo za ciężkie. Jej grzbiet woził setki dzieci. I znowu rodziła. Podobno przy porodach straciła oczy. Chociaż podchmielony handlarz zaczyna się miotać opowieściami. A może nieposłuszna była, i nabiła się na kij?

Nikt już nie pamięta. I kogo to teraz obchodzi. Już nie może służyć. Straszy dzieci. Wyrok zapadł. Amen.

Choć jeszcze miesiąc temu te dzieci na nią wsiadały. Handlarz rzucił mimochodem, że się w końcu przewróciła i zawlekl ją od razu na trap. W nocy ją zabierał, gdzieś na targu.

Duszką nie straszy od dzisiaj. Jeśli Ci napiszę, że nikt Duszki darmo nie trzymał, że chwilę temu jeszcze pracowała i rodziła, choć wtedy też tak wyglądała - to Ty wstaniesz i pójdziesz po sprawiedliwość dla niej.

Będziesz się błąkał po targu i szukał tego, który jej to zrobił. Ale nie znajdziesz. Nie ma winnych. I nie ona jedyna. Bo takich Duszek jest wiele. Odchodzą w ciszy swojej bezsilności.

Bo tylko Ty możesz być dla nich siłą. Dla tych, które po latach służby dostają tylko rzeźnię. Proszę, jedź ze mną po Duszkę. Nie zobaczy nigdy jesiennych liści. Ale usłyszy ich szmer, gdy wrzesień będzie je zamiętał po dziedzińcu zwierzęcego folwarku. I nie wiem czy doczeka pierwszego śniegu. Być może odejdzie nim zima nastanie.

Ale odejdzie wśród swoich. Odejdzie tam, gdzie nikt się jej nie wstydzi, gdzie nie będzie straszyć, gdzie położy głowę i zaśnie w spokoju, otoczona prawem do wszystkiego, co kiedykolwiek jej odebrano.

Mówią, że co Cię nie zabije.. różne rzeczy mówią. Nie chcę już za dużo pisać. Duszka ma tak niewiele czasu, że szkoda każdej sekundy. Musimy zebrać 5200 zł, aby ją spłacić i przetransportować. Mam czas do wtorku, 27 września.

Zrób z nami wrześniowy cud dla Duszki. Proszę, pomóż zebrać dla niej tę kwotę, nim jesień zerwie te liście z drzew. Niech ten szmer tańczących ją odprowadzi, jeśli taka wola nieba. Ale będziemy tam z nią. Dzięki Tobie.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem DUSZKA na konto PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Fundacja Centaurus
ul. Wallbrzyńska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>



Tak, ale



Agnieszka Wolny-Hamkała

Wydawało się, że kłótnie o Herberta mamy już dawno za sobą. Są tak wiekowe, że nawet ja ledwo je pamiętam. Tymczasem wystarczyło napisać na FB nazwisko Herbert, żeby natychmiast pojawili się obrońcy poety. W komentarzach podziwiano czystość jego głosu i podkreślano moralną niezłomność. Niektórzy żartowali z popularnego powiedzenia, że „było wielu Herbertów”, śmiejąc się z dziennikarskich wytrychów. Jeden poeta napisał dla draki, że lubi, jak Herberta mylą z Miłoszem. „Chyba maturzyści na zdalnym!”, dopisała pewna pani. Na początku lat 90. niektórzy poeci siłowali się jeszcze na rękę, żeby rozstrzygnąć – skoro argumentacja po obu stronach była wyrównana – czy bardziej utalentowany był autor „Nieobjętej ziemi”, czy „Barbarzyńcy w ogrodzie”. Był to spór estetyczny, ale też światopoglądowy. Pokoleniowy stosunek do poety najlepiej wyraził w 2002 r. najbardziej wtedy wpływowy poeta

traktat filozoficzny, artykuł, felieton albo kartka wyrwana z pamiętnika”. No właśnie. Odbiorcy miało wystarczyć, że są to wiersze „mądre” i „moralne”. Wkrótce ich wysoki ton i owa łatka poety piszącego teksty językiem „przezroczystym”, czyli radykalnie „komunikatywne” – przyklejona zresztą nie przez wrogów, ale przez przyjaciół – przyczyniły się do tego, że kolejne pokolenie poetów/poetek, patrzące raczej w stronę awangardy i conceptualnego eksperymentu, zaciemniania bądź odraczania znaczenia, było tej dykcji raczej niechętne. Zresztą czy – przywołując słynne rozróżnienie Karola Maliszewskiego – barbarzyńcy mogli kochać klasyków? Cóż, niektórych kochali, ale nie tych. Kolejne pokolenie, czyli to, które szturmem wchodzi teraz na scenę, zgarniając nominacje i nagrody, zakładając pisma literackie, siejąc ferment w środowiskach – Herberta zna jeszcze słabiej. Ma ono innego wroga – jest nim kapitalizm, wzrost PKB, zanieczyszczenie środowiska.

Gra o tron

nowego idiomu Andrzej Sosnowski. W książce „Poeci czytają Herberta”, która ukazała się w wydawnictwie Krystyny i Ryszarda Krynickich (a5), pod redakcją Andrzeja Franaszka, Sosnowski napisał: „Zbigniew Herbert często powtarza, że prorocy odeszli. Konstatacja ta ma zapewne mieć smutny wydźwięk, smutny tradycyjnie, bo na zniknięciu bogów i odejściu proroków próbowali sobie coś wystawić różni dotknięci i zasmuceni owym »zanikiem« dawniejsi pisarze, np. romantyczny Hölderlin. Różnica polega chyba na tym, że tamci wcześniejsi poeci pisali niejako z głębi tej nieobecności i bardzo się męczyli, próbując znaleźć dla niej jakiś miarodajny lub bezmierny język”.

Jeśli poeci piszący „z głębi tej nieobecności” w odróżnieniu od Herberta szukali „miarodajnego lub bezmiernego języka”, który opowie tę samotność po odejściu/utracie proroków, to jakim językiem posługiwał się Herbert? Wielu czytelników i badaczy odpowiedziałoby: „przezroczystym”, bo tak w pewnym momencie przyjęło się mówić o tej poetyce. Sosnowski zresztą zauważa najpierw właśnie „komunikatywność” wierszy Herberta, „minimalny poziom szumu i elegancję wystąpienia”. Komunikatywność i przezroczystość to oczywiście dwie różne rzeczy, a jednak powiązane, kiedy mówimy o języku wiersza albo kina – kino stylu zerowego. Styl zerowy w kinie polega na prowadzeniu narracji w sposób przezroczysty dla widza. W tym przypadku bowiem widz ma się skupić na treści, nie formie filmu. Styl zerowy w kinie podobno gwarantuje widzowi, że ten po prostu będzie się angażował w opowiadaną historię. Krótko mówiąc, nie chodzi o żaden artyzm, tylko „zwykłą” treść. W polu poetyckim oznaczałoby to, że ważniejszy od formy wiersza jest jego przekaz (co jest absurdał samo w sobie). Nie ludźmy się, że język Herberta jest przezroczysty – to nieprawda. Po prostu jego teksty zwykło się omawiać właśnie tak, jakby pisane były językiem stylu zerowego, co zauważała np. Wisława Szymborska: „Niestety, krytyka literacka zagadnienia formy pomija albo napomyka o nich zdawkowo (...). Nikt nie zastanawia się, dlaczego to jest właśnie poezja, a nie

Czy poeta, który staje się klasykiem, przestaje być czytany? Czy dyskusje wokół jego wierszy są rytualne i nie angażują już prawdziwych emocji, ponieważ nie jest to żadne być albo nie być poety? On już tronuje, a my możemy jedynie – jak słynny geometra z „Zamku” Kafki – pogadać o nim we wsi pod zamkiem, ale nasze opinie będą odbierane jako szumy i szept. Można (chcieć) powiedzieć coś jeszcze? Po wszystkich tych konferencjach, wyborach i zbiorach, doktoratach i habilitacjach? Może w młodym pokoleniu szansę miałby Herbert – surrealista? Wielu poetów średniego pokolenia jako ulubioną książkę wskazywało „Hermesa, psa i gwiazdę”. Jacek Gutorow pisał w tym kontekście o dziwnie (surrealistycznie?) funkcjonujących przedmiotach w tych najbardziej „lotnych” prozach poetyckich. Herbert mógłby więc wrócić także w kontekście nowego materializmu – nowego „rachowania” bytów, bardziej równościowego spojrzenia na rzeczy. Ale wszystkie te rozczyny musiałyby się zacząć od porzucenia klasycznej ścieżki lektury kanonicznych tekstów.

Stary spór nie wytracił jeszcze całkiem energii. Chciałabym kiedyś przyjrzeć się bliżej tym obronom. Czasem to jest zwykłe, pełne zrozumienia, a w każdym razie akceptacji: „Ty lubisz, ja nie lubię i w porządku”. Jednak kiedy nie dotyczy to marchewki z groszkiem, tylko np. poety albo drużyny piłkarskiej – zdarza się, że oponenci idą na noże. To zestawienie może się wydać tak niestosowne, że aż zabawne: poeci i sportowcy. Powinno więc dodać, że chodzi o któregoś z TYCH poetów. Czyli o Miłosza albo Herberta. Bo to ich dotyczył odwieczny spór.

Ile w stażnikach wielkości poetów ciekawości, dyskusyjności, zwykłej chęci zmierzenia się na argumenty? A może chodzi raczej o próbę wykorzystania potencjału poznawczego – i tych dyskusji, i wierszy? Dlaczego tak nas niepokoi czy denerwuje, kiedy ktoś nie lubi tego samego filmu, wiersza, co my? Czy mierzymy tym własną wartość? Czy chcemy z kimś się spróbować? Czy na dnie tego uczucia jest, mówiąc górnolotnie, miłość do wierszy, czy nasz ludzki strach?

Vortex

reż. Gaspar Noé, prod. Francja/Belgia/Monako, już w kinach

Przylgnęła do niego łatka skandalisty, hedonisty i enfant terrible francuskiego kina. Gaspar Noé jak mało kto potrafi porządnie potrząsnąć widzom. „Nieodwracalne” zapisało się w pamięci za sprawą przerażającej sceny gwałtu kręconej w jednym ujęciu. „Love” było nazywane „arthouse’owym porno”, a „Climax” „narkotyczną, taneczną orgią”. Noé tym razem zwalnia tempo i proponuje refleksyjną opowieść o dwójce starszuchów, którzy przeżyli wspólnie całe życie i teraz szykują się do odejścia. To najmniej przeszarżowany i najbardziej zdyscyplinowany z jego filmów. Noé, jako wytrawny kinofil, puszcza jednak oko do widza i obsadza w jednej z ról Daria Argenta, ojca chrzestnego giallo, włoskiego podgatunku horroru, i legendę światowego



kina. Barokowego efekciarstwa nie ma jednak wcale, jest za to proza życia. Opowieść toczy się w całości wewnątrz mieszkania, oglądamy parę z przeszłością, z zestawem wspomnień. Powolne odchodzenie, starcza kruchość fizyczna, odpowiedzialność – Gaspar Noé zrobił o tym piękny film. Można wyjść z kina ze ściśniętym gardłem.

Mateusz Demski

FESTIWAL

14. Interdyscyplinarny Festiwal Sztuk w Żyrardowie

Pierwszy dzień 14. edycji upłynie pod znakiem wystaw, poczynając od wystawy „Kontemplacje. Interpretacje...” artysty i wieloletniego pedagoga, Ireneusza Jankowskiego, w Resursie (godz. 19, ul. 1 Maja 45). W piątek, 23 września, odbędzie się



gala artNoble 2022 dla najlepszego dyplomu z publicznych uczelni artystycznych oraz debata o prawie własności intelektualnej artystów „Charakter działalności twórczej w kontekście prawa autorskiego”, której gościem specjalnym będzie scenarzystka Ilona Łepkowska. Na zakończenie dnia

będzie można zobaczyć monodram „Simona K. Wołająca na puszczy”. W sobotę festiwal przeniesie się do Centrum Kultury (pl. Jana Pawła II 3), które zaprasza na pokonkursowe projekcje filmowe z festiwalu OKFA i spotkania, m.in. z Grażyną Torbicką, Magdaleną Łazarkiewicz, Marcinem Szczygalskim czy Adamem Sztabą. Cały program i szczegóły na: www.miestogwiazd.pl.

22-24 WRZEŚNIA

MIĘDZY OKŁADKAMI

Waldemar Bawółek

Skrawki dla Iriny

Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022

Waldemar Bawółek zawsze pisał o sobie. Ciężko wie i ja – to jego love story i temat książek. Jednak dopiero po sześćdziesiątce, dopiero w dziesiątej książce otwiera na wskroś duszę i ciało, staje przed czytelnikami nago, nie ukrywając się pod literackim płaszczkiem. Oto Waldek w małym mieście, Waldek pisarz, Waldemar kochanek, człowiek z literatury ulepiony czy – jak wolą inni – „dziad, poeta, ale głowa nie ta”. „Skrawki dla Iriny” to jednak nie klasyczna powieść autotematyczna,



autobiografizm, jakich pełno. Bawółek bawi się formą, miesza czasy, plany narracyjne, a nawet głównych bohaterów – jeden jest Pisarzem, ale od początku nie żyje, drugi wprawdzie oddycha, poci się i konsumuje, ale bytność jego jest zawieszona, jest outsiderem. Obaj są jednym i tym samym Bawółkiem. Bo autor „Skrawków dla Iriny” nie pasuje ani do „gromady” na prowincji, ani do próżnej Warszawy; kocha literaturę, ale w nosie ma środowisko twórców. Piękna ciapa albo banita z wyboru, z pewnością jedno z najważniejszych zjawisk w polskiej literaturze współczesnej.

Rafał Piłkuła

KURTyna W GÓRĘ

A komórka dzwoni

Wciąż dzwoni. Uciążliwie. Mężczyzna siedzący tyłem do widzów w ciemnym wnętrzu kawiarni (Mateusz Król) ani drgnie. Kobieta przy sąsiednim stoliku (Barbara Wypych) zwraca mu uwagę, żeby odebrał telefon. Mężczyzna nie reaguje. Komórka wciąż dzwoni. Kobieta wstaje, podchodzi do mężczyzny, prosi go, żeby odebrał, ale bez skutku. Wreszcie sama odbiera telefon. Tak to się zaczyna, a potem bywa jeszcze dziwniej.



Sarah Ruhl, posługując się komórką jako dowodem koronnym, stworzyła obraz rozpadu normalnych więzi i relacji między ludźmi w dobie internetu i wirtualnej rzeczywistości. Bywa tu i śmiesznie, i strasznie. Zwłaszcza w drugiej części, kiedy komedia (?) nabiera wigoru.

Aktorzy czują się w tej mieszaninie nastrojów i gatunków znakomicie, powstaje więc mimochodem przedstawienie o tym, co w życiu najważniejsze, a co łatwo prześlepić, gapiąc się w telefon albo trudniąc się niekoniecznie czystymi etycznie zleceniami. Przestroga? Żart sceniczny? Kto wie. To wszystko zależy od nastroju widza. Jeśli podda się atmosferze spektaklu, nie zmarnuje czasu.

Tomasz Miłkowski

Sarah Ruhl, „A komórka dzwoni”, tłumaczenie Małgorzata Semil, reżyseria Maciej Englert, Teatr Współczesny w Warszawie, premiera 10 września 2022



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Broadaci mężczyźni

W 1988 r. Maciej Berbeka jako pierwszy człowiek na świecie przekroczył 8000 m n.p.m. w Karakorum, co więcej – spędził w strefie śmierci kilkadziesiąt godzin zagrzebany w śnieżnej jamie i cudem wyszedł żywy z tego przedsięwzięcia, dzięki akcji ratunkowej towarzyszy wyprawy. Chwała zdobywcy szczytu Broad Peak trwała krótko, bo okazało się, że Berbeka wdrapał się zaledwie na przedwierzchołek, zwany Rocky Summit. Koledzy wiedzieli o tym od początku, ale celowo nie podali wspinaczowi prawdziwego położenia, aby uratować mu życie – gdyby wiedział, że ma jeszcze dodatkową godzinę drogi do celu, nie zawróciłby w porę, co skazałoby go na niechybną śmierć. Powiedzieć, że Berbeka poczuł rozczarowanie, kiedy zrozumiał, że „to wszystko było po nic”, to nic nie powiedzieć.

Skala mojego rozczarowania filmem Leszka Dawida jest podobna. Dwa lata pracy, bezprecedensowe zaangażowanie ekipy na etapie dokumentacji w Karakorum, ekstremalne plany filmowe w wysokich górach, wybitni himalaiści w ekipie wspierającej, fenomenalna praca operatora, mistrzowskie ujęcia z drona w autentycznej scenarii, wspaniali aktorzy (świetny Ireneusz Czap dotarł osobiście do bazy na 5000 m n.p.m.), wielki budżet, dzięki któremu scenografowie dosłownie odbudowali w szczegółach bazę '88 – i wszystko po nic. Berbeka wrócił po ćwierćwieczu, żeby dopiąć celu, i zapłacił za to życiem – zdobył Broad Peak, z którego nie wrócił. Toż to historia gotowiec. Niby niewiele trzeba się napracować, a jednak potrzeba fachowca, żeby ten górski – nomen omen – szkielet obudować dramaturgicznym mięszem. Scenariusz napisał życie, ale honorarium pobrał scenarzysta, który w przeciwieństwie do reszty ekipy nie wspiął się nawet na poziom Łysicy. Jedyna akcja w tym filmie to akcja górską – kiedy tylko bohaterowie schodzą na niziny, zaczyna się chałturnicza obyczajówka niewarta złamanego grosza. Ta dysproporcja zabija jeden z najbardziej wyczekiwanym polskich filmów ostatnich lat. Zostało oszafamijające widowisko, które docenią pewnie na festiwalach filmów górskich, ale jeśli reżyser mierzył w coś więcej, spotka go srogi zawód.

Osobną wartością okazują się wspominki z planu Jaka Jawienia, znakomitego himalaisty i zarazem niezrównanego gawędziarza, który ogłasza je na swoim profilu facebookowym. Mam nadzieję, że Jacek w końcu

przysiądzie i napisze zbiór swoich opowieści – to byłby gamechanger na rynku książki górskiej. Poczucie humoru i „punkowa” swoboda narracyjna Jawienia są niepodrabialne, o czym wiedzą wszyscy, którzy mieli szczęście spędzić z nim wieczory przy góralskiej herbacie. Deheroizacja i groteska – to są silne strony tej literatury mówionej, a w tekście nic z tego nie ginie, za co rękę i podam przykładowe cytaty. Oto jak Jawień opisuje sławetny zjazd na nartach z Czogori: „My w obozie I na Broad Peak kręcimy sceny w namiocie i przy zębie, a tymczasem... Na sąsiednim K2 Jędrrek Bargiel wszedł na szczyt z nartami żeby foty porobić do TVN Turbo. Ubrał, i tam strzela selfy aż tu jeb! Omsknął się. I po stoku dzida na dół, wytrzymał do bazy. No i masz pan rekord świata”. W górach wysokich ludzie tak uparcie gnają ku śmierci, że staje się to zaiste makabrycznie groteskowe: „Przy okazji Bartek dronem wskazał drogę do szlaku jednemu Szkotowi co to ze szczytu

Scenariusz napisał życie, ale honorarium pobrał scenarzysta, który w przeciwieństwie do reszty ekipy nie wspiął się nawet na poziom Łysicy.

Broad Peak spadł kilkaset metrów na pole śnieżne i na czekanach se wisi. Uratował się wtedy. Niestety zabił się niebawem na K2. (...) Alpy. Włochy. Courmayeur. Mieszkamy w Torino 4200. Mega klimatyczne schronisko. Po kilku dniach dupowy, w styczniu, pojawia się trójka narciarzy, amatorów nagrody Darwina. Hyc przez barierkę i ognia w dół, w kular. My se siedzimy, pijemy kawę i już za 20 min trzech zabitych pod lawiną”. Albo perełki bezpośrednio z planu zdjęciowego: „Za zadanie miałem na ten iPad patrzeć, co z kamery przetrzuca i ewentualnie czy naprawdę wygląda. Soś: Niech Irek bardziej sapie, jest na 8 tysiącach. Niech śnieg je. Spragniony jest. Wolniej niech bryka tymi kopytami, zaraz rakiem roztarga kombinezon. Chujowo ten plecak wygląda, widać że Papaj styropianu nawciszał. I tu Reż daje dalej: – Uwaga, kamera, proszsz! Irku, zmęczony jesteś, oddychaj ciężko. Spróbuj śnieg do ust przyłożyć, ulży. Ruchy raczej powolne, masz za sobą długi dzień. Uginaj się, plecak ciąży – Se myślę, kurka wodna, ale mam władzę”.

Wydawcy, dzwońcie do Jawienia! Film wyszedł średni, ale opowieść o nim wybitna. ■



Instruktorzy z NATO szkolą ukraińskich żołnierzy w Wielkiej Brytanii.

Coraz więcej zachodniej broni

W latach 2015-2022 NATO przeszkoliło ponad 70 tys. ukraińskich żołnierzy, obecnie jeszcze 30 tys.

Marcin Ogdowski

Zaczęło się niepozornie, jeszcze w styczniu, kilka tygodni przed rosyjskim atakiem. Na lotnisku w podkijowskim Boryspolu zrobiło się tłoczniej niż zwykle – za sprawą samolotów wojskowych z USA. Na ich pokładach przylatywały do Ukrainy zapakowane w skrzynie wyrzutnie przeciwpancerne i przeciwlotnicze wraz z amunicją. Nie były to pierwsze dostawy amerykańskiego sprzętu – Waszyngton wspierał Kijów od 2014 r. Zwykle jednak wysyłał nie broń, ale sprzęt pomocniczy. Tymczasem stingery i javeliny służyły wprost do zabijania – pierwsze pilotów, drugie czołgistów. „To systemy nieofensywne”, zastrzegano w Pentagonie, który wtedy znacznie

bardziej niż dziś liczył się z pomrukami Moskwy.

Czy są tam już „efy”?

Śladem Amerykanów poszli Brytyjczycy, a niebawem i Polacy. Kolejne wyrzutnie przeznaczone do palenia czołgów i samolotów wydatnie zasiły arsenał ukraińskiej armii. Mało kto zakładał wówczas, że pozwolą na coś więcej niż napsucie Rosjanom krwi. Nie jest tajemnicą, że ofiarodawcy nie wierzyli w ocalenie Ukrainy. Myślano, że napadnięty kraj po kilku czy kilkunastu dniach się ugnie, a najeźdźcy triumfalnie wjadą do Kijowa. Po kilku tygodniach uciekali spod niego w popłochu, a Zachód zrozumiał, że warto i należy pomagać.

Do końca sierpnia br. amerykańskie wsparcie wojskowe dla Ukrainy

wyniosło 13,5 mld dol., brytyjskie – 2,3 mld funtów, a polskie dostawy osiągnęły wartość 1,8 mld euro. Ociągające się Niemcy przeznaczyły na ten cel 0,7 mld euro. Pomagają też inne państwa, tyle że oficjalnie niektórzy dostawcy nie ujawniają części transferów. Przykładem może być Francja, która w potocznym przekonaniu niechętnie dozbraja Ukrainę, a za kulisami zasila Kijów nie tylko bronią kinetyczną, ale i informacjami.

Lista przekazanego sprzętu jest długa – wspomnianych stingerów znajduje się tam 1,4 tys., a javelinów 6,5 tys. Naboje karabinowe idą w dziesiątki milionów, pociski artyleryjskie w setki tysięcy. Obok tej „drobnicy” jest i 20 śmigłowców, 18 łodzi patrolowych, kilkadziesiąt transporterów opancerzonych, co najmniej 350 czołgów, większość

z Polski. Jest wreszcie ponad 200 haubic (samobieżnych i holowanych), ok. 30 mobilnych wieloprowadnicowych systemów raketowych (przede wszystkim amerykańskich Himarsów). Tysiące dronów (w tym kamikadze, także z Polski) i dziesiątki radarów poprawiających skuteczność artylerii. Sami Amerykanie dostarczyli 75 tys. zestawów kamizelek balistycznych i hełmów. Ukraińskiego nieba bronią raketowe systemy przeciwlotnicze S-300 ze Słowacji i NASAMS z USA. Są mobilne wyrzutnie z Wielkiej Brytanii, do dostarczenia kolejnych zobowiązali się Niemcy.

Jak dotąd nie pojawiły się zachodnie samoloty. Kilka tygodni temu analityków wojskowych zaskoczyło to, że Ukraińcy przeprowadzili skuteczną akcję „wygaszania” rosyjskiej obrony przeciwlotniczej. Aby stało się to możliwe, najpierw należało zniszczyć stacje radarowe, do czego NATO wykorzystuje pociski AGM-88 HARM. To rakietę powietrze-ziemia, do przeniesienia której niezbędny był – jak się wydawało – samolot amerykańskiej konstrukcji. Fakt, że na zniszczonych rosyjskich pozycjach zlokalizowano szczątki tych rakiet, zrodził spekulacje, że Ukraińcy dysponują myśliwcami F-16. Wkrótce się okazało, że strzelały ukraińskie (poradzieckie) migi-29, a za „pożenieniem” wschodniej i zachodniej technologii stali amerykańscy inżynierowie. „Efów” zatem za naszą wschodnią granicą nie ma, ale nie będzie wielkiego zaskoczenia, gdy w końcu się pojawią. Jeszcze w czerwcu weterani sił powietrznych USA, republikański kongresmen Adam Kinzinger i przedstawicielka demokratów Chrissy Houlahan, przedstawili projekt ustawy o szkoleniu ukraińskich pilotów w amerykańskim lotnictwie wojskowym. Pomysł nie przeżył się dotąd na konkrety – przynajmniej takie, o których mówiono by publicznie. Ale, zdaniem wielu ekspertów, nie da się wykluczyć, że takie szkolenia już trwają.

Kosztowna inteligencja

Choć rzeka zachodniej broni jest coraz szersza, z perspektywy armii ukraińskiej to nadal nie wystarcza. Przeszkody polityczne są znoszone

stopniowo – w miarę rosnącego przekonania o słabości Rosji. Dobrze ilustruje to przykład wspomnianych Himarsów. Najpierw Joe Biden mówił, że Ukraina nie dostanie systemów raketowych zdolnych razić cele w Rosji. Potem Pentagon ogłosił, że jednak Kijów otrzyma takie uzbrojenie, lecz bez rakiet przeznaczonych do najdłuższego lotu. Na końcu zaś amerykańska ambasador w Kijowie stwierdziła, że decyzje o sposobie użycia Himarsów należą wyłącznie do Ukraińców. Tak gotuje się rosyjską żabę – etapowo osławiając Rosjan z rosnącym potencjałem ich przeciwników i z następującymi w wyniku tego porażkami. Tym sposobem ogranicza się ryzyko gwałtownych reakcji (np. użycia przez Moskwę taktycznej

Choć rzeka zachodniej broni jest coraz szersza, z perspektywy armii ukraińskiej to nadal nie wystarcza.

broni jądrowej), a zarazem wysłała sygnał głównemu lokatorowi Kremla: „Wycofaj się, nim Ukraińcy jeszcze bardziej upokorzą twoje wojsko i ciebie”. W takim ujęciu docelowym modelem jest maksymalna westernizacja sprzętowa ukraińskiej armii, rozpisana w czasie także z powodu innych czynników.

Jakich? Posłużmy się znów Himarsami. USA mają ok. 500 wyrzutni, jedną piątą mogą bez uszczerbku dla własnych zdolności przekazać Ukrainie. Ale... Roczna produkcja rakiet w ostatniej dekadzie mieściła się między 5 tys. a 9 tys. sztuk. Jedna wyrzutnia to sześć rakiet, Ukraińcy mają ich ok. 20. Pełna salwa oznacza wystrzelenie 120 pocisków. Niespełna 60 salw zużywa całą średnioroczną produkcję rakiet. Ukraińcy tylu pocisków nie dostali – z oficjalnych informacji wynika, że przekazano im 2 tys. rakiet. Z kolei cały amerykański zapas to pięćdziesiąt kilka tysięcy pocisków. Cena pojedynczego wynosi 150 tys. dol. Kontener wyrzutni waży 2,5 tony, a do tego trzeba dodać wiozącą go ciężarówkę. Nie ma zatem możliwości, by Ukraińcy używali Himarsów masowo (inna rzecz, że przy tej precyzji rażenia nie ma takiej potrzeby) – na przeszkodzie stają kwestie logistyczne, organizacyjne,

finansowe i ściśle wojskowe. Sprzęt wymaga przerzutu przez ocean, jest kosztowny, a moce produkcyjne nawet amerykańskiej zbrojeniówki zostały po zakończeniu zimnej wojny bardzo ograniczone. Podobnie jak zapasy na „czas W”, którymi należy się dzielić z umiarem, by nie obniżyć gotowości własnej armii.

Poziom komplikacji uzbrojenia i cena niezbędnych komponentów w wielu przypadkach wykluczają scenariusz rozwinięcia masowej produkcji. „Głupią” amunicję można tłuc w imponujących ilościach, precyzyjnej już nie. Niedawno ujawniono, że Ukraińcy posiadają pociski Excalibur, zdolne razić cele na odległość do 40 km. Co więcej, można je wystrzeliwać z niejednego typu haubic,

a Ukraina otrzymała ich kilka, z różnych państw. Wyposażone w GPS excalibury potrafią uderzyć w cel z dokładnością do 2 m. Są odporne na zakłócenia, przewidziane do operowania w każdych warunkach pogodowych – i kosztują po 100 tys. dol. Te 900 sztuk zamówionych dla Ukrainy przez Pentagon wydatek się mikroskopijnym wsparciem – dopóki nie uświadomimy sobie, że to 900 niemal pewnych trafień. I że w przypadku „głupiej” amunicji skuteczność da się mierzyć co najwyżej w promilach. Pojedyncze trafienie może zniszczyć wóz bojowy z całą załogą, ale realia wojny są bezwzględne dla księgowych i logistyków – statystycznie na jednego wyeliminowanego z walki przeciwnika przypadają tysiące sztuk wszelkiego rodzaju „nieinteligentnych” naboju.

Z dostępnych materiałów filmowych wynika, że na froncie excalibury wystrzeliwane są głównie przez amerykańskie haubice M777. Co każde nam zwrócić uwagę na kolejne problemy, z jakimi mierzą się dostawcy i odbiorcy pomocy. Popularne „emki” działają na podstawie innego systemu metrycznego, co wymaga zmiany nawyków u artylerzystów. Mało tego, inny system to inne narzędzia do obsługi sprzętu, w efekcie ▶

► taka prozaiczna sprawa jak zgubienie skrzynki narzędziowej (o co łatwo, gdy użytkuje się broń z założenia przeznaczoną do ciągłego ruchu) może uczynić haubicę na jakiś czas nieobsługiwalną.

Najcenniejsza broń

Bez broni nie sposób prowadzić wojny, lecz największym wkładem Zachodu pozostaje coś innego. Najpierw jednak konieczne jest wskazanie istotnej słabości sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Otóż są one zakorzenione we wschodniej tradycji wojskowej, dla której charakterystyczna jest silnie zhierarchizowana struktura, z kompetencjami delegowanymi maksymalnie ku górze. Średni i niższy szczebel niewiele może, o wszystkim decyduje wyższe dowództwo. Model się sprawdza, jeśli najwyżsi rangą oficerowie dysponują technicznymi możliwościami zarządzania polem walki. Gdy ich zabraknie, bądź zabraknie dowódców, do głosu dochodzą negatywne skutki treningu kulturowego, opartego na braku poczucia sprawczości i odpowiedzialności – nieumiejętność podejmowania inicjatywy oraz obojętność. „Nie wiem”, „nie potrafię” i wreszcie „boję się”; strach jest bowiem wzmacniany doświadczeniem, w którym zbyt duża samodzielność niosła

ryzyko kary. Równowaga w pionowo zorientowanych systemach zarządzania opiera się na wybitnie nierównomiernym dostępie do wiedzy i władzy. Ktoś z niższego poziomu traktowany jest jako intruz/uzurpator. W wojsku, gdzie system kar – oficjalnych i nieoficjalnych – jest bardziej dotkliwy niż w cywilu, „panoszenie się” to niebezpieczny proceder. Zwłaszcza w obliczu porażki.

W praktyce oznacza to, że pozbawione dowództwa jednostki nie są w stanie podjąć sensownych działań. Na przykład mimo informacji o nacierającym przeciwniku ani się nie wycofują, ani nie przygotowują do obrony; żołnierze czekają, aż ktoś

pod zwycięstwo położono wcześniej. Między 2015 a 2022 r. NATO przeszkoliło ponad 70 tys. ukraińskich żołnierzy. Obecnie w kilku krajach członkowskich, w tym w Polsce, przebywa 30 tys. wojskowych z Ukrainy.

Armia ukraińska, mimo wspólnych korzeni z rosyjską, po 2014 r. zaczęła rozwód z wojskowym „wschodniactwem”. Zmiany mentalności to zwykle długotrwały proces, ale w tym przypadku obserwujemy coś w rodzaju turboprzyspieszenia. W transformacji wojska niebagatelną rolę odegrało rosyjskie zagrożenie – to ono wymusiło przejście na bardziej efektywny, zachodni model zarządzania i dowodzenia armią. Dzięki niemu

USA mają ok. 500 wyrzutni HIMARS, jedną piątą mogą bez uszczerbku dla własnych zdolności przekazać Ukrainie.

wreszcie wyda im jakiś rozkaz. Gdy ten nie nadchodzi, za to pojawia się wróg, opcje są już tylko trzy: można uciekać, można się poddać, można też podjąć nierówną z powodu nieprzygotowania walkę (oczywiście możliwy jest scenariusz realizujący w różnym stopniu wszystkie trzy postawy). Gdy wybór pada na walkę, jakkolwiek często jest w tym raczej fatalizm niż heroizm, post factum propaganda nadaje takim wydarzeniom hurrapatriotyczny charakter.

Skutki takiego stanu rzeczy oglądaliśmy podczas ukraińskiej kontryofensywy w obwodzie charkowskim. Rosjanie zostali wcześniej skutecznie dekapitowani. Za sprawą ukraińskiej maskirowki na południe pomaszerowały ich najlepsze oddziały, a wraz z nimi najwartościowsza kadra oficerska. Uwagę dowództwa „operacji specjalnej” przykuł Chersoń, ukraińscy komandosi i precyzyjna artyleria wyeliminowali kilka punktów dowodzenia na obszarze przyszłych działań. Gdy Ukraińcy ruszyli, jakościowo drugo- i trzeciorzędne jednostki wroga wybrały ucieczkę – tylko nieliczni Rosjanie byli w stanie stawić zorganizowany opór. W efekcie wyparto najeźdźców aż do granicy z Rosją. Co ciekawe, strona ukraińska użyła byłych polskich czołgów T-72 – co było pierwszym poważnym zastosowaniem tego sprzętu. Lecz podwaliny

możliwe stało się zniwelowanie przewagi technicznej i technologicznej Rosjan, co przed 24 lutego uchodziło za pusty frazes, a dziś jest hasłem „po korek” wypełnionym treścią. Widać bowiem jak na dłoni, że delegowanie kompetencji i odpowiedzialności w dół – przede wszystkim na bariki podoficerów i oficerów niższego szczebla, ale i do poziomu zwykłego żołnierza – skutkuje większą żywotnością oddziałów (nie idą tak łatwo w rozsypkę), sprzyja taktycznej inicjatywie, generując korzystne sytuacje, także wcześniej nie do przewidzenia. Ukraińskie „chodzenie za ciosem” z ostatnich dni to była również suma decyzji dowódców plutonów, kompani czy batalionów, którzy nie bali się wykorzystać otwierających się możliwości. Inna sprawa, że pomagała im nieosiągalna dla armii rosyjskiej świadomość sytuacyjna. Wydolniejsza łączność i sieciocentryczność pozwalająca na bieżącą wymianę informacji między nacierającymi jednostkami i dowództwem ułatwiała podejmowanie decyzji. To zasługa m.in. Elona Muska, który oddał do dyspozycji ukraińskiej armii system telekomunikacyjny Starlink. Zestawy do odbioru satelitarne internetu to w gruncie rzeczy też element materialnej pomocy wojskowej.

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl





Wysychająca rzeka uderza
w gospodarkę aż 10 państw

Susza kradnie Europie Dunaj

Chrystian Ślusarczyk

Drugiej takiej rzeki nie ma nigdzie na świecie. Przepływa przez 10 krajów i cztery stolice. Jej dorzecze to prawie 8% powierzchni Europy. Już od starożytności znacząco wpływa na rozwój krajów leżących nad jej brzegami, ich transportu, rolnictwa, przemysłu i turystyki. Mowa o Dunaju, pod względem długości drugiej (2888 km) po Wodzie rzeki Europy, wypływającej z niemieckiego Schwarzwaldu i uchodzącej do Morza Czarnego. Jej piękno stało się natchnieniem dla artystów, w tym dla Johanna Straussa syna, kompozytora walca „Nad pięknym, modrym Dunajem”.

Tego lata o słynnym walcu i rzece mówiło się w zupełnie innym kontekście. Katastrofalna susza każe się zastanawiać, czy modry nurt Dunaju nie stanie się jedynie wspomnieniem.

Apokaliptyczne krajobrazy

Europejski Nil – mawiają o Dunaju mieszkańcy nadbrzeżnych miejscowości. Wzgórza Schwarzwaldu oraz austriackie przedgórza Alp przez

dużą część roku gwarantowały spore opady. Nawet podczas upalnego lata na Nizinie Węgierskiej czy w Rumunii poziom wody w rzece długo pozostawał na stałym, wysokim poziomie – podobnie jak na Nilu, gdzie deszcze w Afryce Środkowej gwarantują wylewy i wysoki stan wody w suchym, położonym daleko na północ Egipcie.

Jeszcze pod koniec ubiegłego wieku Dunaj zamarzał, a nierzadko pokrywał się tak grubą warstwą lodu, że z Bułgarii do Rumunii przez zamarzniętą rzekę wędrowały stada wilków czy saren. Nie inaczej było na Węgrzech czy w Serbii, gdzie zimą temperatura spadała znacznie poniżej zera, a mrozom towarzyszyły obfite opady śniegu. Dziś śniegu jest tam jak na lekarstwo, a wiosennych roztopów praktycznie nie ma – tak jak większych opadów deszczu od źródeł do ujścia.

Globalne ocieplenie zmienia kraj obraz potężnej rzeki. Jeszcze kilkanaście lat temu, lecąc samolotem, bez problemu rozpoznawaliśmy błyszczącą, błękitną wstęgę rozlewającego się szeroko Dunaju od Wiednia aż po deltę. W tym roku Dunaj widziany z wysokości 10 km to dziwne połączenie piaszczystych

Budynek parlamentu w Budapeszcie z Wyspy Małgorzaty można podziwiać, stojąc w miejscu, gdzie normalnie płynie rzeka. 9 sierpnia 2022 r.

plaż i wydmy, powstałych niedawno zatoczek czy wysepek, które przyjdzie nam chyba wkrótce nazwać i zaznaczyć na mapach.

Spacerując wzdłuż uregulowanych nabrzeży Budapesztu czy Bratysławy, miało się wrażenie, że wody królowej Europy gdzieś uciekły. Z tworzących się z dnia na dzień plaż cieszyły się jedynie dzieci, które w te wakacje czuły się nad rzeką jak nad ciepłym morzem. Nic dziwnego, temperatura w płytkich wodach Dunaju w sierpniu zbliżała się do wartości notowanych w Morzu Czerwonym.

Energetyka porażona suszą

Hydrologowie alarmują, że tego lata poziom Dunaju był tak niski jak za rekordowej posuchy w roku 1941. W niektórych miejscach sytuacja jest zła jak nigdy dotąd. Niepokoją statystyki bułgarskie. Dotychczas minimalna ilość wody przepływającej na wysokości miasta Ruse wynosiła ▶

► 2441 m sześć./min. Na przełomie lipca i sierpnia w Ruse alarmowano o zaledwie 2000 m sześć./min. Susza dotknęła również inne europejskie rzeki, m.in. Ren czy Loarę, jednak wysychający Dunaj bezpośrednio uderza w gospodarkę aż 10 państw.

Niskie stany wód i ciągle rosnąca ich temperatura powodują coraz poważniejsze problemy w kilku elektrowniach atomowych. Siłownie zbudowane zostały blisko rzeki, której wody wykorzystywano do chłodzenia reaktorów i transportu. Brak wody w Dunaju i w kanale Dunaj-Morze Czarne spowodował, że już kilka lat temu jedyna rumuńska elektrownia atomowa Cernavodă musiała znacząco ograniczyć produkcję energii. W lipcu także elektrownia atomowa w węgierskim Paks zmniejszyła moce produkcyjne. Problemy ze schładzaniem reaktorów ma też elektrownia w Kozłoduju, dostarczająca jedną trzecią energii elektrycznej Bułgarii.

Na Dunaju od Niemiec po Rumunię pobudowano wiele mniejszych i większych elektrowni wodnych, które również mogą mieć problemy z brakiem odpowiedniego przepływu. Wśród nich jest największa elektrownia wodna w Europie, Żelazne Wrota, zlokalizowana na granicznym odcinku serbsko-rumuńskim. Dziś elektrownie wodne stanowią 35% ogółu źródeł energii w Serbii.

Dunaj jest najważniejszym źródłem wody do celów spożywczych dla niemal 10 mln ludzi. W Badenii-Wirtembergii zaopatruje się w nią cały obszar między Stuttgartem, Aalen a powiatem Alb-Donau. Także Ulm

i Pasawa korzystają z wody Dunaju w celach spożywczych. Piją ją też mieszkańcy rumuńskiego miasta Turnu Severin oraz niektórych miejscowości w delcie rzeki.

Natura nie przetrwa

Już wiosną zbyt niski poziom wody w samej rzece i okolicznych jeziorach spowodował, że na świat nie przyszło wiele ptaków. Przez wyschnięte jeziora w bezpośredniej bliskości Dunaju

Tego lata poziom Dunaju był taki jak za rekordowej posuchy w roku 1941. W niektórych miejscach nigdy nie było równie źle.

dramatyczna stała się sytuacja zamieszkujących północną Bułgarię pelikanów kędzierzawych. Ich gniazda, które musiały powstać z dala od wody, padły ofiarą ptaków drapieżnych. Na wyspie Persin w ubiegłym roku przyszło na świat 100 małych pelikanów. W tym roku – ani jeden! Jak alarmują naukowcy, z okolic pogranicza bułgarsko-rumuńskiego zniknęły także kolonie czapli, które pojawiły się w okolicy tzw. Martwych Bagien na początku 2020 r. Dodatkowo z raportów WWF płyną niepokojące informacje dotyczące ryb. Przeprowadzony na przełomie maja i czerwca monitoring często spotykanego w Dunaju śledzia czarnomorskiego pokazał, że w tym roku jest go o 90% mniej niż jeszcze dwa lata temu.

Niski poziom wody, jej wysoka temperatura i powolny przepływ zmuszają wszystkie gatunki ryb do

kierowania się w dół rzeki, do miejsc, gdzie teoretycznie powinno być głębiej. Ryby łowione jeszcze kilka lat temu przez kutry węgierskie tego lata mogły się znaleźć w sieciach Rumunów czy Bułgarów... Ale i w płytkiej, niemal przezroczystej wodzie ryby widzą zakładane sieci i potrafią przed nimi uciec.

Cierpią też rolnicy, choć w większości naddunajskich krajów woda z rzeki nie jest wykorzystywana do podlewania pól i sadów. Wyjątkiem

jest Rumunia, której rolnictwo w południowej części kraju bardzo teraz cierpi z powodu braku możliwości odpowiedniego nawadniania.

Czekają promy, czekają mosty

Na przeszło 400-kilometrowym bułgarsko-rumuńskim odcinku Dunaju są dziś tylko dwa mosty. Stary, powstały w połowie lat 50. XX w. Most Przyjaźni (coraz popularniejsza jego nazwa to Dunaw Most 1) oraz nowy, zbudowany ze środków unijnych most przy bułgarskim mieście Widin i rumuńskim Calafacie.

Niestety, wąski, o słabej przepustowości Most Przyjaźni ma coraz większe znaczenie. W chwili oddania do użytku był to najdłuższy most drogowo-kolejowy w Europie (niemal 3 km). Stanowi on przeprawę przez Dunaj dla dwóch międzynarodowych tras – E70 i E85, tędy przebiega transport tirowy z Bukaresztu i innych rumuńskich miast do Bułgarii i dalej na południe, do Grecji.

Most Nowej Europy, jak nazwano ten łączący Widin i Calafat, ma mniejsze znaczenie. W zamyśle ta nowoczesna drogowo-kolejowa przeprawa miała ułatwić transport między Bałkanami a Europą Zachodnią. Jednak zarówno po stronie bułgarskiej, jak i rumuńskiej wciąż brakuje nowoczesnej infrastruktury drogowej ułatwiającej dostanie się do mostu.

W ubiegłych latach wielu kierowców tirów, omijając długie kolejkę na obu „mostowych przejściach”,

Transport ukraińskiego zboża Dunajem

Gdy wiosną okazało się, że transport ukraińskiego zboża z portów nad Morzem Czarnym z powodu rosyjskiej blokady może być niemożliwy, pojawił się pomysł wykorzystania Dunaju jako naturalnego łącznika pomiędzy Ukrainą a Europą Środkową. Rumuńskie porty w potężnej delcie gotowe były na przyjęcie zboża i wysłanie go w głąb kontynentu. Teoretycznie przygotowany był także port w Konstancy nad Morzem Czarnym, który znajduje się kilkadziesiąt kilometrów od delty Dunaju. Niestety, już wiosną poziom wody w Dunaju był wyjątkowo niski, co uniemożliwiło transport. Pomysł transportu zboża drogą rzeczną sięgał jeszcze dalej. Dzięki wykorzystaniu powstałego w 1992 r. kanału Dunaj-Ren ładunek mógłby docierać aż do portu w Rotterdamie. Niestety, w tym roku prawdopodobnie nie uda się tego planu zrealizować. Jeśli wojna w Ukrainie potrwa dłużej, niewykluczone, że będzie to możliwe w przyszłym roku.

korzystało z przepraw promowych między Bułgarią a Rumunią. Niestety, tego lata zawieszono kursowanie promów. Niekończące się kolejki tirów w lipcu i sierpniu doprowadziły do protestów mieszkańców jednej z miejscowości koło bułgarskiego Ruse, którzy mieli dość całodobowego ruchu, hałasu i brudu. Władze wciąż nie poradziły sobie z tym problemem. Ale nie ma co się dziwić, Bułgarzy i Rumuni od lat angażują środki w remonty jedynie konstrukcji mostu oraz przebiegających po nim szosy i toru kolejowego.

Tegoroczna susza spowodowała przyśpieszenie przygotowań do budowy aż pięciu (!) nowych mostów na Dunaju łączących Rumunię z Bułgarią. Bułgarzy zdecydowali się na pogłębienie rzeki, co było warunkiem narzuconym przez stronę rumuńską.

Turystyczny krach i niemiecka niespodzianka

Położone nad Dunajem cztery europejskie stolice, wspaniałe krajobrazy Doliny Wachau w Austrii, Żelaznych Wrót między Rumunią i Serbią czy delty Dunaju przyciągają turystów z całego świata. Z atrakcyjnych wycieczek statkami widokowymi na trasie Wiedeń-Bratysława-Budapeszt korzystają często także polscy turyści. Tegoroczna susza nakazała albo zrezygnować z rejsów, albo bardzo je ograniczyć. Rzecz jasna, powoduje to straty, których rozmiary poznamy zapewne już wkrótce.

O tym, że tegoroczne lato na Dunaju będzie inne niż zwykle, jako pierwsi przekonali się turyści z niemieckiego luksusowego statku wycieczkowego „Adora”. Ze 137 pasażerami miał on przepłynąć z bawarskiej Pasawy aż do delty Dunaju. Z powodu zbyt niskiego poziomu wody (w Ruse wskaźniki pokazały rekordowe 43 cm) wycieczkę przerwano, pasażerów przetransportowano do Bukaresztu, skąd samolotem wrócili do Niemiec. Takie przykłady można mnożyć.

Z kolei w Serbii nie tylko na statki wycieczkowe czyhały dodatkowe utrudnienia. W okolicach miasteczka Prahovo płytka rzeka odłoniła aż 20 okrętów wojennych, które wycofujący się Niemcy zatopili w 1944 r. Zderzenie z większością z nich to spore



Łodzie w marinie na brzegu Sawy u ujścia do Dunaju. Belgrad, 15 sierpnia 2022 r.

ryzyko, dlatego miejscowi saperzy mają pełne ręce roboty. – Zatruli nam życie w czasie II wojny światowej, zatruwają i dziś, gdy wody naszego Dunaju odłoniły to, czego nie pozbiali – żali się 74-letni Serb Velimir, autor książki o niemieckich okrętach.

Odstłonięte kadłuby oraz zardzewiałe fragmenty statków utrudniają, a nawet uniemożliwiają pracę rybakom z położonych naprzeciw Prahova rumuńskich miejscowości. Od kilku tygodni nie uruchamiają oni swoich łodzi ani nie wchodzi do rzeki.

W gorszej sytuacji są Serbowie, bo nie tylko nie mogą liczyć na unijne wsparcie, ale i zmagają się z „niemieckim prezentem”, który wyłonił się z nurtu. Belgrad szacuje, że unieszkodliwienie i bezpieczne wywiezienie ponemieckich wraków kosztować będzie 29 mln euro. Operację może ułatwić pogłębienie Dunaju. Podejmie się tego bułgarska firma z Warny, która wygrała państwowy przetarg. Jej prace wyceniono na 6 mln euro. Serbom bardzo zależy na pogłębieniu ich odcinka rzeki jeszcze przed zimą, bo

W okolicach serbskiego miasteczka Prahovo rzeka odłoniła aż 20 okrętów wojennych, które Niemcy zatopili w 1944 r.

Pomoc na razie tylko doraźna

Straty, jakie ponoszą kraje naddunajskie z powodu suszy, są odwrotnie proporcjonalne do ich zamożności. Bogate Niemcy i Austria uciernią zapewne mniej niż Bułgaria czy Rumunia. Jako że większość państw naddunajskich należy do Unii Europejskiej, ich władze z pewnością zwrócą się do Brukseli o wsparcie finansowe dla wszystkich poszkodowanych gałęzi przemysłu. Jak to będzie wsparcie i czy w ogóle będzie można na nie liczyć, nikt dzisiaj nie wie. Z pewnością takiej samej (jeśli nie wyższej) pomocy oczekiwać będą mieszkańcy i firmy nad Renem, Padem czy Loarą.

już wkrótce spodziewają się transportów węgla z Bułgarii. Władze Rumunii z kolei planują pogłębienie Dunaju na całym wspólnym odcinku z Bułgarią. Na ten cel Bukareszt ze specjalnego rządowego funduszu przeznaczy 1,9 mln euro. Ale na zakończenie zakrojonych na szeroką skalę prac trzeba będzie czekać.

Jak szybko uda się pokonać choć część problemów wywołanych przez suszę na Dunaju w niemal jednej trzeciej Europy? Eksperci dalecy są od optymizmu – nawet spore opady w najbliższym czasie nie poprawią sytuacji nad pięknym, modrym Dunajem.

Chrystian Ślusarczyk

Depresję trzeba leczyć

W tej chorobie idealne jest łączenie farmakoterapii i psychoterapii

Rozmawia Dorota Bartosiewicz

Ilu osobom pomógł pan już wyjść z depresji?

– Nigdy nie liczyłem, ale w tygodniu przyjmuję 50-60 osób. Przy uwzględnieniu 50 tygodni w roku daje to ponad 2,5 tys. porad rocznie. Choć to też powtarzające się wizyty. Poza tym dotyczą różnych chorób.

Jacy pacjenci stanowią większość?

– Ci z zaburzeniami lękowymi i depresyjnymi, zresztą obie te grupy objawów się łączą. To 30-50% moich pacjentów. Dużo. Tym bardziej że według szacunków na depresję w Polsce choruje ok. 1,5 mln osób. Musimy także pamiętać, że w części przypadków depresja kończy się tragicznie, samobójstwem.

Na świecie co 40 sekund jedna osoba odbiera sobie życie.

– W Polsce rzadziej – to mniej więcej jedna osoba na godzinę. Wiadomo też, że w Polsce w wyniku samobójstw ginie więcej osób niż w wypadkach drogowych. Na świecie więcej niż z powodu konfliktów i działań wojennych oraz katastrof żywiołowych. Musimy jednak pamiętać, że nie wszystkie samobójstwa można powiązać z depresją.

W jaki sposób pan pracuje?

– Farmakologicznie. Ale bardzo często odsyłam pacjentów do psychoterapeuty. Takiej rekomendacji udzielam zresztą za każdym razem, bo łączenie tych metod przynosi lepsze rezultaty, szczególnie w niepowikłanym przebiegu depresji, w depresji lekkiej i umiarkowanej. Daje większą skuteczność zarówno w leczeniu, jak i w profilaktyce. A praca psychoterapeutyczna ma tę ogromną zaletę, że pozwala na korektę zniekształceń w postrzeganiu i interpretacji rzeczywistości. Zazwyczaj trwałą.



WIKTOR BUCZEK

– lekarz psychiatra, konsultant, partner w firmie Transition Group

A jeśli będziemy mówić o ciężkiej depresji, trudno poddającej się leczeniu?

– Farmakologia będzie miała wtedy nieocenione znaczenie. Odstawienie leku albo zmniejszenie jego dawki może spowodować szybki nawrót objawów.

Jakie leki najczęściej są przepisywane na depresję?

– Podstawowym wyborem są leki z grupy selektywnych inhibitorów wychwytu zwrotnego serotoniny, w skrócie SSRI. Pierwszy został wprowadzony w 1987 r. To leki przeciwdepresyjne nowej generacji.

Jak działają?

– Hamują wychwyt zwrotny serotoniny ze szczylin synaptycznych do wnętrza komórek nerwowych. Utrzymują lub zwiększają w ten sposób jej stężenie, zapewniając sprawniejsze przekazywanie sygnału z jednej komórki nerwowej do drugiej. Inaczej mówiąc, usprawniają pracę mózgu w tych obszarach.

Metaanaliza Joanny Moncrieff i jej współpracowników obaliła jednak tzw. teorię serotoninową, która mówi, że zaburzenia depresyjne

powodowane są niedoborem serotoniny. A to oznacza – donosiły w ślad za tym media – że SSRI to co najwyżej placebo.

– Nie znam tej publikacji. Mimo to wydaje mi się, że stwierdzenie „obaliła” może być na wyrost. Dotychczasowe doświadczenia kliniczne wielu dziesięcioleci wskazują, że objawy depresji ustępują u osób leczonych lekami przeciwdepresyjnymi zwiększającymi stężenie serotoniny w szczylinach synaptycznych. Pacjenci zdrowieją. A według mnie to dowód, że leki z grupy SSRI działają.

Jak często trzeba je stosować?

– Raz na dobę. Z leków przeciwdepresyjnych z grupy SSRI nie znam takiego, który trzeba by przyjmować inaczej.

A kiedy można zauważyć poprawę?

– Pewne objawy poprawy samopoczucia niektórzy pacjenci zgłaszają już nawet po około dwóch tygodniach – na obowiązkowej wizycie kontrolnej. Choć służy ona głównie temu, by ocenić, czy pacjent dobrze toleruje leki. Pierwsze efekty leczenia lekarz może ocenić po czterech-sześciu tygodniach. Na pełną poprawę trzeba czekać niestety długo – od dwóch do trzech miesięcy.

SSRI to jedna grupa leków stosowanych w leczeniu depresji. A inne?

– SNRI, czyli inhibitory wychwytu zwrotnego serotoniny i noradrenaliny, oraz NDRI, czyli inhibitory wychwytu zwrotnego noradrenaliny i dopaminy. Działają na podobnej zasadzie, tyle że na inne neuroprzekazniki. To ważne grupy leków, które w codziennej praktyce wykorzystujemy dość powszechnie.

Wciąż mamy też do dyspozycji leki starszej generacji, tzw. trójcykliczne leki przeciwdepresyjne (nazwa pochodzi od budowy chemicznej), wprowadzone do użytku w latach 50. XX w. Uważa się jednak, że selektywne inhibitory wychwytu

zwrotnego neuroprzekazników zapewniają nie gorszą skuteczność, a jednocześnie mają mniej działań niepożądanych.

Oprócz wymienionych powyżej istnieją jeszcze inne grupy leków, które są wykorzystywane znacznie rzadziej. **Na jakiej podstawie lekarz dobiera leki?**

– Zależy to od rodzaju zaburzeń funkcjonowania i ich nasilenia. Kiedy pacjenci skupiają się na obniżonym nastroju, często mówią: „Jestem smutny, przygnębiony. Nic mnie nie cieszy”. Ale oprócz zaburzeń nastroju w depresji występują również zaburzenia motywacji i napędu – pojawiają się wówczas stwierdzenia: „Nic mi się nie chce”, „Nie mam w ogóle ochoty wstawać z łóżka”. Jeśli pacjent ma zaburzenia napędu, są to z kolei wypowiedzi typu: „Nic mi nie wychodzi – jak już coś zacznę, to nie mogę skończyć, bo od razu czuję się zmęczony, nie mam siły”, „Jestem spowolniony, zmulony”, „Wszystko robię dwa razy dłużej”.

Kiedy dominują objawy związane z zaburzeniem nastroju, rozważamy leki oddziałujące na układ serotoniny. Nawet jeśli pacjent prezentuje zwiernie zaburzenia motywacji czy napędu, np. w depresji o nasileniu

– ...uprzedzając pytanie, chciałbym uniknąć formułowania gotowych rozwiązań. Decyzje o sposobie leczenia podejmujemy na końcu procesu, na który składają się i badanie pacjenta – ważne jest, jak odczuwa i opisuje cierpienie związane z chorobą – i zebranie informacji, w tym czy pacjent wcześniej chorował już na depresję, jeśli tak, to jak był leczony i z jakim skutkiem. Czy jego bliscy chorowali na depresję? Jak zdrowieli? Inne decyzje podejmiemy w przypadku pierwszorazowego epizodu depresji o łagodnym nasileniu objawów, np. skierujemy pacjenta na psychoterapię, ewentualnie włączymy leki w niedużych dawkach, a inne w przypadku osoby z depresją nawrotną, obciążonej rodzinie, z np. samobójstwem dziadka lub wujka.

Jeżeli włączamy leczenie farmakologiczne, z czym pacjenci muszą się liczyć?

– Na początku dość często występują tzw. adaptacyjne działania niepożądane leków. Przez kilka pierwszych dni mogą przejściowo się pojawić nudności czy bóle bądź zawroty głowy. Zazwyczaj nie są one bardzo dokuczliwe. Opisując to uczucie, pacjenci używają zwrotu „Czułam/czułem się trochę skołowana/y”.

większości listy możliwych działań niepożądanych są dość długie, jednak nie oznacza to, że każdy pacjent ich doświadczy.

Dawniej w przypadku leków na depresję bardzo dokuczliwe było wrażenie suchości w ustach.

– Tak. To było charakterystyczne działanie niepożądane leków trócyklicznych. W przypadku nowych leków udało się to zminimalizować. Pacjenci nie skarżą się na to już tak często.

A dla kogo farmakologiczne leczenie depresji w ogóle nie jest wskazane?

– Wydaje się, że nie ma takich sytuacji – pamiętajmy, że część przypadków depresji kończy się samobójstwem. Są natomiast grupy chorych, u których trzeba zachować szczególną ostrożność, dobierać odpowiednie leki.

Do tej grupy zaliczają się chorzy na jaskrę.

– I są leki, o których wiemy, że mogą być bezpiecznie stosowane. Oczywiście ważne jest, by chory leczył również jaskrę.

A inne choroby? Zaburzenia rytmu serca, nadciśnienie tętnicze, choroby tarczycy?

– Analogicznie jak w przypadku jaskry – mamy wiedzę o tym, które leki w jakich sytuacjach powinny być stosowane.

A co z kobietami w ciąży?

– Oczywiście leczyjemy też kobiety w ciąży chore na depresję. Przy czym ma to wiele uwarunkowań i omówienie ich wykracza poza możliwości tej rozmowy. Jednak, jak w każdym przypadku, musimy wziąć pod uwagę wiele okoliczności, m.in. aktualny stan psychiczny chorej, dotychczasowy przebieg choroby, zaawansowanie ciąży, przyjmowane leki. W miarę możliwości staramy się stosować niższe dawki leków, ale uczymy także samą chorą i jej najbliższych wczesnego rozpoznawania nawrotu. Chora powinna być objęta – jeśli to tylko możliwe i dostępne – opieką psychologiczną. Na dwa-trzy tygodnie przed planowanym porodem zaleca się stopniowe odstawienie leków, pod kontrolą. Po porodzie można leczenie przywrócić, wybierając jednak lek przeciwdepresyjny, który nie przenika do mleka karmiącej matki.

Szacuje się, że na depresję w Polsce choruje ok. 1,5 mln osób.

łagodnym lub umiarkowanym – to zazwyczaj wystarcza i pacjent wraca do normalnego funkcjonowania. Nieznacznie nasilone zaburzenia motywacji lub napędu wyrównują się w ślad za poprawą nastroju. Jednak w przypadkach depresji bardziej nasilonej i bogatszej w objawy musimy myśleć szerzej.

Szerzej, czyli jak?

– Wtedy wykorzystujemy leki oddziałujące na dwa układy neuroprzekazników, czyli zwiększające stężenia w szczelinach synaptycznych np. serotoniny i noradrenaliny albo noradrenaliny i dopaminy. Wzmacniamy oddziaływanie na zaburzone funkcje motywacji i napędu.

Weźmy przykład: przychodzi Kowalski do lekarza i mówi: „Jestem smutny, nic mi się nie chce, nie mam siły zwlec się z łóżka”...

Leki przeciwdepresyjne mogą też dawać inne objawy.

– Najczęściej mamy do czynienia z sennością lub bezsennością. Choć są leki, które mogą wzmacniać apetyt i w ten sposób sprzyjać przyrostowi masy ciała. Niektóre powodują wzmożoną potliwość ciała. Zdarzają się także zaburzenia funkcji seksualnych, np. spadek pożądania. Jest to szczególnie ważne u chorych, którzy są w związku, u których życie seksualne odgrywa istotną rolę więziotwórczą. W tym miejscu od razu dopowiem, że jest kilka leków przeciwdepresyjnych, które nie wykazują niepożądanego wpływu na funkcje seksualne.

Przy czym, co również należy powiedzieć, działania niepożądane dotyczą wszystkich leków, nie tylko przeciwdepresyjnych. W przypadku

► **Jak długo trwa w ogóle leczenie depresji?**

– W porównaniu z leczeniem najczęstszych przypadłości, np. przeziębień – długo. Przy czym standardy wskazują na konieczność leczenia w dwóch fazach. W pierwszej doprowadzamy do sytuacji, kiedy objawy depresyjne wycofują się całkowicie lub prawie całkowicie. Czas ten liczymy w miesiącach. Druga faza to tzw. leczenie podtrzymujące; jego długość uzależniona jest od tego, który to epizod depresji. W przypadku pierwszego leczenia podtrzymujące powinno być kontynuowane przez przynajmniej sześć miesięcy.

„Przynajmniej, czyli np. siedem miesięcy? Albo 12 czy 20? To w końcu ile?”, od razu dopyta Kowalski.

– W zasadzie sześć miesięcy powinno wystarczyć, ale są pacjenci, którym owe sześć miesięcy wypadnie jesienią lub zimą. Będą wśród nich tacy, którzy mogą być podatni na sezonowe wahania nastroju, tzw. depresję jesienną, depresję zimową. U takich pacjentów zakończenie leczenia w tym właśnie momencie nie wydaje się dobrym rozwiązaniem. Dużo lepiej jest przedłużyć leczenie podtrzymujące do wiosny, kiedy sama pora roku nastraja bardziej optymistycznie, mamy wydłużający się dzień i więcej światła. Po zakończeniu leczenia pacjent ma przed sobą

całą wiosnę i całe lato, a kolejna jesień okaże się sprawdzianem, czy wystąpi nawrót choroby, czy nie.

A jeśli to drugi lub trzeci epizod depresyjny?

– Najczęściej mówimy o leczeniu kilkuletnim – od dwóch do pięciu lat; przy czym obejmuje to wiele okoliczności, które trzeba rozważyć. Bywają również sytuacje, kiedy leczenie profilaktyczne prowadzimy przez dłuższy okres, a nawet dożywotnio.

Jakie to sytuacje?

– Na przykład u pacjentów, u których kilkakrotnie próbowano zakończyć leczenie, ale szybko następowały

postępujące wycofywanie się z życia społecznego. Są oczywiście seniorzy, którzy świetnie funkcjonują, ale jest duże grono osób, dla których sam wiek senioralny – z powodów przytoczonych powyżej – może być czynnikiem ryzyka depresji.

A depresję można w ogóle wyleczyć tylko lekami?

– Bez psychoterapii? Tak, da się. Leczymy ją na co dzień – zarówno postać łagodną, umiarkowaną, jak i ciężką. Idealne jest jednak łączenie farmakoterapii i psychoterapii.

Jednak psychoterapia nie zawsze jest dostępna.

Oprócz zaburzeń nastroju występują zaburzenia motywacji: „Nic mi się nie chce”, „Nie mam ochoty wstawać z łóżka”.

nawroty choroby. Nierzadko takimi pacjentami są seniorzy, dodatkowo obciążeni innymi chorobami somatycznymi. Wiemy z badań klinicznych, że w przypadku współchorobowości odsetek osób z depresją jest wyższy wśród tych, którzy doświadczają bólu. Seniorzy zaś, częściej od młodszych pacjentów, doświadczają fizycznego bólu, ograniczeń ruchowych i ogólnej sprawności. Zdrowie się pogarsza, rówieśnicy i bliscy odchodzą. Mówiąc potocznie, za bardzo nie ma z czego cieszyć. Obniża się samoocena, gorzej oceniane są perspektywy,

– I wówczas leczymy pacjenta tylko farmakologicznie.

Kowalski miał epizod depresyjny, nie zgłosił się do specjalisty. Może sam z tego wyjść obronną ręką?

– Ze względu na fakt, że część przypadków depresji kończy się samobójstwem, my, lekarze, stoimy na stanowisku, że depresję trzeba leczyć. To zbyt poważna sprawa, by prowadzić takie rozważania. Wśród osób chorujących na depresję 40-80% ma myśli samobójcze. Z tej grupy 20-60% podejmuje takie próby, a u 15% są one skuteczne. Ba, 20-30% przyszłych samobójców w ogóle nie zwiastuje zamiarów swojemu otoczeniu. Proszę o wybaczenie, ale w tej kwestii nie mam nic więcej do dodania. Depresję trzeba leczyć.

Jak w takim razie przekonać tych, którzy lekarza psychiatry nadal unikają jak ognia?

– Możemy skłaniać ich do nawiązania kontaktu z innymi profesjonalistami. Z objawami sugerującymi depresję można się zgłosić do lekarza pierwszego kontaktu. Można też skorzystać z rozmowy z psychologiem. Pacjenci z depresją o łagodnym i umiarkowanym nasileniu nie muszą od razu trafiać do lekarza psychiatry. Jeśli lekarz pierwszego kontaktu lub psycholog uzna, że konsultacja u lekarza psychiatry jest konieczna, w łagodny sposób „wprowadzi pacjenta w obszar takiej decyzji”.

Dorota Bartosewicz

Opcja rezerwowa

Po 10 miesiącach możemy mówić, że kończy się opera mydlana „szukamy ambasadora RP w Berlinie”.

Wszystko zaczęło się w listopadzie 2021 r., kiedy to ambasador Andrzej Przyłębski ogłosił publicznie, że rezygnuje z funkcji – popracuje do stycznia, a potem koniec. To nie było dyplomatyczne zachowanie, bo w ten sposób Przyłębski postawił w mało ciekawej sytuacji ministra spraw zagranicznych i w ogóle swoich zwierzchników w Polsce.

W cywilizowanych krajach zasadą jest, że gdy państwo ogłasza, że urzędującemu ambasadorowi kończy się kadencja, to następca już stoi w blokach startowych. Przerwy w obsadzeniu funkcji nie są długie, bo taki wakat może być źle odebrany. Wszystko więc powinno wyglądać tak, że prośbę o odejście Przyłębski składa szefowi MSZ, zachowując poufność, tak żeby był czas na spokojne znalezienie nowego ambasadora. Tymczasem było dokładnie odwrotnie.

Najpierw Przyłębski ogłosił, że już nie chce być ambasadorem, a potem w Warszawie zaczęto szukać jego następcy. Z przecieków wiemy, że proponowano tę posadę kilku osobom, płci obojga, które odmówiły. Można więc rzec, że były to poszukiwania długie i bezowocne. Ze stuprocentową pewnością. A dlaczego tak? Ano dlatego, że ostatecznie ambasadorem został Dariusz Pawłowski, który w czasach Przyłębskiego był rzecznikiem ambasady. I jesienią 2021 r. wrócił do Polski, na stanowisko wicedyrektora Departamentu Dyplomacji Publicznej i Kulturalnej. Był zatem cały czas pod bokiem, co więcej, cały czas lobbował za jego kandydaturą Andrzej Przyłębski.

No, jeżeli po 10 miesiącach szukania wybiera się człowieka, który jest pod bokiem i którego można było

wybrać już w grudniu, to znaczy, że zdążyli odmówić wszyscy i że bierze się to, co wzięć można.

Żeby Pawłowskią zbyt nie dołować, dodajmy, że w pewnym momencie konkurował on w wyścigu o Berlin z Bartoszem Cichockim, ambasadorem RP w Kijowie. I ostatecznie tę konkurencję wygrał. Nie jest więc wcale taki ostatni.

Tak czy inaczej, silnej pozycji mu to nie daje. Trzy rzeczy będą dla niego kulą u nogi. Po pierwsze, jest którymś z listy kandydatów, czyli władza zbyt go w Berlinie nie chciała. Po drugie, był współpracownikiem, czyli osobą zaufaną, Andrzeja Przyłębskiego, w Niemczech bardzo niepopularnego. No i po trzecie – nie idzie za nim wystarczająco okazały dorobek zawodowy.

Był w przeszłości porządnym urzędnikiem. Ale kłopot polega na tym, że w przeszłości Rzeczpospolita wysyłała do Niemiec ambasadorów nie ze średniej, ale z najwyższej półki. Przed Przyłębskim był Jerzy Margański, były dyrektor departamentów i podwójny ambasador, przed nim – Marek Prawda, także wcześniejszy ambasador i dyrektor departamentów oraz Sekretariatu Ministra, przed nim Andrzej Byrt, który był wiceministrem spraw zagranicznych itd.

Słabo też wygląda agenda Pawłowskiego – bo opowiadał w Sejmie, że będzie się starał rozwijać współpracę kulturalną i poruszać sprawę reparacji. Czyli zupełnie idzie w poprzek poważnych oczekiwań.

Ale może tak na razie mówi, żeby zadowolić PiS. Bo przecież na sprawach niemieckich się zna.

I tym optymistycznym akcentem nasz wpis zakończmy.

Attaché

Papież Franciszek i bp Antoni z Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego podczas VII Kongresu Przywódców Religii Światowych i Tradycyjnych w Pałacu Niepodległości w Nur-Sułtanie. Kazachstan, 14 września 2022 r.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- Polska... Żegluga Powietrznej
- przyzwyczajanie się do warunków, miejsca pobytu
- wykonuje trudne figury gimnastyczne
- zalecanki, romans
- i robot humanoid, i system operacyjny
- artysta Warhol, aktor García
- dama z najwyższej warstwy społecznej
- rym niedokładny z identycznością samogłosek
- jesienią często deszczowa
- rosyjska łaźnia parowa

- gadających wyrazów.
 - miono.
 - cowe hasło.
-
- Faust chciał, by trwała
 - celna, niepodległości, praw człowieka
 - utwór, zwłaszcza dużej wartości
 - z niej ulepiony Golem
 - na Ukrainę 24 lutego
 - młode sportsmenki lub obuwie
 - coś wygiętego w łuk, pałąk
 - za aktora karku nadstawia
 - łaskawy zabierze nas do Warszawy
 - ciężkie szkło do wyrobu wazonów
 - Jerzy, zginął, wchodząc na Lhotse
 - gotycki element dekoracyjny wieńczący szczyty, pinakle
 - kolorowa latarnia z papieru
 - ...Honorowa – francuski order
 - pani z przesyłkami w torbie
 - harcują przy płowej mamie
 - dawna opłata za przejazd np. mostem
 - obawa, niepewność
 - na nich transportowany chory
 - wyznaczona okreźna droga
 - odejście wojska
 - taaki prawdziwek!
 - meczu, uroczystości lub oczu
 - przepisywanie leków, kuracji
 - zdobnictwo
 - cienka, nieprzemakalna tkanina

- może być herbaciana, pąsowa
- duży sukces w brydżu lub Wielki tenisowy
- głos panów Ochmanów
- zarabia noszeniem bagaży
- faktycznie bywa malowana na zielono
- despota, okrutny władca
- państwo na Półwyspie Apenińskim
- organizacja ratowników wodnych w skrócie
- poseł, legat, emisariusz
- ogrodowy to anemon
- krótko- lub długoterminowe w rachunkowości
- drobne kamyki, składnik betonu

haslo:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1083”. Do rozlosowania książki „Ania z Avonlea” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HAŚŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatn 2,46 PLN + VAT) do 25 września 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1080” z nr. 36: *Entuzjazm daje energię.*

Nagrody otrzymują: Anna Dymalska z Wrocławia, Zbigniew Grzegorzewski ze Śremu, Zbigniew Popielski z Nadarzynia.

PENETRACJE

MONDE
diplomatique

**PRZEMYSŁAW
WIELGOSZ,**
REDAKTOR NACZELNY

W ciągu ostatnich dwóch dekad na granicy Unii Europejskiej wzniesiono ok. 1 tys. km murów. Stoją m.in. na granicy grecko-tureckiej i hiszpańsko-marokańskiej. Podobnie można powiedzieć o setkach kilometrów muru wznieszonego na granicy Meksyku z USA, gdzie co roku ginie więcej osób niż podczas 30 lat istnienia muru berlińskiego (od początku kadencji Bidena było to ok. 1 tys. osób). Środki europejskie finansują dziś budowę barier i wałów ziemnych na granicach Algierii, Maroka, Libii. W ten sposób Unia przenosi swoje granice na terytorium Afryki.

WUZYJOMMI

INGA IWASIÓW,
POETKA I PROZAICZKA,
LITERATUROZNAWCZYNI

Jeździłam z babcią do Międzyzdrojów, dawna nazwa Misdroy. W przypadku tego modnego miejsca historia nie jest tak czysto pruska, bo również pomorska, poszwedzka i popruska (są różnice, ale nie wdawajmy się w szczegóły). Stamtąd niedaleko do Świnoujścia, skąd prosta droga plażą, a nawet ścieżka rowerowo-pieszna, do Cesarskich Kurortów Ahlbeck, Heringsdorf i Bansin, których urok wywołuje łzy zawiści. No istotnie, zawałona starymi reklamami i budami smażalni końcówka polskiego wybrzeża kontrastuje mocno z niebiesko-białymi, lekkimi konstrukcjami plażowo-pensjonatowymi po nie naszej stronie. Niemieckie w niemieckich rękach wygląda schludniej od pruskiego w polskich.

odra

WOJCIECH ŁUCZAK,
PUBLICYSTA

Szwecja należy do tych nielicznych krajów, które od dawna posługują się własnymi okrętami podwodnymi z siłowniami konwencjonalnymi o układzie niezależnym od dopływu powietrza atmosferycznego. Dzięki nim małe okręty podwodne zbliżają się swoimi walorami do jednostek o napędzie nuklearnym (mogą tygodniami się nie wynurzać). A są przy tym niewiarygodnie ciche i kładąc się na dnie Bałtyku, są chronione warstwami wody o różnym zasoleniu i stanowią niemal niewykrywalny cel. Brakuje im jedynie uzbrojenia rakietowego, bo Szwedzi świadomie wyrzekli się oręża ofensywnego, pozostając przy coraz doskonalszych torpedach.

STYL

MARIA SEWERYN,
AKTORKA I REŻYSERKA

Mam podstawowy problem związany z przygotowywaniem się do roli: nie potrafię sama uczyć się dialogów. Pomagają mi znajomi, odczytując kwestie innych bohaterów. Wiem, że niektórzy aktorzy zatrudniają pomocników i im za to płać. Mam szczęście, że wspierają mnie bliscy. Z monologami sprawa jest prostsza. Muszę jednak naprawdę rozumieć graną przeze mnie postać. Dlaczego to mówi? Czy to prawda? Jeśli w czasie próby do nowego spektaklu zapominam tekst w tym samym miejscu, wiem, że muszę się nad tym pochylić, bo popełnię jakiś błąd w myśleniu.

Aby język giętki...

ANGORA, ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

– Kochanie, wkładaj płaszcz. – Wychodzimy? – Ja wychodzę i wyłączam ogrzewanie.

PIOTR GADZINOWSKI O JACKU KURSKIM

Czy jest jakiś mądry program w TVP, który powstał za czasów jego prezesury?

**JAKUB BIERZYŃSKI
O MATEUSZU MORAWIECKIM**

Stał się innowatorem kłamstwa na światową skalę.

HANNA KRALL O MARIUSZU SZCZYGLE

Czytelnik czuje i prawdę, i fałsz, a w nim nie ma fałszu. Ani w pisaniu, ani w rozmaitych aktualnych wypowiedziach.

**MAŁGORZATA SZUMOWSKA
O AGNIESZCE HOLLAND**

W trudnych czasach, otoczona przez samych mężczyzn, wybiła się i z przytupem zrobiła światową karierę.

MICHAŁ WITKOWSKI O PISANIU

Niepoprawne rzeczy piszę w zamkniętych grupach. Dziś nie można sobie pozwolić na wszystko.

**MATEUSZ KOŚCIUKIEWICZ
O JERZYM SKOLIMOWSKIM**

Poprosił, żebym zrobił prawo jazdy na samochody ciężarowe. Miałem na to kilkanaście tygodni.

**JAROSŁAW FLIS O PRZESUNIĘCIU
TERMINU WYBORÓW SAMORZĄDOWYCH**

Może nie będzie potrzebne, jeśli te buldogi, które dziś walczą pod dyktando władzy, wyjdą spod niego ze strzypami w pyskach.

**SŁAWOMIR PIETRAS
O PARTII RADAMĘSA PIOTRA BECZAŁY**

Udowodnił, że posiada umiejętność śpiewania swobodnie i z umiarem, a jednocześnie wyrazowo i ekspresyjnie.

**MARIA ANDREJCZYK
O PRZYJAŹNI W SPORCIE**

Pojawia się wtedy, kiedy jest się już naprawdę wysoko. Na samym początku zdecydowanie więcej jest zacieklej rywalizacji i zazdrości, a nawet zawiści.

Katelin Wie Qi Heng z Singapuru w indywidualnej rundzie kwalifikacyjnej podczas 39. Mistrzostw Świata w Gimnastyce Artystycznej w Sofii. Bułgaria, 14 września 2022 r.



Pies, który rozumie sytuację gospodarczą:



Polska po kilku dniach w Polsce



Laserem go!

Firma Carbon Robotics zaprojektowała niezwykłą maszynę rolniczą, która jest w stanie niszczyć laserem 100 tys. chwastów na godzinę. Co istotne, robot przypominający wielkością ciągnik obrywa się bez operatora, gdyż jego poruszaniem się i „ostrzałem” zarządza komputer pokładowy. Dzięki temu, że może pracować w nocy, potrafi przez 24 godziny usunąć wszystkie niepożądane rośliny z pola o powierzchni 6 ha. Czyżby już niedługo przestały być potrzebne nie tylko herbicydy, ale także rolnicy?

Ze smartfonem w koszyku

W przeszłość mogą także odejść papierowe atlasy grzybów, którym jak prawdziwki po deszczu wyrosła konkurencja w postaci mobilnych aplikacji grzybiarskich. Do wyboru mamy m.in. cenioną Mushroom Identify, rozpoznającą nasze znaleziska po zeskanowaniu ich aparatem telefonu, Shroomify, czyli cyfrowy klucz do oznaczania gatunków występujących w regionie, w którym aktualnie się znajdujemy, oraz program Fungus, który do identyfikacji okazów uwiecznionych na fotografiach wykorzystuje sieci neuronowe. Niestety, jeśli chodzi o aplikacje polskojęzyczne, nadal jesteśmy w lesie.

Za zdrowie ekosystemu

Producent alkoholu ze stanu New Hampshire, firma Tamworth Distilling, postanowił zrobić coś dla środowiska naturalnego i rozpoczął produkcję burbona aromatyzowanego... krabami. W tym celu gotuje rosół z raczyńca jadalnego, czyli skorupiaka zawleczonego do Ameryki Północnej w XIX w. z Europy, który w wodach nowej ojczyzny jest sprawcą poważnych problemów. Wyciąg z krabów trafia do trunku obok ośmiu przypraw, a całość jest podobno zaskakująco smaczna. Niestety, oryginalny napitek nie jest tani – butelka o pojemności 200 ml kosztuje 65 dol. A to już odczuwalne uszczypnięcie w portfel.

Cel: sami swoi

Rada Regulacyjna ds. Reklamy Nigerii (ARCON) poinformowała, że z początkiem października zacznie obowiązywać zakaz zatrudniania do produkowanych w tym kraju reklam telewizyjnych zagranicznych modeli i modelek oraz lektorów. Decyzja rady jest zgodna z obietnicą rządu, który zapowiedział wspieranie rodzimych talentów i branży reklamowej. Jeszcze przed ogłoszeniem zakazu firmy musiały płacić równowartość ok. 240 dol. za każdą osobę z zagranicy zatrudnianą do gry w reklamie. To się chyba nazywa reklamowe wstawanie z kolan.

Nadchodzi era szefów z komputera?

Chińska firma technologiczna NetDragon Websoft, zajmująca się grami sieciowymi i aplikacjami mobilnymi, mianowała na stanowisko dyrektora generalnego niejakiego Tang Yu, czyli... robota napędzanego sztuczną inteligencją. Przedsiębiorstwo nie ujawniło jeszcze, jakie dokładnie obowiązki będą ciążyły na nowym menedżerze, ale z komunikatu prasowego dowiadujemy się, że jednym z celów nominacji jest „przeniesienie wydajności operacyjnej na nowy poziom”. Coś nam mówi, że podwyżek dla szeregowych pracowników zbyt szybko nie będzie...



Wioska stoni Ban Ta Klang w tajlandzkiej prowincji Surin. Według oficjalnych danych w Tajlandii w niewoli żyje ok. 3,2-4 tys. stoni, a na wolności ok. 3,5 tys.

Pstryk i do kicia?

Zdjęcia z fotopułapki pozwoliły policji ustalić, kto ją ukradł. Mowa o urzędzeniu, które miało rejestrować osoby podrzucające śmieci do lasu w gminie Potęgowo w powiecie słupskim. Gdy zostało gwizdnięte, nadal działało i wysyłało zdjęcia z mieszkania złodzieja. Policjanci rozpoznali na nich lokum, w którym byli już kilkakrotnie. Złożyli w nim wizytę i zastali dokładnie taki bałagan jak na fotkach, a w trakcie przeszukania znaleźli skradzioną fotopułapkę. 69-letniemu sprawcy, wcześniej również karanemu za kradzieże, grozi do pięciu lat poza mieszkaniem. To się nazywa pułapką po łapkach.



FOT. FACEBOOK, PACZAI2M.PL, PIC NA WODE FOTOMONTAŻ, MEMY GORSZEGO SORTU, REUTERS/FORUM

eprasa.pl 9ee0ee36df



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogotkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),

Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),

Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,

Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),

Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),

Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,

Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,

Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),

Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,

Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,

Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbełka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzytyż: Magdalena Gluska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszów, ul. Pułtusa 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Kategoria Szkoła, I nagroda – Mirosław Gryń (Polska), Lekcja religii



Grand Prix Satyrykonu 2022 – Carlos David Fuentes Hierrezuelo (Kuba), bez tytułu

patronat PRZEGLĄDU

Na tegoroczny Satyrykon zgłoszono 2,5 tys. prac 764 autorów z 65 krajów. Do wystawy pokonkursowej zakwalifikowano 188 prac, z głównej kategorii Żart i satyra, a także Szkoła. Widzowie mogą się przekonać, jak te same zjawiska i problemy są odczytywane z różnych perspektyw i ujmowane w satyryczną formę. Wśród uczestników wystawy znaleźli się m.in. laureat grand prix Carlos David Fuentes Hierrezuelo (Kuba), laureatka Nagrody Dyrektora Muzeum Karykatury Joanna Gębał (Polska), znany z łamów „Polityki” Mirosław Gryń (Polska), stały współpracownik „Wprost” Paweł Kuczyński (Polska), Jugoslav Vlahović (Serbia), Agim Sulaj (Włochy), Yurii Levshyn (Polska) i Mohammad Amin Aghaei (Iran). Specjalna część przestrzeni muzeum przeznaczona jest na wystawę prac Levshyna – najlepszego debiutanta tegorocznej edycji i laureata II nagrody w kategorii Żart i satyra.

Muzeum Karykatury w Warszawie
ul. Kozia 11
do 23 października

Kategoria Żart i satyra, III nagroda – Saman Torabi (Iran), The memories



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Kategoria Szkoła, II nagroda – Agim Sulaj (Włochy), School 2



Kategoria Żart i satyra, II nagroda – Yurii Levshyn (Polska), Cenzura

**JULIETTE VINCENT
BINOCHÉ LINDON**

Srebrny Niedźwiedź
72nd International
Film Festival
Berlin
Najlepszy Reżyser

NIEWIERNA

W FILMIE **CLAIRE DENIS**

NA PODSTAWIE KSIĄŻKI **CHRISTINE ANGOT** POD TYTUŁEM **UN TOURNANT DE LA VIE** ÉDITIONS FLAMMARION SCENARIUSZ **CHRISTINE ANGOT, CLAIRE DENIS**

GRÉGOIRE COLIN AVEC BULLE OGIER ISSA PERICA ALICE HOURI MATI DIOP BRUNO PODALYDES LOLA CRETON RICHARD COURCET

[illegible]

W KINACH

• TEATR CAPITOL •

PRZEBOJOWE KOMEDIE • GWIAZDORSKIE OBSADY • PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI

PRZEKŁAD
Elżbieta WOŹNIAK
AUTOR Robin HAWDON

REŻYSERIA Jerzy BŁONCZAK

SCENOGRAFIA
Klaudia SOLARZ

KOSTYUMY
Sylwester KRUPINSKI

OPRACOWANIE MUZYCZNE
Marian SZACKOWSKI

Prezent urodzinowy



Rafał CHIESZYŃSKI Tomasz DĘDEK Dominika KRYSZYŃSKA Waldemar OBŁOZA Katarzyna PAKOSIŃSKA Radosław PAZURA Katarzyna PTASIŃSKA Tomasz SCHIMSCHNEIDER Katarzyna SKRZYŃECKA Lesław ŻUREK

PREMIERA - PAŹDZIERNIK 2022

• KUP



• www.teatrcapitol.pl



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Teatr Capitol jest partnerem
w ramach projektu
„Dzieła sztuki w przestrzeni publicznej”

Partnerzy medialni



TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 9ee0ee36df